

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ



FELIETON:

FEMINATYWY – POWRÓT ZAPOMNIANYCH SŁÓW,
CZYLI JAK JĘZYK UCZY SIĘ RÓWNOWAGI

11 OPOWIADAŃ
4 WIERSZE

POWIEŚCI FRAGMENTARYCZNIE:

KIESZEŃ W PRZESTRZENI, MARTA PAWLIK
PIEKŁO JEST PUSTE, ZUZANNA KŁOSEK

ARTYKUŁY:

JUSTOWANIE TEKSTU W PRAKTYCE – JEGO WPŁYW NA ODBIÓR TREŚCI

SŁOWNICZEK REDAKCYJNO-KOREKTORSKI – CZĘŚĆ I

HISTORIA PISMA I FONTÓW – TIMELINE

REMIGIUSZ MRÓZ „O PISANIU NA CHŁODNO” – KSIĄŻKA, KTÓRĄ WARTO ZNAĆ

DIALOGI – NAJWAŻNIEJSZE ZASADY ZAPISU

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

LISTOPAD 2025

- 04 STANDARDOWE PRZYWITANIE OD
NACZELNEJ
- 05 ZAPOWIEDŹ, CO SIĘ POJAWI W NUMERZE,
ALE OPISOWO

OPOWIADANIA

- 06 CICHUTKI
- 11 ALITA
- 15 ŻABOL
- 27 KOŁĘDA
- 37 TANIEC W TRYBIE SOŁO
- 48 ZIMOWE WYZWANIE
- 58 KOLEJ RZECZY
- 69 NAJWIĘKSZY STRACH
- 81 PRZEPRASZAM
- 89 ŚLEDZTWO W PRZEDDZIEŃ ŻYCIA DŁUGO
I SZCZĘŚLIWIE
- 109 STARA PLEBANIA NA ZAGAJU

POWIEŚCI

- 31 KIESZEŃ W PRZESTRZENI
- 51 PIEKŁO JEST PUSTE

ARTYKUŁY

- 08 JUSTOWANIE TEKSTU W PRAKTYCE – JEGO
WPLYW NA ODBIÓR TREŚCI
- 23 SŁOWNICZEK REDAKCYJNO-KOREKTORSKI –
CZĘŚĆ 1
- 46 HISTORIA PISMA I FONTÓW – TIMELINE
- 79 REMIGIUSZ MRÓZ „O PISANIU NA CHŁODNO”
KSIĄŻKA, KTÓRĄ WARTO ZNAĆ
- 107 DIALOGI – NAJWAŻNIEJSZE ZASADY ZAPISU

- 20 FELIETON O FEMINATYWACH

POEZJA

- 30 ZIMA
- 45 JESTEM
- 57 FOKSTROT Z GRZAŃCEM



FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

LISTOPAD 2025

COPYRIGHTS©2025 BY MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

REDAKTOR NACZELNA

Magdalena S. Matusiewicz (craft.swan.creations@gmail.com)

Z-CA REDAKTOR NACZELNEJ

Magdalena Zwolińska ([Magdalena Zwolińska. Redakcja i korekta](#))

SKŁAD DPT

Swan Craft Creations (www.nocnaredaktorka.com)

ILUSTRACJE DO OPOWIADAŃ I POWIEŚCI

Kinga Witczak ([WITCH.ak Art](#))

REDAKTORZY I KOREKTORZY

Magdalena S. Matusiewicz

Magdalena Zwolińska

Magdalena Malinowska-Dziekan (studiokreacji.magdadziekan@gmail.com)

[Milena Wysocka](#)

Weronika Belowska ([Korekta.WB](#))

[Paulina Mika](#)

Magdalena Tomczak ([Korekta po składzie](#))

Patryk Żelazny (patryk.zelazny.redakcja@gmail.com)



FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

Drodzy Czytelnicy,

witajcie we „Fragmentarium” – miejscu, które zrodziło się z miłości do słowa i z potrzeby zatrzymania się na chwilę w świecie, w którym coraz trudniej o ciszę i prawdę. To przestrzeń, w której język ma czas, by wybrzmieć, a my – by naprawdę go usłyszeć.

Ten magazyn powstał z wizji, która towarzyszyła mi od dawna. Marzyłam o miejscu, gdzie literatura spotyka się z refleksją nad jej tworzeniem, gdzie fragmenty tekstów, emocji i myśli układają się w całość – w opowieść o pisaniu, czytaniu i człowieku. Dopiero gdy sama zaczęłam pracować jako redaktorka i grafik DTP, ta wizja mogła wreszcie się urzeczywistnić.

We „Fragmentarium” znajdziecie opowiadania pisane prosto z serca – takie, które powstały nie z potrzeby algorytmu, lecz z potrzeby duszy. W czasach, gdy sztuczna inteligencja tworzy tysiące tekstów dziennie, my pokazujemy słowa, które mają puls i ciepło. Teksty autorów, którzy podążają własną twórczą ścieżką, pisząc to, co naprawdę w nich siedziało – w pisarskiej duszy, w sercu, w doświadczeniu.

Zobaczycie tu również efekt redakcyjnej pracy cudownego zespołu, który dołączył do mojej wizji. Każdy z członków redakcji wniósł do tego projektu coś wyjątkowego – wrażliwość, profesjonalizm i wiarę, że literatura ma sens, jeśli powstaje z prawdy i pasji.

„Fragmentarium” to nie magazyn do przelotnego przejrzenia. To miejsce, w którym warto zostać na dłużej. Poczuć rytm języka, zatrzymać się przy zdaniu, które poruszy. Przemyśleć. Uśmiechnąć się. Albo po prostu – pobyc.

Nie obiecuję łatwych odpowiedzi. Ale obiecuję słowa, które zostały napisane z autentyczności. Nie oferuję modnych recept. Ale oferuję głosy – ludzkie, prawdziwe, szczere.

Bo „Fragmentarium” to właśnie to: zbiór fragmentów, które razem tworzą pełnię. Pełnię literatury, emocji i spotkań z ludźmi, dla których słowo wciąż znaczy coś więcej.

Zatrzymajcie się tu na chwilę.

To miejsce stworzyliśmy dla Was.

Z literackim pozdrowieniem,
Magdalena S. Matusiewicz
Redaktor naczelna



FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

ZAPOWIEDŹ NUMERU „FRAGMENTARIUM”

Zanurzcie się z nami w pierwszy numer „Fragmentarium” – pełnego słów, emocji i fragmentów, które składają się na całość.

Na początek – cisza. W leśnej głuszy spotkacie kogoś, kto mówi niewiele, ale czyja obecność zostaje z Wami długo po ostatnim zdaniu. To opowiadanie o cichej osobie, o której szumią drzewa.

Przeniesiemy się też do świata redakcji – w artykule o tym, czym właściwie jest justowanie tekstu. Zobaczycie, jak prosty zabieg techniczny potrafi zmienić rytm całej strony.

A potem... wracamy do opowieści. Dla miłośników mocniejszych wrażeń mamy horror – mroczny, intensywny, pełen niepokoju. Dla tych, którzy lubią, gdy fikcja ociera się o dziwność – nuta weird fantasy.

Zaraz potem poznacie Żabola. Opowiadanie o tym bohaterze urzekło redakcję warsztatem, pomysłem i szczerością. To tekst wyróżniony, wyjątkowy.

Po wagarach wracamy do szkoły – spokojnie, tym razem nie będzie kartkówki. Przygotowaliśmy kilka podstawowych haseł z cyklu SŁOWNICZEK REDAKCYJNY, który pomoże Wam lepiej zrozumieć język, którym posługują się redaktorzy.

Ze szkolnej ławki uciekniemy wprost do pokoju młodego człowieka. Tam czeka Was opowieść zmysłowa, nietypowa, w świątecznym klimacie. Erotyk? Owszem. Ale inny. Zaskakująco smakowity.

Nie zabraknie też poezji – tej, która mówi delikatnie, ale zostaje w sercu. Miłośnicy wierszy znajdą tu coś dla siebie, coś między słowem a milczeniem.

Przyjdzie też czas na coś dłuższego. Przedstawimy pierwszy rozdział powieści o pewnej niezwykłej kieszce – gdzieś w przestrzeni, może między wymiarami – która zaprowadzi nas do kolejnego opowiadania – nad zamrożone jezioro, w taneczny romans z życiem.

Zostaniemy jeszcze na chwilę w tonacji romantycznej, zanurzeni w poezji, by potem brutalnie cofnąć się w przeszłość. Tam czeka historia pisma i fonetyki – opowieść o tym, co towarzyszy każdemu pisarzowi i redaktorowi od pierwszej litery do ostatniego znaku interpunkcyjnego.

Ale spokojnie – nie na długo zostaniemy wśród suchych faktów. Zaraz potem wrzucimy Was w przyjemniejsze rejony wyobraźni. W mityczne wizje o kimś, kto mógłby być... Mikołajem, ale niekoniecznie tym z czerwonym kubrakiem.

Po tej wizji – upadek. Pustka. Piekło. A potem – ukojenie. Poezja, która jak dłonie na duszy, pozwoli Wam odetchnąć.

Na chwilę zatrzymacie się też w chacie pewnej samotnej staruszki. W jej oczach odbijają się stare mity, a każde pęknięcie drewna w piecu brzmi jak echo dawnych historii.

To właśnie od niej ruszymy dalej, w góry, gdzie zima rodzi własne legendy, a śnieg potrafi opowiadać tak, jak nie potrafi żadne słowo.

Dalej czeka na Was artykuł o książce Remigiusza Mroza – o pisaniu, o warsztacie, o tym, jak słowa potrafią działać w rękach autora.

A później... zrobimy coś, czego redakcje zwykle nie robią. Przeprosimy Was. Dosłownie – w pewnej sieci restauracji. A zaraz potem rzucimy Was w sam środek weselnego śledztwa, gdzie nic nie jest takie, jak się wydaje.

Dalej – znowu wiedza. Tym razem o dialogach: jak je pisać, jak je interpunkcyjnie zaopiekować.

Na moment zajrzemy jeszcze na starą plebanie – miejsce z tajemnicą i ciszą.

I gdy już przebrzmiały wszystkie emocje, gdy ostatnia strona zacznie się zbliżać – na końcu będzie czekać na Was felieton. W listopadzie napisałam o feminatywach. O języku, o równowadze i o tym, że czasem warto pozwolić słowom być po prostu sobą.

CICHUTKI

OPOWIASTKA ZA SZYLINGA ZE ŚWIATA KRUCZEGO STRYCHU

REDAKCJA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: PATRYK ŻELAZNY

Hans wiedział, że jeśli przed zmrokiem nie dotrze do dworu von Rohra i nie przekaze wiadomości o zgonie nestora rodu – a raczej, co istotne, o wynikającym z tego sowitym spadku – pan rozkaże obić go nahaniami, dokładnie tak, jak kilka lat wcześniej ukarano jego brata za kradzież chleba. Czas gonił, więc popędzał szkapę, jak tylko mógł, ledwie trzymając się w siodle.

Ściemniało się.

Umartwianie się nad tym, co będzie, przerwał nagły, ostry dźwięk i błysk. Hans przysiągłby, że w półmroku lasu coś się zaświeciło, jakby para ślepi. Koń zarżał dziko, zachwiał się, wydobyl z siebie przeźrażliwy dźwięk i runął na ścieżkę. Chłopak uderzył o ziemię. Sprawdził, czy zwitek pergaminu nie wypadł, i syknął z bólu. Prawa dłoń pulsowała i gwałtownie puchła. Zakrztusił się własnym szlochem, zobaczywszy, jak zimowy zmierzch spowija las, zostawiając go samego na pastwę losu między drzewami.

– Młode i głupie, ale fartowne.

Spomiędzy poszycia lasu wychyliła włochata, siwa głowa starca z wybrakowanym uzębieniem, które szczerzył w dziwnym uśmiechu.

– Nie dojedzie, w nocy się zgubi i baboki go zeżrą. Po nowego konia nie wróci, bo mu nogi za tego przetrąca. Ze mną pójdzie. Rękę obwiążemy, polewką nakarmimy. Do rana przeczekaj.

– Nie znam...

Dziadyga odwrócił się na pięcie i zaczął znikać w krzakach, jakby był częścią lasu.

– Pustelnikowi zaufa albo mu wilki w nocy dupę ogryzą. Jego wybór.

Wiekowa, kamienna budowla, mimo upływu czasu, trzymała się znakomicie. Gęsta, słona zupa pozwoliła Hansowi na chwilę zapomnieć o jego marnym losie. Lepka papka z ziół otu-

liła stłuczoną dłoń i przyniosła ulgę.

– Po schodach wylizie. Tam łóżko.

Hans sięgnął do sakiewki.

– Jutro zapłaci. Teraz spać idzie.

Ledwo wlaźł po trzeszczących schodach. Odstawił świecę, zszedł cichym, położył się na łóżku, miękkim jak biust jego ukochanej karczemnej dziewczki. Nie zastanawiał się już, skąd leśny dziad wytrzasnął to łóżko. Nie słyszał też klucza przekręcanego w starym, ale mocnym zamku.



Hansa obudziło parcie na pęcherz. Kręciło mu się w głowie, a polewka stała w gardle. Nie zobaczywszy nigdzie nocnika, ruszył ku drzwiom. Zamknięte. Zatrzasnęły się? Dziadowi się coś pomyliło? Ostatnim wysiłkiem schylił się pod łóżko.

Światło wypalanej do połowy świecy pozwoliło dostrzec Hansowi coś, co sprawiło, że nie musiał już martwić się o swoją dotychczasową potrzebę. Nogawice nasiąkły ciepłem i wilgocią.

Pod łóżkiem leżał trup. Ze zmiażdżonej twarzy ostał się tylko spuchnięty język, rozciągnięty i zwisający z resztek brody.

Łeb sługi zaczął pracować tak intensywnie, jak nigdy w życiu. Zaciśnął zęby, wywłókł kadawera na łożo, przykrył derką. Zwymiotował. Schował się tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżał nieboszczyk.

Gdy usłyszał trzask zamka, wstrzymał oddech.

Kroki. Stęknienie. Trzy potężne uderzenia czymś ciężkim w łóżko. Prerażone pluskwy rozbiegły się w popłochu po podłodze.

– Cichutki... może się nawet nie obudził.

BJORN ERICSSON

Pisze krótkie, mroczne opowieści o człowieku postawionym wobec wyboru, instynktu i lęku.

Interesuje go napięcie rodzące się w ciszy – gdy codzienność pęka i odsłania swój ciemniejszy wymiar.

Projektuje nieliniowe narracje do gier wideo, sesji RPG i LARP-ów, eksplorując, jak decyzje prowadzą historię.

Pracuje nad nowymi opowiadaniem i interaktywnymi formami grozy.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: <https://www.instagram.com/bjorn3ricsson>

Po drugiej stronie strachu



Autor: Anna Korczyńska

Wydawnictwo: [Limitless Mind Publishing](#)

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book

Gatunek: literatura obyczajowa, samorozwój

Data premiery: 10/12/2025

Gdzie kupić? [Empik](#)

Szczerze, autobiograficzne świadectwo wychodzenia z kryzysu: od wczesnego macierzyństwa i małżeństwa naznaczonego przemocą oraz wstydem, przez depresję, lęk o byt i doświadczenie onkologiczne, aż po stopniowe odzyskiwanie granic, godności i wolności. Przez całą narrację przewija się myśl, że to, co najważniejsze – spokój, miłość i wolność – czeka po drugiej stronie strachu.

Autorka nie tylko relacjonuje własną drogę. Ona świadomie tworzy z niej przewodnik. Nazywa mechanizmy przemocy i opisuje codzienność depresji oraz długów, co ułatwia odbiorcy rozpoznanie szkodliwych wzorców i oddzielenie wstydu od realnej odpowiedzialności. Wskazuje pierwsze, wykonalne kroki ku sprawczości oraz wartość siostrzeństwa i stawiania granic.



JUSTOWANIE TEKSTU W PRAKTYCE

JEGO WPŁYW NA ODBIÓR TREŚCI

REDAKCJA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

Wyrównanie tekstu – z pozoru drobny szczegół edytorski – znacząco wpływa na jego czytelność, estetykę oraz sposób, w jaki jest odbierany przez czytelnika. Termin „justowanie” oznacza wyrównywanie tekstu względem marginesów – najczęściej do lewej, prawej, środka lub do obu marginesów jednocześnie. Wbrew pozorom nie jest to wybór wizualny. Sposób wyrównania tekstu wpływa na komfort czytania i jest ważną decyzją typograficzną, którą podejmuje się w zależności od rodzaju tekstu, miejsca jego publikacji i oczekiwań odbiorcy.

W artykule omówię rodzaje justowania, ich zastosowanie, najczęstsze błędy i praktyczne wskazówki. To kompendium wiedzy przede wszystkim dla tych, którzy przygotowują teksty do druku lub publikacji cyfrowej. Coraz więcej autorów publikuje swoje teksty na blogach czy stronach autorских, jak i w formie propozycji wydawniczych czy do wybranych przez siebie redaktorów (gdy decydują się na self-publishing). Dlatego ta wiedza przyda się każdemu. Pomoże uporządkować to, co już wiesz. A jeśli dopiero zaczynasz swoją przygodę z tekstem – jako redaktor lub autor – umiejętne formatowanie zapewni Ci solidne podstawy do dalszej edycji i pracy nad treścią.

Co to jest justowanie tekstu?

Justowanie polega na wyrównaniu linii tekstu względem określonego punktu odniesienia – marginesu lewego, prawego, obu marginesów lub środka łamu. Dzięki odpowiedniemu justowaniu uporządkujemy układ tekstu w kolumnie (łame) i uzyskamy harmonijny, przejrzysty wygląd

Istotne jest rozróżnienie między justowaniem a ogólnym wyrównaniem, które jest używane w grafice czy edycji obiektów – w kontekście tekstu odnosi się ono konkretnie do rozmieszczenia wierszy względem marginesów.

Typografia, czyli sztuka kształtowania tekstu, bierze pod uwagę nie tylko układ samych znaków, lecz także światło między nimi, odstępy między wyrazami oraz równowagę całej strony lub ekranu.

Rodzaje wyrównania tekstu

1. Wyrównanie do lewej

Jest najpopularniejszym i najbardziej naturalnym sposobem wyrównania treści – stosowanym zarówno w dokumentach tekstowych, jak i w większości stron internetowych. Tekst jest równy po lewej stronie, a prawa krawędź pozostaje nieregularna.

Zalety:

- Swobodny rytm czytania w językach pisanych od lewej do prawej.
- Przejrzystość i czytelność, szczególnie na ekranach.

Wady:

- Prawa krawędź może wyglądać, jakby była poszarpana, co wpływa na estetykę długich tekstów drukowanych.

Zastosowanie:

- Artykuły online, dokumenty techniczne, blogi, e-booki.

2. Wyrównanie do prawej

Rzadziej stosowane, głównie w celach dekoracyjnych lub technicznych. Tekst wyrównany do prawej strony tworzy nieregularną krawędź po lewej.

Zalety:

- Estetyczny efekt w określonych kontekstach, np. podpisy, nagłówki graficzne.

Wady:

- Utrudnia czytanie – brak wyraźnego początku wiersza.
- Zaburza rytm czytania.

Zastosowanie:

- Podpisy zdjęć, daty, nietypowe układy graficzne.

3. Wyśrodkowanie (centrowanie)

Tekst jest wyrównywany względem środka łamu – linie są przesuwane tak, by ich środek znajdował się w jednej pionowej osi.

Zalety:

- Symetria i elegancja, dobre w nagłówkach lub cytatach.

Wady:

- Tekst nieczytelny w dłuższych akapitach – trudniej znaleźć początek wiersza.
- Brak wyraźnego rytmu czytania.

Zastosowanie:

- Tytuły, slogany, wiersze, zaproszenia, prezentacje.

4. Justowanie pełne (do lewej i prawej jednocześnie)

Najczęściej spotykane w książkach, czasopismach i oficjalnych dokumentach. Treść jest wyrównywana zarówno do lewego, jak i prawego marginesu.

Zalety:

- Estetyczny wygląd – tekst tworzy prostokątny, uporządkowany blok.
- Profesjonalny wygląd, kojarzony z publikacjami drukowanymi.

Wady:

- Może tworzyć zbyt duże odstęp między wyrazami.
- Wymaga dobrej kontroli dzielenia wyrazów i światła między literami.
- Może prowadzić do błędów typograficznych: rzek (pionowe ścieżki światła), wdów i bękartów.

Zastosowanie:

- Książki, gazety, czasopisma, dokumenty formalne.

Justowanie a czytelność tekstu

- Układ tekstu bezpośrednio wpływa na to, jak szybko i komfortowo czytamy. Badania pokazują, że na ekranie komputera lub smartfona lepiej sprawdza się wyrównanie do lewej – oko łatwiej znajduje początek wiersza.
- Justowanie pełne może pogorszyć czytelność, zwłaszcza na wąskich kolumnach lub bez dzielenia wyrazów.

- Wyśrodkowanie i wyrównanie do prawej stosowane w nadmiarze rozbijają rytm czytania i są mniej funkcjonalne.

Dobry skład powinien zawsze wspierać treść, a nie utrudniać jej odbiór.

Kiedy i gdzie stosować konkretne wyrównanie?

Publikacje drukowane

- Książki beletrystyczne: najczęściej stosuje się justowanie pełne.
- Czasopisma i gazety: pełne justowanie z kontrolą dzielenia wyrazów.
- Ulotki i plakaty: centrowanie lub świadome wyrównania zależne od projektu.

Publikacje cyfrowe

- Strony WWW i blogi: najlepiej sprawdza się wyrównanie do lewej – większa przejrzystość i czytelność.
- E-booki: różnie – niektóre formaty (np. EPUB) pozwalają na automatyczne ustawienie wyrównania przez czytnik. W razie wątpliwości – bezpieczniejszy jest układ do lewej.

Dokumenty urzędowe i naukowe

- Często wymagają pełnego justowania jako standardu formalnego (np. prace licencjackie, pisma procesowe).
- Warto zapoznać się z wytycznymi konkretnej instytucji.

Projekty graficzne

- Kluczowa jest spójność stylu – czasem lepiej wygląda wyśrodkowanie lub niestandardowe wyrównanie.
- Dobry projekt wykorzystuje wyrównanie jako element kompozycyjny, a nie tylko techniczny.

Najczęstsze błędy przy justowaniu

- Brak dzielenia wyrazów: tworzy „dziury” w tekście – zbyt duże odstęp między słowami.
- Złe dzielenie wyrazów: automatyczne łamanie bez kontroli może prowadzić do błędów językowych.

- Rzeki/rynny: pionowe przerwy w tekście, które psują jego strukturę optyczną.
- Wdowy i bękarty: samotne linie na końcu akapitu lub początku kolumny – należy je kontrolować w programach DTP.
- Wyrównywanie spacjami: absolutnie niedopuszczalne – prowadzi do błędów typograficznych i nieczytelności.
- Brak wcięcia akapitowego lub zbyt duże odstęp między akapitami: chaos wizualny i trudności z rozpoznawaniem struktury tekstu.

Narzędzia i techniki: jak justować tekst poprawnie

Microsoft Word

- Justowanie dostępne na pasku narzędzi (ikony z liniami).
- Włącz dzielenie wyrazów: Układ strony > Dzielenie wyrazów > Automatyczne.
- Ustaw styl akapitowy i wcięcia zamiast używania spacji.

Google Docs

- Brak automatycznego dzielenia wyrazów – może to pogarszać efekt justowania pełnego.

- Lepsze rezultaty uzyskasz przy wyrównaniu do lewej.

Adobe InDesign

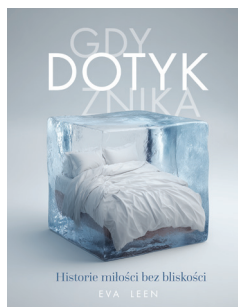
- Profesjonalne narzędzie do składu: kontrola dzielenia wyrazów, wcięć, światła, sierot i bękartów.
- Możliwość tworzenia stylów akapitowych z precyzyjnym sterowaniem wszystkimi aspektami tekstu.

Canva

- Ograniczona kontrola nad justowaniem – często dostępne tylko wyrównanie do lewej, środka lub prawej.
- Do składu dłuższych tekstów lepiej używać Worda lub InDesigna.

Teraz już wiesz, że justowanie tekstu to ważna decyzja redakcyjna, która wpływa na czytelność, estetykę i odbiór Twojej treści. Nie zawsze pełne justowanie jest najlepszym rozwiązaniem – czasem lepiej sprawdzi się prostota i funkcjonalność wyrównania do lewej. Zawsze warto dostosować sposób justowania do rodzaju tekstu, miejsca publikacji, grupy odbiorców i celu publikacji.

Gdy dotyk znika. Historie miłości bez bliskości



Autor: Eva Leen
Wydawnictwo: [Limitless Mind Publishing](#)
Oprawa: miękka
Formaty: druk, ebook, audiobook
Gatunek: literatura obyczajowa
Data premiery: 10/12/2025
Gdzie kupić? [Empik](#)

Ta książka to poruszająca opowieść o kobietach, które żyją w cieniu ciszy – obok partnera, a jednak zupełnie same. To historie o braku dotyku i bliskości, o ciałach, które wołają o uwagę, i pytaniach, które wracają każdego dnia: „Czy coś ze mną jest nie tak?”.

Według statystyk Narodowego Testu Zdrowia Polaków 2024, 31% dorosłych Polaków nigdy nie uprawia seksu. To nie jest powieść o seksie. To książka o jego braku – i o tym, jak bardzo potrafi on zmienić człowieka i relację. Ta książka trafia do kobiet, które w pewnym momencie życia zadają sobie pytanie: „Czy to już wszystko, co mnie czeka?”. Lektura pomaga im nazwać to, czego dotąd nie umiały wyrazić.



ALITA. PRZEDCIEN'

UNIWERSUM ŚCIEŻKI

REDAKCJA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: PATRYK ŻELAZNY

Świątynne wrota zagrzmiały... Po pociemniałym przedśionku z wolna przetoczył się cichy pomruk. Niczym stłumione echo wyjącej na zewnątrz zawiei czy też, być może, niespokojna zjawia – ot, duch pielgrzyma, który z woli mściwej pogody nigdy nie dotarł do celu za życia. Ścielący się w sieni mrok poczęła wówczas ospale przykrywać biel zimowego świtu majaczącego sponad odległych grani. Skuwszy dawno wypłowiałe dywany bładą otuliną, owa mroźna obecność przemknęła po ścianach i zmatowiałych witrażach. Ponaglana skrzypotem chroboczącej bramy, której to ciężko okute skrzydła szorowały mozolnie po zwilgotniałych deskach – podobnie jak łódź, co przeprawiałaby się przez zmarzniętą rzekę.

Tamtego dnia słońce nieomal zapomniało wzejść; pięło się wzwyż z przedziwną ledwością, zupełnie jakby od niechcenia – może nawet z bojaźliwą rozważą. Poranek polewczony płachtami pierwszych promieni słonecznych skulił się w kątach i zalał niespiesznie wewnątrz murów podniszczonej świątyni – wówczas w jej progu stanęła kobieta.

Wzrok miała pusty, poczerniała od rozwartych źrenic i zastygła mętym spojrzeniem na przejściu do nawy. Jej twarz napuchnięta, posiniaczona w tylu miejscach, że wybroczyny aż zlały się w wynędzniałą maskę. Policzki zapadły się jak u trupa, usta sine i pokrwawione, całe w jątżdżących się ranach, zbyt głębokich, by się zagoić. Te, niemało prawdopodobne, że uczynione własnymi zębami, jakby kawałek po kawałku, wygryzała w bólach swe wargi. Spod targanych wiatrem strzępów kozucha, zarzuconego w wyraźnym pośpiechu, straszyla z kolei czerwonosina, poobcierana skóra. Jeszcze niżej – bosc stopy, niemalże czarne – dziw aż, że wciąż mogła na nich ustać, co dopiero chodzić. Niemniej szła, niby żywy trup niewzruszony własnym niebytem. Każdy kolejny krok zdawał się obdzierać ją z i tak już marnych resztek człowieczeństwa; przekraczając się, z trudem przypominała cokolwiek więcej niż tylko bezbożny kształt imitujący dziecię Ateriona¹.

Niby wysuszony na słońcu racht² wlokła się bez wyraźnego celu, bezwładnymi ramionami znacząc ślad w przestrzeni kurzu. Wgapiona w kołyszące się w świetle świec kształty, chwiała się i utykała, co rusz zaczepiając o niewidoczne przeszkody, głucha na błagania własnego ciała o spoczynek. Możliwe, że zwyczajnie nie mogła ich już dłużej słyszeć – przyćmiły je szepty – oskarżycielskie głosy i mściwe obelgi, zbłądzone jaźnie poszukujące sprawiedliwości. Chór, który spóźniony zabrzmiał w rytm klekoczących kroków. Dopiero usłyszawszy jego pierwszy głos, wzdrygnęła się. Błąd, oczywiście. Nieostrożny ruch, który przypłaciła donośnym chrupnięciem stopy, po chwili zagłuszył kolejny, jeszcze głośniejszy. Nie zdążyła zrobić nic więcej, nim runęła bezwładnie i wgrzyzała się w stwardniałą od zimna podłogę.

Ukruszone odłamki zębów potoczyły się w ciemność, dudniąc z siłą echa mosiężnego dzwonu. Dotąd apatyczna i osowiała Anna, trzująca się byle chodem, a niewrażliwa na trawiące ją rany, krzyknęła. Niemniej nie jak człowiek – był to krzyk zwierzęcy, przepełniony bezrozumnym strachem; krzyczała jak padła z wycieńczenia ofiara, niezdolna do ucieczki, a której żywcem wyżerano trzewia. Przypominała robaka wijącego się po nabiciu na haczyk w nieprzewidywalnych spazmach. Krzyczała, aż ostatnim po nieustannych wrzaskach tchem zawyla raz jeszcze, raz ostatni, nim opadła całkiem z sił. Wtedy, wgapiona w sufit, nasłuchiwała. Ściekająca nieustannie w głąb jej gardła jucha, naturalnie przesycona metalicznym posmakiem, nagle stała się łatwa do zniesienia – więcej nawet – zrazu paskudna odraza przeinańczyła się w nagłą pragnienie. Poczuła słodczy niemalże wykwinął; znikąd przejęło ją poczucie niepojętego głodu.

Własne ciało zaczęło kusić Annę zapachem. Pojawiła się w niej pożądliva ciekawość jego smaku. Zbliżywszy dłoń do ust, językiem przejechała po zdartej skórze palców, po odłampakach paznokci, po poszarpanych wargach. Rychło owaładnęło nią bluźniercze podniecenie. Nie mogła się oprzeć pokusie delektowania się własną skórą. Krztusząc

1 Aterion – bóg wszelkiego życia, światła i natury, czczony głównie w Arii i Akarii.

2 Racht – agresywny, wędrowny duch, najczęściej występujący pod postacią karykaturalnej, humanoidalnej kukły. Porusza się w charakterystyczny, „przerywany” sposób.

się i dławiąc, wpychała kolejne palce do ust, zalewana śliną i łzami obłudnej przyjemności. Było cudownie. Najwspanialej. Nie mogło być lepiej. Im było jednak przyjemniej, tym pragnęła więcej; z niekończącego się uniesienia wyrwała ją wówczas świadomość niemożliwej do zaspokojenia żądzy. Obdarowana na powrót rozumem, zobaczyła obgryzione do kości strzępy własnej dłoni. Natychmiast zwymiotowała, a w kałuży kwaśnych soków wymieszanych z krwią i resztkami zobaczyła swe odbicie.

Wtedy ponownie – poczuła głód. Pożreć siebie samą, jakże cudowna była to wizja. Rzuciła się na kałużę rozlanej ohydy z łapczywością zgrai wygłodniałych psów; wpadła w nią z takim pędem, iż nie sposób powiedzieć, jak zdołała zachować kształt twarzy czy resztę zębów. Przeżute raz mięso połykała w całości, chrząstki rozgryzała ze smakiem; nie minęła chwila, nim mlaszcząc

jak nienażarty wieprz, wylizała do czysta stare deski.

Oblaną potem, gryzła ją przenikliwie na wskroś zimno; przełyk palił obrzydliwie kwaśny gorąc. Niewypowiedziana odraza wobec siebie samej zajęła z kolei głowę, kiedy w plamie ohydy opędziła się od przekłętego głodu. Nóg nie czuła w ogóle; nie była w stanie podtrzymać dłużej bezwolności zmaltretowanych kończyn. Obdarłej z sił Annie nie pozostało nic więcej, niż się poddać. Zamknęła oczy i pozwoliła sobie rozluźnić ostatki posłusznych nadal mięśni. Ostatnią jej wolą, być może jedyną własną w tamtych momentach, był uśmiech, którym zechciała przywitać śmierć. Chwilę później upadła, z głuchym łomotem rozbijając szczękę i nos na przemarzniętej podłodze.

Przed sobą znów miała miejsce, w którym chwilę temu rozpaczliwie próbowała wypłuć z siebie własny żołądek. Miejsce, w którym czuła, jak wycieńczenie wydiera z niej ostatni oddech – w którym moment wcześniej skołała. Zupełnie jakby czas zlitował się nad jej losem i zwrócił jej te ułamki wieczności. Pytanie jednak, czy naprawdę był to pobłażliwy gest, czy zaledwie złośliwy kaprys, a wszystko miała za chwilę przeżyć ponownie. Mimo miazdzącego bólu tym razem nie krzyknęła. Była zbyt niepewna, zdziwiona i przerażona, by choćby pisnąć. Rozumiała niewiele ponad to, co miała przed sobą – a była to schludna, choć pędząca ku zaniedbaniu przestrzeń. Powłóczywszy wzrokiem za cichutkim stukotem zębów kawałek dalej, Anna dostrzegła wypływającą z dziur i szczelin ciemność, niby mglistą materię pożerającą wszelkie światło.

Z ciemności tej wypełzły natomiast smukłe dłonie o długich palcach i delikatnej, kobiecej skórze. Bacząc na Annę, zupełnie jakby każda z nich miała parę oczu, z wielką ostrożnością zebrały zęby z podłogi, po czym wślizgnęły się z powrotem w zanikający mrok. W tej samej chwili rozbrzmiał na nowo chór złożony z dziecięcych głosów. Anna rozpoznała je, lecz nie bez problemu, gdyż żaden z nich wcześniej tak nie brzmiał – teraz były piękne i czyste, a przy tym diabolicznie nienaturalne.



Coś w nich bowiem było, w każdym z osobna – coś nienormalnego.

Coś złowieszczo obojętnego, wobec czego blada jej wszelka niedola. Słyszając je, mogła przysiąc, że coś z niej ucieka, że próbuje się wyrwać.

Coś, czego nie potrafiła określić, lecz co ku własnemu przerażeniu przyrównałaby do duszy, która uchodząc z Anny, wydierała z niej również strach, ból i rozpacz, ale i wspomnienie wszystkiego, co miłe, pozostawiając jedynie pustą skorupę bez krzty emocji czy uczuć. Mamiona była przedziwnym uczuciem; im mniej w niej zostawało, tym paradoksalnie więcej zaczęła widzieć – dostrzegać kształty.

Na ścianach wyraźnie zaczęły odznaczać się rysunki; niezwykle proste szkice, po prawdzie dziecięce gryzmoły – przedstawiały patykowatych ludzi i, jak sądziła, domowy plac zabaw. Cztery większe postaci, w których rozpoznała Ninę i dozorców, nakreślone były w jednym rzędzie u góry. W drugim, poniżej nich, dziewięć mniejszych – dzieci. Tych było jednak za mało, brakowało jednego...

Alita...

Imię samo cisnęło się na usta Anny, nie ośmieliła się go jednak wypowiedzieć. Nie zdążyła zresztą – rozproszył ją trzask zamykających się za nią drzwi, po czym nastała absolutna cisza. Gdy odwróciła się ponownie, naściennych rysunków już nie było.

Na powrót osowiła, Anna się podniosła; stanęła nieudolnie, namiastkę równowagi utrzymując kikutem stopy. Zwisające bezwładnie na skórze strzępy rozerwanego stawu nie wydawały się nijak jej wadzić. Po prawdzie nawet tego nie czuła. Nie czuła bólu, nie czuła kolan ani nic poniżej – jedynie niemrawe echo kásającego chłodu, ten niemniej wydawał się nawet orzeźwiający.

Opierając się o ławy rozstawione wzdłuż hali, Anna pokuśtykała naprzód, pokrzepiona dyskomfortem wbijających się w dłonie grudek. Nie dbała o to, czy były to drzazgi, ziemia czy złogi zmarzniętej krwi – nieistotne, przynajmniej tak długo, jak utwierdzało ją to w przekonaniu, że jeśli zawiodą nogi, wciąż ma na czym się czołgać, oraz, tak po prostu, że wciąż żyje. Że nie jest to tylko kolejny złośliwy twór nawiedzonego umysłu. Po którymś kroku odczuła nawet coś na pozór satysfakcji. A z tym uczuciem, choć nigdy nie posądziłaby się o równą zuchwałość, obejrzała się za siebie, może w nadziei, że dostrzeże w oddali zarys ośnieżonych gór. Tych samych, za którymi kiedyś, bardzo dawno temu, rozciągały się zielone pastwiska pełne bujnych traw. Kiedyś, jeszcze przed długą zimą, nim wojna i popiół przykryły jej ówczesny świat. Uśmiech pojawił się razem ze wspomnieniem, oba mimowolnie. Jej myśli na

krótką chwilę nasiąkły beztroską. Przypomniała sobie mgliste poranki, które spędzała w oborach, gdzie oblepiona sianem spała razem z cielętami. Przez pamięć przemknęły jej niewyraźny obraz posiwiąłej od spodu brody i kwieciste wzory na przewiązanej fartuchem sukni. Wieczory przy świecach i kominku. Przypomniała sobie, jak rodzice przy nim właśnie śpiewali jej do snu lub opowiadali bajki. Przypomniała sobie tak wiele z nich. Także swą ulubioną, tę o struganym aniele lecz – na krótką chwilę, nim uśmiech został zmyty przez rozlewający się po jej twarzy szaleńczy grymas. Umęczoną twarz zniekształciły zmarszczona do granic skóra i wyszczerzone resztki ukruszonych zębów, zza których jak z żarzącego paleniska buchnął maniackalny rechot.

Głosy powróciły, tym razem wybrzmiewając jej własnymi ustami. Znów ją kasały, bezwzględnie i bezlitosne, wygłodniałe jak nienażarte larwy w dogorywającym żywicielu. Wyły, krzyczały. Oskarżały ją o wszystko, co zrobiła, i o wszystko, czego nie zrobiła, aż do momentu, gdy chrupot jej pękających kolan ukrócił je wszystkie, rozbijając się echem po wnętrzu budynku. Dotarła na miejsce. Konfesjonał był tuż przed nią, a w środku, i to jedyna nadzieja, na jaką mogła sobie pozwolić, czekał on.

– Ojcie... – wyszeptała. Nastąpiło krótkie milczenie; oczekiwanie, podczas którego mogła przysiąc, że słyszała skrzypienie desek i kroki. Zignorowała je. – Tym razem nie przysięgam prosić o wybaczenie – kontynuowała. – O to prosiłam Ją. Prosiłam, bym mogła tu wrócić i spojrzeć ci w twarz po raz ostatni. – Nienawistny wzrok wbiła w punkt przed sobą, w którym, jak sądziła, mógł znajdować się Kurt. – W swej łasce zgodziła się. Być może to więcej, niż zasługuję... ale oto jestem, gotowa wysłuchać, jak tym razem to ty wyznajesz mi swoje grzechy.

Wiatr smagnął o szyby, niemal krusząc szkło swą niespodziewaną wściekłością. Jakby podsycony emocjami kobiety sam chciał wdrzeć się do środka i wymierzyć sprawiedliwość. Ale ona go nie słyszała. W małej przestrzeni dwójki, byli tylko oni oraz słowa. Cała ich płatanina, słów i pytań.

– Powiedz, ojcie... – ciągnęła. Hałas na zewnątrz się nasilał. Wicher huczał i wrzeszczał, ale Anna zdawała się mówić coraz łagodniej. – Kiedy to wszystko się zaczęło? Od jak dawna brałaś w tym udział? A może powinnam zapytać dlaczego...? Dlaczego do tego wszystkiego doszło?! Powiedz coś! Co z tego miałeś, co było w stanie zagłuszyć wrzask twojego sumienia?! – Roześmiała się znikąd tonem tyle szalonym, co przeraźliwym, by w następnej chwili, równie gwałtownie, ucichnąć. – Nie – wyszeptała z wyrzutem. – Teraz to już bez znaczenia.

Coś ponownie skrzypnęło. Uniosła raptownie głowę, nasłuchując otaczającej ją czerni. Czuła, jak ta powoli zacieśnia się wokół konfesjonau. Światło milkło. Szum świateł grał na jej skrytym strachu, a odbicia i cienie mamiły wzrok. Koniec końców mogło jej się tylko wydawać. Odetchnęła. Spróbowała dostrzec twarz kapłana przez zacienną kratę, ale było zbyt ciemno. Nie słyszała nawet oddechu po drugiej stronie.

Równie dobrze mogła sobie to wszystko przyśnić.

Równie dobrze mogła spowiadać się samej sobie. Ale tyle musiało wystarczyć.

– Nie odpowiesz, prawda? – zapytała zawiedziona. – Rozumiem... Koniec końców – westchnęła – no tak, jesteś tu tylko po to, by słuchać... W takim razie pozwól, ojcze, że coś ci opowiem. Część historii, której najwyraźniej niezastępowalną łaską otrzymałeś przywilej nie poznać. Posłuchaj.

Jakiś czas później drzwi świątyni zabrzmiały cichutko, gdy z jej zaciennego wnętrza wyłoniła

się kobieta. Ta sama, lecz inna – twarz jej gładka, a skóra piękna – opleciona majaczącą czernią, powędrowała na północ. Zaś wrota za nią – pozostały otwarte.

DAWID BIELSKI:

Zafascynowany strachem autor niepokoju. Tworzy grozę z pogranicza snu i rzeczywistości, wierząc że strach rodzi się z nieznanego.



„Fragmentarium” to idealna przestrzeń, w której Twoja książka może zaistnieć, zwłaszcza jeśli jesteś debiutantem szukającym profesjonalnej redakcji, korekty i poważnego potraktowania Twojej historii.

Oferowane pakiety promocyjne (START, PROMOCJA, PREMIUM) są właśnie po to, by zmaksymalizować tę obecność – od samego opublikowania fragmentu, aż po pełną recenzję i aktywną promocję w mediach społecznościowych.

Jeśli masz już wybrany pakiet, chętnie pomogę Ci doprecyzować wszelkie pozostałe szczegóły dotyczące naszej współpracy i warunków publikacji. Jeśli chcesz poczytać więcej o pakietach, zajrzyj na [stronę „Fragmentarium”](#).

WAŻNA INFORMACJA!

30 listopada zamykamy wykupywanie pakietów w promocyjnych cenach!

ŻABOL

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA: PAULINA MIKA

KOREKTA TECHNICZNA: PATRYK ŻELAZNY

Poszukiwania rozpoczął od klejnotu w koronie stolicy – dystryktu urzędniczego. Czyste, zadbane ulice wyłożone białą cegłą rozjaśniały fasady kolorowych kamienic należących do konstablów, intendentów, kasztelanów i innych znacznych person. W powietrzu unosiła się woń drogich perfum, kwitnących czeremch, magnolii i starannie podciętych katalp. Przez wysokie bramy zdobione herbami miasta wpuszczano wszystkich, lecz tylko nieliczni mogli czuć się tutaj swobodnie. Gęsto rozstawione posterunki gwardzystów przypominały o elitarności tego miejsca, sami zaś gwardziści: rośli mężczyźni o krótkich karkach i uważnych spojrzeniach, sprawiali wrażenie obeznanych zarówno w prawie, jak i w jego skrupulatnym egzekwowaniu...

Tutejsi przechodnie kończyli rozmowę, zanim zdążyła się rozpocząć – jakby obawiali się, że ubogo odziany, chudy dryblas z odległych krain zaraz poprosi ich o jałmużnę, zatem z naturalną dla bogaczy wprawą unikali kontaktu wzrokowego. Patrzyli na wprost, całą uwagę koncentrując gdzieś w okolicy czubka swojego nosa.

Namu szukał dalej.

Miasto jawiło się jako żywy kołos o sercu bijącym w rytm kowalskich młotów – toczących nieustanny bój ze stałą, a wartki ruch na ulicach przypominał przepływ krwi w ogromnym, blisko półmilionowym organizmie.

Pytani o spijacza snów mieszkańcy robili się nerwowi. Marszczyli czoła, rozglądali się za siebie albo nagle milkli.

Zdarzali się również ludzie, od których biła bohaterska wręcz potrzeba pomocy cudzoziemcom. Zanim Namu zdążył powiedzieć, kogo szuka, już próbowano go prowadzić w ustronne miejsce. Oczywiście takim podejrzanie uczynnym typkom od razu odmawiał. Doskonale wiedział, że egzotyczny wizerunek przyciąga rzezimieszków. Ubrany w brązowe szaty z Dalekiego Wschodu, mierzący niemal siedem stóp wzrostu mężczyzna o karmelowej skórze i srebrnych tatuażach budził zainteresowanie. Poruszał się bezszelestnie, z kością finezją, delikatnie balansując środkiem ciężkości, jakby zamiast kości miał sprężyny gotowe, by wystrzelić.

Namu odnosił wrażenie, że miasto rozpoznaje w nim cudzoziemca. Odwiedził dzielnicę rozryw-

kową, handlową, rzemieślniczą oraz świątynno-alchemiczną, ale wszędzie czuł się ciałem obcym, wypychanym coraz to niżej ku miejskiej kloace – dzielnicy biedoty.

Tutejsi strażnicy miejscy różnili się od gwardzystów z górnych części miasta. Mundury mieli pomięte i brudne, dłonie chciwe, a mętne oczy przywykłe do przemykania. W slumsach rządziła siła – wygrywał najsilniejszy, a konflikty rozwiązywano poza literą prawa, daleko, daleko za marginesem. Pomimo olbrzymiej odległości od rodzimego kraju niemalże wszystko było dla Namu bliźniacze. „Bieda stoi ponad geografą” – myślał.

Różnicę stanowił jeden drobny szczegół: w jego rodzimym Aku żaden biedak nie umarł jeszcze z głodu. Trudny dostęp do wody pitnej znacząco przyspieszał proces śmierci – dwie, trzy doby i koniec. W Gniewogrodzie Namu zauważył sporo wygłodniałych ludzi. Mieli obwisłe policzki, pożółkłą, niezdrową skórę i okropne, zobojeźniałe spojrzenia – jak gdyby zaprzyjaźnili się ze śmiercią i brali ją ze sobą wszędzie.

Spacerując wąskimi uliczkami, widział dzieciaki walczące z bezpańskimi psami o resztki wyrzucane z tanich oberży. Widział błyskające noże, skryte w dłoniach wystraszonych chłopców, widział też wydekoltowane, młode dziewczyny o starych, zmęczonych oczach. Wszystkie te patologiczne twory miasto starało się wydalić właśnie przez dzielnicę biedoty.

Niestrawione zło mierziło Namu, ale miał ważną misję. Odnaleźć spijacza snów. Odnaleźć szybko i za wszelką cenę. Żadnego angażowania się w lokalne sprawy...

Skracając w wąską uliczkę, zauważył awanturę między dziećmi. Trzech oberwańców otoczyło młodą dziewczynę. Przewyższała ich o głowę, być może dlatego nie doszło jeszcze do ataku.

– Nie zrobiłam tego! – krzyczała.

– Oddaj, póki możesz! Masz jeszcze czas, dostaniesz po łapach, ale robotę zachowasz, nie bądź głupia! – przekonywał jeden.

Namu nie powinien był się wtrącać. To sprawy obcego kraju, obcych ludzi. Nie przyspieszą misji, mogą ją za to opóźnić. Wiedział o tym, skrył się jednak za drewnianą chatą.

– Nie jestem głupia i niczego nie ukradłam!
 – A słodką bułeczkę z kuchni?!
 – To co innego... – Zbita z tropu dziewczynka zawahała się. – Naszyjnika nie tknęłam!

– Ann, sprzątałaś pokój starej Peltonowej, której ja ci otworzyłem... Widziałem naszyjnik, widziałem go! Leżał pod lustrem, obok rudej peruki, zanim cię wpuściłem. Żabol wie i tu idzie! Daj mi naszyjnik, powiem, że zabrałaś przypadkiem, i jakoś to będzie.

– No jasne, jak zwykle chcesz się podlizać Żabolowi!

– Chcę ratować twoją skórę, głupia!

– Sam jesteś głupi, Viktor! Nie wiem, co widziałeś, i nie obchodzi mnie to, wy wszyscy mnie nie obchodzą, całe to miasto mnie nie obchodzi i nie zabrałam naszyjnika! Rozumiesz?! NIE-ZA-BRA-ŁAM! Przecież... – Przerwało jej donośne szczekanie.

– Żabol! – zauważył z przerażeniem chłopak. – Szybko, oddaj naszyjnik!

– Nie mam! – Dziewczyna tupnęła nogą. Błoto pod butem paskudnie mlasnęło. – I wcale się go nie boję! – oznajmiła butnie, zakładając ręce na piersi.

– Proszę cię, Ann... – obniżył głos, więc Namu musiał wyteńczyć słuch. – Nie rób głupstw, pomyśl o siostrze.

– Morda, mięczaku! – Ann raptownie popchnęła go obiema rękoma. Chłopak poleciał do tyłu niczym kukiełka. Upadł prosto na tyłek.

Wtem do zaułka wbiegły głośno dyszące cienie – dwa potężne brytany obiegły teren podwórka, obwąchały i obsikały stojące tu i ówdzie drewniane płotki, po czym wróciły do swojego pana. Koledzy Viktora czmychnęli za pobliskie drzewo.

– No, no, no, co my tutaj mamy? Czyż to nie ulubienica szefa? – powiedział niski mężczyzna. Pod znoszonym dubletem w czerwono-czarne paski falowały paskudnie zielone pludry.

Bufiaste, szerokie spodnie nadały jego sylwetce pokraczności, uwydatniały krzywiznę kolan. Wysokie obcasy skórzanych jeździeckich butów nie uchroniły rajtuzów od ubłocenia, pozwalały za to dogonić wzrostem dziewczynkę.

Jedynym w miarę znośnym dla oka elementem prezencji mężczyzny był pierścień z jadem, który iskrzył się zielenią z każdym ruchem ręki dzierżącej sękatą laseczkę. Za jego plecami stało dwóch łysych oprychów.

Obserwujący sytuację obcokrajowiec znał takich jak on. Typowy pokorny sługa czerpiący satysfakcję z nadgorliwego wykonywania obowiązków w zakresie związanym z przesłuchiowaniem, ściganiem, karaniem czy upokarzaniem służby. Słowem: wredna szuja. Co więcej, Żabol przypominał mu inną szuję. Namu poczuł świerzbienie w niezliczonych bliznach na plecach. Dziwna opaska owinięta wokół kostki się poruszyła. „Jestem rzeką, która mosty zrywa” – wziął głęboki wdech. „Jestem rzeką, co do morza wpływa” – powtarzał w myślach.

– Powiedz mi, słodziutka... – Żabol wyduł usta. – To nie ty gwizdnęłaś naszyjnik?



– Nie – odpowiedziała, po czym szybko dodała: – Nie ja, panie Vox.

– W takim razie dlaczego wybiegłaś z gospody? Dlaczego przyszliśmy po ciebie? – zapytał, a zza jego pleców dobiegły chichoty oprychów.

– Wystraszyłam się, bo wzięłam... to. – Sięgnęła do kieszeni. Zbyt szybko. Psy zawarczały groźnie. Wzdrygnęła się. Powoli wyciągnęła słodką bułeczkę.

– Źle zrobiłam, wiem, że źle zrobiłam, ale zapłacę albo odpracuję. Moja siostra... Pan Bent... on... on zrozumie! Wszystko wyjaśnię panu Bentowi.

– Na sam przód musisz przekonać mnie – zarechotał Żabol. Zamiast górnej wargi miał jasnoróżową kreskę, która wykrzywiła się w pasukornym uśmiechu. Mężczyzna zbliżył się do dziewczyny.

– Viktor... – podjął.

– Ale ja naprawdę nie zabrałam naszyjnika! – wtrąciła Ann.

Żabol uciszył ją, przyłożywszy palec do jej ust. Powoli i stanowczo wciskał go między wargi, wydając z siebie przeciągłe: „Ciii”. Gdy napotkał opór zaciśniętych zębów, kontynuował:

– Będziesz odpowiadać, gdy zapytam. Jasne? Nie mów! Kiwnij głową.

Pokiwała twierdząco. Z jednego oka spłynęła jej łza.

„Jestem wodą, która skałę trawi, jestem wodą, co ogień zdławi...” – powtarzał w myślach Namu, uspokajając oddech.

– Ooo tak, teraz lepiej – odrzekł zadowolony. – Będziesz grzeczna, prawda? Będziesz grzeczną dziewczynką?

Znowu pokiwała.

– Dobrze – Zabrał palec z twarzy dziewczynki i go powąchał. Następnie wysmarował nim usta niby szminką. – Viktor, podejdź tu! Byle nie za blisko!

Wytaplany w błocie chłopak spełnił żądanie Żabola.

– Ty jej otworzyłeś?

– Tak, ale...

Laska przecięła powietrze z sykiem, trafiła w lewo udo chłopca. Viktor jęknął z bólu.

– Tylko spójrz, co narobiłeś. Wybrudziłeś mi łaskę! Chodź tu! – Vox szarpnął nieboraka za ramię i zaczął wycierać brud o jego koszulę. – Nie pytałem o żadne „ale”, tylko o proste „tak” albo „nie”. Jasne?

– Tt-a-kk... – wydukał Viktor.

– Ty jej otworzyłeś?

– Tak.

– Gdy otworzyłeś, naszyjnik znajdował się na miejscu?

Chłopak milczał. Vox znów uniósł łaseczkę.

– Pytałem, czy naszyjnik znajdował się na miejscu!

– Muszę sobie przypomnieć – odrzekł Viktor.

– Pan Bent stracił naszyjnik. Nikt ze znanych mi złodziei nie odważyłby się ukraść czegokolwiek panu Bentowi. Tylko skończony głupiec ośmieliłby się na coś takiego. Głupiec albo dzieciak... – Vox spojrzał na dziewczynkę. – Sprawa jest poważna, Pan Bent wyznaczył mnie do znalezienia naszyjnika. Jeszcze nigdy go nie zawiadłem. Od lat cieszę się reputacją wzorowego nadzorcy. Wytropię złodzieja. Jeśli istnieje coś, czego nienawidzę, to kazać czekać Panu Bentowi. Dlatego... – Zwrócił się ku Viktorowi. Laska uniosła się jeszcze wyżej, pierścień błysnął wściekle jadeitowym okiem. Twarz mu poczerwieniała, usta wykrzywiły niebezpiecznie. Psy zaczęły warczeć, gotowe do ataku – ...gdy pytam, oczekuję natychmiastowej odpowiedzi. Daję ci ostatnią szansę: czy widziałeś naszyjnik po otwarciu drzwi tej małej zdzirze, czy nie?

Viktor spojrzał przerażony na napuchniętą gębę Żabola oraz obnażone zębiska brytanów, a zaraz po tym na bladą twarzyczkę Ann. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy, który zdawał się trwać wieczność. Zanim dziewczyna spuściła wzrok na kałużę błota, Viktor już nabierał powietrza, lecz ubiegł go jeden z dwóch obszarpańców dotychczas pozostający z boku.

– Mówił, że widział naszyjnik! Mówił, że widział na pewno! Kryje złodziejkę, bo się zakochał! – wykrzyczał jeden z nich.

– Precz mi z oczu! – rzucił do Viktora nadzorca, waląc go łaską po plecach. – Wynocha! Później się z tobą policzę!

– Niech jej pan nie robi krzywdy, proszę... – powiedział cicho Viktor, ale w odpowiedzi otrzymał kolejne razy, po czym nadzorca przegonił go, kopiąc zaciekle. Chłopak odszedł powoli bez słowa, wpatrzony w Ann.

Malec, który zdradził, wydawał się być wielce zadowolony.

– Dobra robota, mały. – Żabol poczochnął urwisa po bujnej, rudej czuprynie.

– Ma go! Ona na pewno go ma! Będzie się w niego stroić, udawać księżniczkę i robić babskie miny! – wydzierał się tamten, demonstrując „babskie miny”.

– Dobrze, dobrze, a teraz zmykaj. – Żabol złapał go za twarz i odsunął niczym zbędny taboret.

– Pan Bent ceni pracowite dziewczęta, kazał najpierw spróbować rozwiązać sprawę polubownie. Dlatego zanim wydam komendę, masz ostatnią szansę: oddaj naszyjnik, a wszystko rozjedzie się po kościach. Po wielu kościach, trochę je pogruchoczę... – zaszczał i wzdrygnął się niby podniecony wąż – ...ale buzię, śliczną buzię zostawię

w spokoju, obiecuję. – Boleśnie chwycił jej policzki w dłoń i ściągając je ku sobie, stworzył z naciągniętej skóry rybi pyszczek. Puścił nagle i zaczął chodzić wokół Ann. Krążył wokół Niej, bacznie obserwując. – Gdzie naszyjnik? – wypalił nagle.

– Nie mam!

Żabol gwizdnął. Psy doskoczyły do dziewczynki. Obwąchiwały ją zajadle. Cieknąca z pysków ślina zostawiała mokre ślady na sukince.

– Nie... zrobiłam... tego... – piszczała przeżona cieniutkim głosikiem. Stała nieruchomo, z nienaturalnie powykręcانymi rękoma. Otoczona przez krępe bestie, mówiła, a właściwie wyrzucała z siebie pojedyncze wyrazy. Ze strachu nie potrafiła zapanować nad oddechem. Z każdym kolejnym słowem przychodził szybki, krótki oddech. Czuła, jak cieleśka żądnych krwi bestii ocierają się o jej uda. – Po... co... miałabym... to... robić...? I... tak... nikt... nie... kupiłby... ode... mnie... naszyjnika... – Ciekące z oczu łzy wymieszane ze śluzem z nosa spływały kącikiem ust na brodę i kapwały na ziemię.

Na kostkach dziewczyny pojawiła się żółta ciecz; jeden z psów, zainteresowany nowym zapachem, przyłożył wilgotny nos do jej stopy i polizał ją. Dotychczas radosny rudzielec zbladł, odsunął się o kilka kroków i uciekł. Pachołkowie Żabola chichotali i zacierali ręce, sam nadzorca zaś patrzył zafascynowany. Gwizdnął znowu. Psy zakończyły obwąchiwanie. Teraz głośno ujadły, grożąc ostrymi zębiskami.

– To... nie... ja... niczego... nie...

– Tak, wiem, niczego nie ukradłaś. Znam tę śpiewkę, ale na mój gust to za bardzo z ciebie ścieka – prześwidrował wzrokiem dziewczynkę od góry do dołu i znów do góry. – Leci z ciebie jak ze złodzieja. Mdli mnie od tego – powiedział, ale twarz mówiła co innego. Machnął ręką, rozczarowany.

Psy przestały warczeć. Dziewczyna chwyciła olbrzymi haust powietrza, jakby wyszła spod wody. Wytarła twarz rękawem, a nogę od uda aż po kostkę – sukienką.

– Może i moje maleństwa nie wywęszyły przy tobie naszyjnika, ale to nie znaczy, że go nie ukradłaś. Poza tym musimy rozliczyć się za słodką bułeczkę. Jak zamierzasz zapłacić? Do ceny należy doliczyć opłatę za zniewagę i kradzież w miejscu pracy. To będą jakieś cztery srebrne kły... – mówił, głaszcząc swoją łaskę.

– Cztery?! Przecież to więcej niż połowa mojej pensji! Nie mam tylu pieniędzy!

– W takim razie jak zamierzasz zapłacić? Bo zapłacić musisz. Nikt nigdy w mojej obecności nie odejdzie bez uregulowania długu! – Paskudny uśmieszek wypełził na jego twarz niczym robal po deszczu.

– Ja zapłacę. – Namu pojawił się znikąd. Pan Vox zaczął się rozglądać, nie rozumiejąc, kim jest i skąd się wziął ten cudzoziemiec.

– Coś za jeden? – spytał.

– Chcę zapłacić – powiedział Namu i wyciągnął dłoń z monetami.

Nadzorcy to się nie spodobało. Gwizdnął. Psy jednym susem znalazły się pod nogami chłopaka, obnażając kły. Zawarczały natychmiast, warkot jednak szybko zamienił się w żalosne skomlenie. Brytany opuściły krótkie ogonki, pochyliły łby, czmychnęły za Żabola i posikały się ze strachu. Nadzorca pobladł. Spojrzał na swoich pomagierów. Ci jednocześnie chwycili za coś, co trzymali pod kurtkami, i drobnymi kroczkami zaczęli otaczać obcego.

– Co, jeśli nie chcę twoich śmierdzących monet, brudasie?

– Nie są śmierdzące. Dam kolejne cztery, abyśmy mogli rozejść się w pokoju – odrzekł spokojnie. Żabol zerknął na Ann, a później na wędrowca. Jego małe, wodniste oczka drgały razem z bladym podbródkiem.

– Aaa, już rozumiem, ha! – zaczął, poprawiając strój. – Wszystko jasne. Wiem, dlaczego chcesz jej pomóc – ściszył głos. – Nie możesz, co? Nie możesz się pohamować, gdy młoda brzoźka puszcza soki? – Wciągnął powietrze nosem i oblizał usta. Opaska na nodze Namu się zacisnęła.

– Weźmiesz te pieniądze. Płacę dobrą cenę – wycedził przez zęby Namu i dołożył kolejne cztery monety. Żabol zwrócił uwagę na tatuaże wędrowca. Przyglądał im się dłuższą chwilę, by wreszcie tryumfalnie zarechotać:

– Proszę, proszę, brudas złożył śluby! On nam nic nie może zrobić, brać go! – Dwóch oprychów ruszyło w stronę Namu.

– Uciekaj! – krzyknęła Ann.

– Cisza! – warknął Vox, trafiając dziewczynę na odlew. – Dobrze wiem, co ci chodzi po głowie, brudasie. Widzę, jak na nią patrzysz... Marzy ci się posmakować trochę słodkiego lukru...

W tym momencie pierwszy ze zbirów spróbował kopnąć Namu. Jego noga okazała się krótsza od ręki cudzoziemca; była również znacznie wolniejsza – zanim dotarła do celu, na twarz spadła mu otwarta dłoń. Kości nadgarstka zmiażdżyły nos oprycha. Drugi, widząc, a właściwie nie widząc, z jakiego powodu kolega zwija się z bólu na ziemi, wycofał się i uciekł. Co by nie wyjść na skończonego tchórza, krzyknął jeszcze: „Biegne po pomoc!”.

Żabol nie stracił rezonu. Spojrzał wściekle na Hindusa i rzucił:

– Dawaj pieniądze, bierz ją i zjeżdżaj!

Namu wyciągnął rękę z monetami przed siebie. Pozwolił, by nadzorca złapał za mieszek, ale nie zwolnił chwytu. Zdziwiony Żabol spojrzał pytająco

i wtedy Namu przechylił dłoń. Srebrne monety w błoto i zmieszały się z psim moczem. Nadzorca się skrzywił.

– Zmieniłem zdanie. Daruję słodką bułeczkę. Znajcie moją dobroć. Jesteśmy kwita, możecie iść – rzucił i odwrócił się szybko.

– Zaraz! Chciałeś zapłaty, to ją weźmiesz. W mojej obecności również nikt nie odchodzi bez uregulowania długu.

Żabol zbladł i pozieleniał.

– Słuchaj, cudaku, nie wiesz, z kim rozmawiasz. Jestem zaufanym sługą pana Benta i on już doskonale...

– Bierz pieniądze, TERAŻ! – warknął Namu. Żabol zaciągnął się powietrzem, zacisnął wąskie usta, przegryzł wargi, rzucił nienawistne spojrzenie w kierunku Ann i przyklęknął w błocie. Wspierając się na laseczkę, co chwilę mruczał coś pod nosem.

– Daj mu spokój! – zaprotestowała Ania. – Wcale nie jesteś od niego lepszy!

To zdanie zabolowało bardziej niż opaska na kostce. Namu zatkało. Korzystając z okazji, Żabol szybko się ulotnił.

– Po co się wtrącałeś? – zapytała rozgoryczona dziewczyna. – Postraszyłby, pogroził i dałby spokój. Teraz zechce się zemścić!

– Ja...

– Muszę porozmawiać z panem Bentem jutro z samego rana – dodała sama do siebie. Zrobiła krok, ale zachwiała się i potknęła. Hindus uratował ją od upadku pewnym chwytem. Cała drżała.

– Ja pomogę.

– Nie potrzebuję pomocy! – powiedziała z wielką mocą, po czym straciła przytomność. Ponownie przed upadkiem uratował ją refleks Namu.

Ocknąwszy się po dłuższej chwili w ramionach Namu, otworzyła oczy. Dostrzegła tatuaże, obejrzała je z uwagą, by nagle wywinąć się niczym mała ryba.

– Co z tobą nie tak?! Nie mam pieniędzy i nie zamierzam dziękować, zjeżdżaj! – Odwróciła się i zrobiła kilka kroków. – Tylko za mną nie idź! Poradzę sobie sama.

Po chwili spojrzała za siebie. Widząc podążającego za nią cudzoziemca, nie protestowała więcej.

Przez całą drogę do mieszkania Ann zachowali dystans. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Gdy doszli do obskurnej kamienicy, dziewczyna określiła się na pięcie i troskliwie zapytała:

– Głodny?

– Nie.

– Nie kłam, skóra na tobie wisi – dodała, taksując Namu wzrokiem. – Zrobię dla ciebie wyjątek: nie

musisz ściągać butów. – Ann zaśmiała się tak uroczo, że jej napuchnięty fioletem policzek wyglądał przez chwilę na wynik dobrej, niewinnej zabawy.

Weszli do środka. Wewnątrz panował półmrok. Podłoga skrzypiała, dach przeciekał, a mebli było jak na lekarstwo. Na ścianach wisiało mnóstwo obrazów. Przynajmniej kiedyś. Teraz pozostały po nich jedynie rzucające się w oczy kwadratowe, prostokątne i okrągłe ślady.

– Zaczekaj tu – powiedziała i zręcznie niczym myszka wślizgnęła się do pokoju. Namu wychwycił niesłyszalny dla zwykłego ucha oddech małego dziecka. Nieregularny oddech.

– Mama? Mama? – uroczy głosik zapytał z nadzieją.

– Zobacz, co dla ciebie przyniosłam. Zjedz i śpij, kochana. Mama niedługo przyjdzie.

Namu usłyszał czuły pocałunek.

Ann ostrożnie zamknęła drzwi. Udali się do kuchni. Zjedli zaprawiony cebulą kleik z pajdą czerstwego chleba. Milczeli. Hindus nie do końca wiedział, co tu robi. Powinien szukać spiąca snów. Poniosły go emocje – pierwszy raz odkąd obiecał sobie trzymać w karchach naiwne serce. Wystarczająco pomógł dziewczynie. Powinien wracać do swojej misji, zająć się danym słowem. Siedział jednak w milczeniu i resztką chleba wycierał z talerza resztę kleiku. Posmakował mu.

– To moja siostrzyczka – wypaliła nagle Ann. – Choruje, odkąd odeszła mama. Gdy czuje się lepiej, powtarza mi, że jestem do niej podobna jak tysiąc pięćset kropel wody. – Uśmiechnęła się. – Ona myśli, że im więcej kropel, tym podobieństwo jest większe... – westchnęła. – Jest taka kochana. Mówi, że patrząc na mnie, widzi mamusię. Ale gdy gorączkuje, zawsze pyta o mamę i nigdy nie daje się nabrać, że ja to mama. – Spojrzała na Namu. Jej wzrok kipiał od emocji, twarz jednak trzymała fason. Gdy mrugnęła, z lewego oka pociekła jej łza. – I te jej wielkie, piękne, fiołkowe oczy. Ma je po mamie. Prawda jest taka, że ona cała przypomina mi mamę. Nie wiem, co zrobić, jeśli ona też mnie opuści... – Milczała dłuższą chwilę. – Umiesz słuchać, wiesz? – zmieniła zarówno temat, jak i ton. – Ja mam oczy po ojcu. Brązowe i brzydkie... – popatrzyła na Namu i poparowała włosy. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodała: – Okropne, prawda?

Namu pokręcił głową.

– Uważasz, że są ładne? – spytała nieśmiało. Zaskoczony dryblas tym razem pokiwał głową. Dziewczyna nachyliła się lekko w jego stronę.

– To gnojek! – wykrzyczała nagle i zerwała się z krzesła. Podbiegła do okna. – Ten rudzielec nas podglądał! Pewnie sprawdzał, czy ty tu jesteś. Mówiłam, że Żabol nie popuści! Poniżyłeś go, on tego nie zapomni, nigdy! – zaczęła gorączkowo

chodzić w kółko i wymachiwać rękoma. – Muszę uciekać, odłożyłam trochę, na początek wystarczy... – Gryzła zaciśnięte pięści w przerwach swojego monologu, jakby ostrzyła zęby. – Ojciec nawet nie zauważy, za długo to odkładałam... Trzeba wiać, jakoś sobie poradzimy...

– Ukradłaś naszyjnik? – zapytał Namu. Dziewczyna nie zareagowała, pochłonięta snuciem planu ucieczki. Chłopak złapał ją za dłonie i patrząc jej w oczy, spytał ponownie ciepłym, lecz stanowczym głosem:

– Ukradłaś naszyjnik? Muszę wiedzieć.

– Durny jesteś?! Niczego nie ukradłam! Po co miałabym to zrobić? Kto kupiłby coś cennego ode mnie i to bez poinformowania pana Benta? Pomyśl trochę, łysa pało!

– Nie musisz uciekać, porozmawiam z Bentem, będziecie bezpieczne – zapewnił.

– Nie znasz Żabola. On tu przyjdzie się zemścić. Weźmie prawdziwych siepaczy. Nie pokonasz dziesięciu mężczyzn!

Namu wstał. Szeroko rozstawił nogi, rękoma uformował mudrę tygrysa. Srebrne tatuaże, ciągnące się od kącika oczu przez szyję, barki i tułów, pojaśniały.

Dziewczyna słyszała kiedyś nieprawdopodobne historie o mnichach ze wschodu. Historie równie niebywałe, co straszne... Zaszło jej w gardle. Wibrująca w powietrzu energia wchodziła pod skórę, drażniła zmysły, przerażała; po chwili jednak przygasła, by na koniec rozlać się falą ciepła po ciele Ann. Strach skarlał, ustąpił miejsca świeżo wyrosłej odwadze. „To nie ja muszę się bać” – pomyślała. „Oni muszą...”

– Jestem ogniem, co wrogów pali. Jestem ogniem, światłem w oddali – rzekł Namu, rozwiewając wątpliwości Ann.

– Kto to? Ale wieeeelki! – Mała kulka gęstych blond loków przerwała demonstrację.

Lena wyglądała jak laleczka. Jej piękne, fiolkowe oczy w połączeniu z jasnymi włosami sprawiały, że świat wydawał się lepszy. Przypominała letni deszcz przynoszący tęczę. Sama jej obecność była niczym kojący balsam.

– Ile razy ci powtarzałam, żebyś się nie zakradała! – Starsza siostra pomachała groźnie palcem, chociaż więcej było w tym geście teatralności aniżeli rzeczywistej nagany.

– Kiedy moje małe stopki są do tego stworzone! – zaprotestowała oburzona dziewczynka. Miała rację, Namu też jej nie usłyszał.

– Stópki, nie stopki. Nie licz, że mnie rozwelesisz, ty mały nicponiu! I znowu na bosaka?! Ile razy ci powtarzałam, że nie wolno!

– Kiedy moje stópki kochają swobodę! Poza tym gołe stópki są ciche jak kotek! – Pokazała język i zaczęła uciekać. Pochwycona przez starszą

siostrę, za karę otrzymała kilka serii łaskotek, ale odgryzła się, obalając ją na podłogę. Jej puszyste łoczki kołysały się, każdy w inną stronę.

– Zrobisz placki z miodem? – spytała po chwili. – Dawno nie jadłyśmy placków z miodem, a mamy gości!

– Zrobię, tylko bądź grzeczna. – Pocałowała ją w czoło.

– A mamy jeszcze orzeszki w słodkim szkiełku?

– Mamy ostatnie dwa.

– A możesz mi dać jednego?

– Mogę.

– To na co czekamy? – Wytargowawszy łakocia, Lena stała, mlaskając, gapiąc się beczelnie na Namu. Nie wytrzymała długo i palnęła: – A ty co tak stoisz? Nie pobawisz się ze mną?

Mężczyzna wziął ją na ręce. Podrzucił, łaskotał, szczypał oraz naśladował różne dźwięki. Na ogół ciche, bawiąc się z Leną, wydawał odgłosy więcej niż tuzina zwierząt. Kołysał ją na stopie, niby na wielkiej huśtawce, a nawet zaśpiewał ulubioną kołysankę z dzieciństwa. Gdy posadził brzdąca na baranach, Lena spytała:

– Nie boisz się upadnięcia? Tu u ciebie jest okropniaście wysoko!

– Nie boję.

– To tak, jak ja! – odpowiedziała reżolutna dziewczynka. Namu pierwszy raz od lat zaśmiał się głośno.

Intensywna zabawa trwała krótko. Lena zgasała tak szybko, jak się rozpałała. Siły opuściły ją nagle.

– To wszystko przez głupią chorobę, gdyby nie ona, hasałabym godzinami. O tak! – podskoczyła i upadła. Uderzyła się w główkę.

Wtedy przybiegła wystraszona Ann. Lenie zbiegało się na płacz, ale walczyła dzielnie. Poruszała chwilę ustami w charakterystyczny sposób – niczym czołgająca się gąsienica, ale nie uroniła ani łezki.

– Hasanie bywa niebezpiecznie – stwierdziła fachowym tonem.

Namu się rozczulił. Poczuł ciepło tam, gdzie od dawna wiało chłodem. Znał Lenę raptem kilka kwadransów, a już oddałby wiele, byleby jej pomóc. Na polecenie Ann odniósł dziewczynkę do jej łóżeczka. W przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń pokój Leny posiadał należyte wyposażenie: łóżeczko, kufer na zabawki, szafkę, miękki dywanik i miedziane lusterko. Miała wszystko, czego potrzebuje mała dziewczynka, poza zdrowiem. Na ścianie wisiał obraz. Przedstawiał uderzająco podobną do Ann kobietę o niesamowicie fiolkowych oczach. Ubrana w zieloną suknię, spoglądała na łóżeczko, jakby pilnowała swojej córeczki.

– To moja mamusia, piękna, prawda?

– Bardzo piękna.

– Wiesz, że umarła? – zapytała smutna Lena. – Ja to wiem, chociaż Ann myśli, że nie wiem. Chciałabym zobaczyć mamusię jeszcze raz. Nie pamiętam, czy się z nią pożegnałam. – Lena stanęła pod obrazem i patrzyła na swoją mamusię. Wyciągnęła rączki do góry.

Namu zrozumiał. Podsadził ją. Dziewczynka pocałowała kobietę w policzek. Później jeszcze chwilę patrzyła na obraz. W jej oczach pojawił się smutek.

– Pa, pa, mamuś – powiedziała i przytuliła się niespodziewanie do Namu. Mimo kruchych i delikatnych rączek ścisnęła go mocno i zostawiła mokry ślad na jego szyi.

Nakryta kocykiem, spytała:

– Będziesz spał ze mną?

– Nie.

– Tata śpi.

Namu słuchał. Przypomniało mu się ciepło jego matki, która tuliła go do snu. Była ogromną i grubą kobietą, wręcz stworzoną do tulenia.

– Jak kręci mu się w głowie, to przychodzi, patrzy na mamę i mówi, że mu smutno. Później chwali mnie! – powiedziała dumna. – Mówi, że mam oczy po mamie. Słodkie jak poziomki. Wtedy daje mi buziaczki. Wiem, że oczy nie smakują jak poziomki. Kiedyś polizałam łzę i była słona, ale dla tych buziaczków udaję, że nie wiem. Często udaję, że nie wiem. Jestem w tym mistrzynią. – Uśmiechnęła się dumnie. Choć przygaszony chorobą, jej płomień życia mienił się tysiącem barw, podobnie jak oczy.

Namu dopiero teraz to dostrzegł. Nigdy wcześniej i nigdy później nie ujrzał tyłu kolorów naraż, a przecież patrzył w kompletnie białe oblicze dziewczynki. Bijąca od niej pochwała życia wypełniała znacznie więcej niż puste wnętrza domu. Namu zapomniał o swojej misji. Zapomniał o zemście i upokorzeniu. Gdy stanął w drzwiach, oparty barkiem o ścianę, i troskliwym okiem spoglądał na wierzące się pod kocykiem maleńkie stópki, zapomniał o wszystkim. Dziewczynka powoli zasypiała. Miała zamknięte oczy. Będąc jedną nogą w magicznym świecie snów, powiedziała cichutko:

– Brzuszek też mam po mamusi. Kolanka i pępek też. Jestem cała słodka jak poziomka. Tatuś... on... – Po jej twarzy przebiegł uśmiech dumy, a później policzki drgnęły w niepokojącym grymasie i wykrzywiły na moment usta dziewczynki.

– Śpij, kochana. Wszystko będzie dobrze – powiedział, głaszcząc jej czoło.

Po chwili długie i twarde niczym metalowe pręty palce zacisnęły się boleśnie w obu pięściach. Kość tarła o kość, zadając mu ból. Namu poczuł głód opaski. Żądała pokarmu. Uwielbiała wrzącą krew.

Nie zdążył porozmawiać z ojcem dziewczynek; zanim wrócił, pod domem zjawili się oprawcy. Wściekły Namu postanowił ukarać drani. Ochronić niewinne istoty. Był silny, szybki i wyszkolony. Upora się z nimi i zabierze dziewczyny daleko, byle dalej od tego miejsca, biedy i ojca. Zdecydował, że oprócz nich zabierze tylko obraz. Lena go uwielbiała.

Podzielił się krwią. Oddał więcej niż kiedykolwiek. Niewyobrażalny ból z opaski oczyścił go ze złudzeń, wątpliwości i litości. Kazał starszej siostrze iść do Leny i czekać. A sam wyszedł przed dom. Zastawili pułapkę? Głupcy. Teraz to on był pułapką. Na dziedzińcu czekało pięciu mężczyzn, a do tego trzech ukrytych w cieniu. Zajął się nimi z łatwością. Nie zabijał. Kaleczył, łamał, gruchotał i wyrwiał.

Gdy usłyszał pisk dochodzący z domu, zrozumiał, że jest za późno. Pognął do środka. Nie wiedział, co było gorsze: małe, niewinne stópki Leny stojące w powiększającej się kałuży krwi – te same, które dosłownie przed chwilą szurały radośnie po pościeli, czy może złoty naszyjnik wystający z włosów Ann. A może wzrok ich matki z portretu?

– Ann? Ann? – powtarzała Lena cichutkim głosikiem.

– Mówiłem! Wiedziałem, że go ukradła, wstrętna mała dziwka! – wrzeszczał Żaból, schowany za dwoma osłkami. Stał blisko wybitego okna, gotowy do ucieczki. Mówił coś jeszcze, najprawdopodobniej o swoim pracodawcy i o tym, że sprawa została załatwiona. Zamierzał negocjować. Widząc Hindusa w transie, żaden z nich nie odważył się podejść po naszyjnik.

Jeden z bandytów leżał już martwy. Namu nie wiedział, jak i kiedy go zabił. Patrzył na naszyjnik: wydawał się znajomy... To naszyjnik ich matki z obrazu. Sprzedany przez ojca za gorzałę. Ann ukradła go dla Leny, żeby przebrać się za mamę. Chciała, aby siostra jeszcze raz spotkała się z mamą. Aby mogła się z nią pożegnać. A teraz sama nie zdążyła pożegnać się z siostrzyczką... Wszystko przez niego. Łzy poleciały same.

„W starciu ze złem siła to fałszywy sprzymierzeniec. Zdradzi cię” – ostrzegał go mistrz. Jeden ze zbirów, korzystając z chwili, gdy Hindus był pogrążony w myślach, zaczął zbliżać się doń ostrożnie, niby do jadowitej kobry – krok po kroku, co rusz patrząc na poharatane dłonie dryblas. Obawiał się błyskawicznego ataku, ale jednocześnie wyczuł jego chwilową słabość. Mając naszyjnik na wyciągnięcie dłoni, zapewniał, że nic więcej go nie interesuje, że mogą rozejść się bez walki, że puszcza w niepamięć wszystko, co było. Hindus słyszał, ale nie słuchał. Mógł zabić morderców. Zabić ich powoli. Należało się im.

„Zdradzi cię” – słowa mistrza dudniły mu w głowie

Lena cała dygotała. Myślał tylko o niej i o Ann. Powinien zapewnić jej opiekę, zabrać w bezpieczne miejsce.

Dokładnie w chwili, gdy owinięta czarną taśmą dłoń mordercy chwyciła za naszyjnik, Lena zaprotestowała, krzycząc głośno:

– To naszyjnik mamusi! – Łzy wymieszały się z wydzieliną z nosa, przylepiły się do jej ust: wyglądały, jakby ktoś chciał zszyc wargi dziewczynki mlecznobiałą nicią, ale zrezygnował. Lena zakaszłała, na brodę pociekła jej kropelka krwi. Spojrzała tymi swoimi pięknymi oczkami na Hindusa, spojrzała błagalnie i dodała, tym razem słodkim, ledwo słyszalnym głosem: – To naprawdę jest naszyjnik mamusi. Powiedz im... no powiedz im!

Namu spojrzał w jej fioletowe, przerażone oczy. Spojrzał na wyciągnięte ku niemu bezbronne ręczki. Pragnął wziąć Lenę ze sobą, pozwolić jej owinąć się wokół szyi, by poczuć rytm jej serduszka. To wszystko, na czym mu teraz zależało. Przez

trzy najdłuższe na świecie oddechy nie potrafił oderwać od niej wzroku. Gdy to wreszcie uczynił, odwrócił się i odszedł bez słowa.

DAWID DOŁBA:

Od najmłodszych lat zdradzający predyspozycje do nauk matematycznych i przesadnego sentymentalizmu. Już jako siedmiolatek, podczas rutynowej zabawy w kałuży, przeżył pierwsze gorzkie rozczarowanie upływającym czasem.

Od tego momentu, co jakiś czas, wyklóca się z czasem o czas, czasowo zaostrzając narastający z czasem konflikt z czasem. Potem mu przechodzi.

Pisze prozę, poezję, teksty piosenek, bajki, scenariusze teatralne i filmowe oraz zagadki. Uwielbia też pisać palcem po zmarzniętych szybach pociągów wszelakich.

Pisanie przypomina mu kobiecie oczy – co rusz się w nim gubi, co rusz coś odnajduje.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: <https://www.instagram.com/dawiddolba/>



WITCH.AK

ART

Pracownia Artystyczna
Kinga Witczak



- DIGITAL ART
- GRAFIKA WEKTOROWA
- ILUSTRACJE

- RYSUNEK TRADYCYJNY
- MALARSTWO
- PORTRETY

☎ 661-791-619

✉ kingawitczak91@gmail.com

📘 @WITCH.ak Art

SŁOWNICZEK REDAKCYJNO-KOREKTORSKI

CZEŚĆ 1

REDAKCJA: MILENA WYSOCKA
KOREKTA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

Ten słowniczek został stworzony z myślą o osobach, które stawiają swoje pierwsze kroki w świecie redakcji i korekty tekstów, a także dla tych, którzy rozważają podjęcie pracy w tej branży.

Jeśli zastanawiasz się, czy redakcja i korekta to odpowiednia ścieżka zawodowa dla Ciebie, znajomość podstawowych pojęć i narzędzi pomoże Ci lepiej zrozumieć specyfikę tego zawodu oraz ocenić, czy jest to kierunek, w którym chcesz się rozwijać.

Słowniczek będzie również wartościowy dla pisarzy i autorów, którzy chcą nawiązać efektywną współpracę z redaktorami i wydawnictwami. Zrozumienie podstawowych terminów i procesów redakcyjnych ułatwi komunikację, pozwoli świadomie uczestniczyć w procesie powstawania książki oraz lepiej wykorzystać wskazówki i sugestie profesjonalistów.

Niezależnie od tego, czy planujesz związać swoją przyszłość zawodową z pracą redaktora lub korektora, czy po prostu chcesz poszerzyć swoje kompetencje, ten słowniczek pomoże Ci usystematyzować wiedzę i poruszać się pewniej w świecie edycji tekstów. Dzięki niemu Twoja praca stanie się bardziej świadoma, efektywna i satysfakcjonująca.

Redakcja, mówiąc bardzo ogólnie to proces kompleksowego opracowania tekstu, którego celem jest poprawienie jego jakości, spójności i czytelności. Wyróżniamy kilka rodzajów redakcji. Są to m.in. redakcja językowa, stylistyczna i merytoryczna, a także dopracowanie logiki wyводу, rytmu zdań, tonacji wypowiedzi czy sposobu budowania akapitów. Redakcja nie ogranicza się jedynie do poprawiania błędów – to także praca nad tym, by tekst był ciekawy, angażujący i konsekwentny w przekazie. Poszczególne rodzaje redakcji opisane są w dalszej części tego artykułu.

Redaktor zwraca uwagę na powtórzenia, nieścisłości, nadmiar słów i niejasne konstrukcje. Wskazuje miejsca, w których można wzmocnić emocję, skrócić rozwlekłe fragmenty lub rozwinąć wątki wymagające doprecyzowania. Dbą o spójność logiczną, a w przypadku tekstów specjalistycznych – o zgodność z faktami i terminologią branżową.

Redakcja może też obejmować dostosowanie

stylu i tonu tekstu do grupy docelowej tak, by odbiorca czuł, że tekst został napisany z myślą o nim. W efekcie redakcja nadaje tekstowi płynność, harmonię i wyrazistość, sprawiając, że lektura staje się przyjemniejsza i bardziej profesjonalna.

Redakcja merytoryczna, to szczegółowa weryfikacja treści pod kątem faktów, logiki, spójności i sensu tekstu. Jej celem jest upewnienie się, że wszystkie informacje są poprawne, uzasadnione i zgodne z rzeczywistością. Redaktor merytoryczny sprawdza, czy wywód jest logiczny, a wnioski wynikają z przedstawionych argumentów. W razie potrzeby sugeruje doprecyzowanie, rozwinięcie lub usunięcie fragmentów, które mogą wprowadzać czytelnika w błąd lub osłabiać przekaz.

Tego rodzaju redakcja obejmuje również ocenę struktury tekstu – kolejności akapitów, przejść między tematami, a także ogólnej przejrzystości i sensu całości. W tekstach popularnonaukowych, poradnikach czy publikacjach branżowych redaktor merytoryczny często konfrontuje treść z wiarygodnymi źródłami, by zapewnić jej rzetelność i aktualność.

Efektem redakcji merytorycznej jest tekst nie tylko poprawny językowo, ale przede wszystkim logiczny, spójny i wiarygodny – taki, który wzbudza zaufanie czytelnika i wspiera autorytet autora.

Redakcja stylistyczna, to proces poprawy stylu, języka, płynności i czytelności tekstu. Jej celem jest nadanie tekstowi lekkości, naturalnego rytmu i odpowiedniego tonu – tak, by był przyjemny w odbiorze i dopasowany do charakteru publikacji oraz oczekiwań odbiorcy.

Redaktor stylistyczny dba o to, by zdania brzmiały naturalnie, były różnorodne i pozbawione zbędnych powtórzeń. Koryguje niezgrabne konstrukcje, usuwa nadmiarowe słowa, porządkuje szyk i dba o właściwe tempo narracji. W razie potrzeby upraszcza zbyt zawiłe sformułowania lub – przeciwnie – wzbogaca język, jeśli tekst wymaga bardziej literackiego tonu.

Redakcja stylistyczna nie zmienia sensu wypowiedzi autora, lecz nadaje jej klarowność i charakter, wydobywając indywidualny styl autora i czyniąc tekst bardziej przystępnym. Efektem tego

etapu pracy jest tekst, który czyta się płynnie ,
z przyjemnością i bez wysiłku.

Redakcja językowa, to szczegółowe opracowanie tekstu pod względem poprawności językowej. Obejmuje korektę błędów gramatycznych, interpunkcyjnych, ortograficznych i składniowych, a także dopracowanie konstrukcji zdań, by były logiczne i naturalne.

Na tym etapie redaktor skupia się na tym, by tekst był zgodny z zasadami języka polskiego oraz czytelny dla odbiorcy. Poprawia błędne formy wyrazów, niewłaściwie użyte znaki interpunkcyjne i nieprecyzyjne konstrukcje składniowe. W razie potrzeby ujednolica zapis nazw, tytułów, skrótów czy liczb.

Redakcja językowa nadaje tekstowi przejrzystość i profesjonalny wygląd, eliminując błędy, które mogłyby rozpraszać czytelnika lub obniżać wiarygodność autora. To etap, który łączy dbałość o poprawność z troską o płynność języka i estetykę wypowiedzi.



Redaktor prowadzący, to osoba odpowiedzialna za całościowy nadzór nad procesem redakcyjnym, od przyjęcia tekstu po przygotowanie go do publikacji. Czuwa nad każdym etapem pracy – od redakcji językowej i stylistycznej, przez korektę, skład i projekt graficzny, aż po kontakt z drukarnią lub platformą dystrybucyjną.

Redaktor prowadzący koordynuje pracę zespołu redaktorów, korektorów, grafików i ilustratorów, dbając o spójność wizualną i merytoryczną publikacji. To on ustala harmonogramy, kontroluje terminy i dba o komunikację między wszystkimi osobami zaangażowanymi w projekt.

Pełni również rolę łącznika między autorem a wydawnictwem – przekazuje uwagi redakcyjne, pomaga w podejmowaniu decyzji dotyczących zmian w tekście i dba o to, by ostateczny efekt odpowiadał zarówno wizji autora, jak i standardom wydawniczym.

Efektem pracy redaktora prowadzącego jest publikacja dopracowana w każdym szczególe – pod względem treści, języka, formy i estetyki.

Redaktor tekstu, odpowiedzialny jest za opracowanie językowe i stylistyczne tekstu. To właśnie redaktor tekstu odpowiada za nadanie tekstowi poprawności, płynności i odpowiedniego tonu, przy jednoczesnym zachowaniu stylu i intencji autora.

Redaktor tekstu poprawia błędy językowe, interpunkcyjne i składniowe, a także dopracowuje rytm i strukturę zdań. Dbą o to, by treść była spójna, logiczna i przyjemna w odbiorze. Wprowadza zmiany tam, gdzie tekst wymaga uproszczenia, doprecyzowania lub ujednolicenia, ale zawsze z poszanowaniem indywidualnego głosu autora.

To właśnie dzięki pracy redaktora tekst zyskuje klarowność, harmonię i styl – brzmi naturalnie, angażująco i profesjonalnie, bez utraty autentyczności autora.

Autoryzacja tekstu, to etap, na którym autor zapoznaje się z naniesionymi poprawkami i zatwierdza ostateczną wersję tekstu przed publikacją. Proces ten ma na celu upewnienie się, że wszystkie zmiany redakcyjne i korektorskie są zgodne z intencją autora oraz że treść zachowuje jego styl, ton i przekaz.

Autoryzacja pozwala autorowi zaakceptować wprowadzone modyfikacje, zgłosić ewentualne uwagi lub zaproponować własne poprawki. To moment, w którym tekst przybiera swoją finalną formę – gotową do składu, a następnie do druku lub publikacji cyfrowej.

Dzięki autoryzacji autor ma pełną kontrolę nad ostatecznym kształtem swojej pracy, a wydawnictwo zyskuje pewność, że tekst został zatwierdzony i reprezentuje wspólną, dopracowaną wersję dzieła.

Przypis, to dodatkowa informacja, komentarz lub wyjaśnienie dodane do tekstu, które ma na celu uzupełnienie lub doprecyzowanie treści bez przerywania głównego toku narracji. Przypisy zwykle umieszcza się na dole strony (przypisy dolne) lub na końcu rozdziału albo całej publikacji (przypisy końcowe).

Przypisy mogą zawierać m.in.:

- źródła cytatów i odniesień bibliograficznych,
- definicje trudnych pojęć lub terminów specjalistycznych,
- dodatkowe komentarze, ciekawostki lub kontekst historyczny,
- wskazówki do dalszej lektury lub powiązanych publikacji.

Dzięki przypisom tekst pozostaje czytelny i płynny, a jednocześnie daje odbiorcy możliwość pogłębienia wiedzy lub sprawdzenia źródeł. Przypisy są szczególnie istotne w tekstach naukowych, popularnonaukowych i fachowych, gdzie precyzja i rzetelność informacji mają kluczowe znaczenie.

Konspekt redakcyjny, to dokument przygotowywany przez redaktora, który przedstawia plan i uwagi dotyczące struktury oraz treści książki. Jego celem jest uporządkowanie materiału, wskazanie mocnych i słabych punktów tekstu, a także zaproponowanie zmian mających na celu poprawę spójności, logiki i płynności narracji.

Konspekt redakcyjny może obejmować m.in.:

- podział na rozdziały i akapity,
- propozycje wprowadzenia lub usunięcia fragmentów,
- sugestie dotyczące stylu, tonu i rytmu tekstu,
- wskazówki dotyczące dopracowania wątków fabularnych lub merytorycznych,
- notatki o ewentualnych źródłach, ilustracjach lub dodatkach uzupełniających tekst.

Dzięki konspektowi autor zyskuje klarowny obraz możliwych zmian i ulepszeń, a redaktor ma narzędzie do skutecznego kierowania procesem redakcyjnym. Konspekt stanowi więc punkt wyjścia do kolejnych etapów redakcji i korekty, pozwalając na świadome i przemyślane doskonalenie tekstu.

Recenzja, to szczegółowa ocena tekstu wykonana przez eksperta mająca na celu wskazanie jego mocnych stron oraz obszarów wymagających poprawy.

Recenzja może obejmować m.in.:

- ocenę logiki i spójności narracji,
- wskazanie fragmentów wymagających doprecyzowania, rozwinięcia lub skrócenia,
- analizę języka, stylu i tonacji tekstu,
- komentarze dotyczące atrakcyjności i czytelności dla docelowego odbiorcy,
- sugestie dotyczące poprawek merytorycznych lub faktograficznych.

Celem recenzji jest nie tylko krytyczna ocena tekstu, lecz także wsparcie autora w procesie redakcyjnym i podniesienie jakości publikacji. Dobrze przygotowana recenzja pomaga autorowi spojrzeć na tekst z perspektywy czytelnika lub eksperta, co zwiększa szanse na jego udaną publikację.

Formatowanie tekstu, to proces nadawania tekstowi odpowiedniego układu graficznego i struktury w dokumencie, mający na celu poprawę czytelności i estetyki publikacji. Obejmuje ustalanie takich elementów jak czcionki, ich rozmiar, interlinie, marginesy, akapity, wyrównanie tekstu, numeracja stron, nagłówki, podział na rozdziały oraz stosowanie elementów dodatkowych, takich jak wypunktowania, tabele, cytaty czy ramki.

Formatowanie tekstu zapewnia spójność wizualną dokumentu i ułatwia odbiór treści przez czytelnika. W publikacjach drukowanych i cyfrowych formatowanie jest kluczowe dla profesjonalnego wyglądu tekstu. Umożliwia logiczny podział treści oraz podkreślenie hierarchii informacji.

Efektom poprawnego formatowania jest tekst, który jest nie tylko estetyczny, ale też czytelny, przejrzysty i wygodny w odbiorze zarówno w wersji drukowanej, jak i cyfrowej.

Uwagi redakcyjne, to komentarze, wskazówki i sugestie w tekście, które redaktor wprowadza w celu poprawy jego jakości, spójności i czytelności. Mogą dotyczyć zarówno treści, jak i formy, obejmując np. korektę błędów językowych, poprawę stylu, doprecyzowanie faktów, zmianę kolejności akapitów, usunięcie powtórzeń czy wzmocnienie narracji.

Uwagi redakcyjne pełnią funkcję narzędzia komunikacji między redaktorem a autorem – pozwalają autorowi zrozumieć, które fragmenty wymagają dopracowania, a które są mocnymi punktami tekstu. Mogą być wprowadzane bezpośrednio w dokumencie (np. komentarze w edytorze tekstu) lub sporządzane w formie raportu redakcyjnego. Dzięki uwagom redakcyjnym autor zyskuje wskazówki, które pomagają mu świadomie poprawiać i rozwijać swój tekst, przez co staje się on bardziej klarowny, spójny i dopracowany.

Przeredagowanie, to proces zmiany i poprawy treści tekstu na poziomie zdań i akapitów, mający na celu zwiększenie jego przejrzystości, spójności i czytelności.

Przeredagowanie może obejmować m.in.:

- skracanie lub wydłużanie zdań,
- poprawę rytmu i płynności narracji,
- zmianę kolejności akapitów dla lepszej logiki tekstu,

- doprecyzowanie argumentów lub opisów,
- dostosowanie stylu i tonu do charakteru publikacji oraz grupy docelowej.

Efektem przeredagowania jest tekst bardziej spójny, atrakcyjny dla czytelnika i profesjonalny pod względem językowym oraz stylistycznym, bez utraty indywidualnego głosu autora.

Teraz, gdy wiesz już, co kryje się za tymi redaktorskimi terminami, łatwiej będzie Ci poruszać się w gąszczu branżowych pojęć i typograficznych niuansów. Każde z tych haseł to mała cegiełka w budowaniu świadomości językowej i edytorskiej precyzji – a także klucz, dzięki któremu redaktorski szyfr staje się coraz bardziej czytelny.

Niech więc ten gąszcz pojęć zamieni się dla Ciebie w dobrze znany ogród, do którego będziesz wracać z ciekawością. A po kolejne hasła, ciekawostki i redaktorskie smaczki zapraszamy już w styczniowym numerze naszego magazynu.

Regulamin naboru powieści w fragmentach do magazynu „Fragmentarium” - tam, gdzie słowa zyskują wolność

Trwa nabór do „Fragmentarium” – magazynu stworzonego z myślą o debiutujących pisarzach i tych, którzy chcą coś zaryzykować, złamać reguły i sprawdzić się w krótszej formie.

Gatunek? Jakikolwiek. Cenzura? Nie znamy takiego słowa.

Co przyjmujemy? Wszystko... fragmenty powieściowych rzeczywistości przefiltrowane przez język. Ważne, aby nas porwało.

Doświadczenie? Najlepiej debiutant, ale kogoś, kto dopiero wszedł na rynek wydawniczy, też przyjmiemy.

Gatunek? Ty wybierasz.

Co trzeba wiedzieć?

- Maksymalna długość całego tekstu: 300 000 znaków ze spacjami (zss).
- Na początku zgłaszasz pierwszy fragment (np. rozdział) – reszta musi być już gotowa, będzie wymagane wysłanie całości po wstępnej selekcji tekstów.
- Limit wieku: brak, jednak jeśli masz mniej niż 18 lat poprosimy o zgodę rodzica lub opiekuna prawnego (skan, zdjęcie, PDF – byle czytelnie, jako załącznik w mailu).
- Tekst musi być premierowy – nieprzedrukowywany, nigdzie wcześniej niepublikowany.

Formatowanie tekstu:

- Font: Times New Roman, rozmiar 12
- Interlinia: 1,05–1,15
- Brak odstępów przed akapitem, za to 0,6 pkt po akapicie
- Plik w formacie: .doc, .docx lub .odt

Termin: 31.12.2025

Gdzie wysyłać: Wyślij swój tekst na adres: fragmentarium.powieści@gmail.com.

W temacie maila wpisz: „Nabór powieści, [gatunek] – [Twoje imię i nazwisko lub pseudonim]”.

Więcej szczegółów poznasz na naszej stronie [TUTAJ](#).

*Zastrzegamy sobie prawo do redakcji i korekty Twojego tekstu – zawsze w porozumieniu z autorem. Nawet mistrzom przydaje się czyjaś lupa.

KOŁĘDA

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

Coś, co wyglądało jak flak – zwisający, żylasty kawałek mięsa – pojawiło się na ekranie i przez moment, niczym wahadło, bujało się pośród zakłóceń, zanim zniknęło w śnieżycy na ekranie. Nieważne. Czekałem, co będzie dalej.

Gdzieś z dołu dobiegała krzątająca, domowe hałasy typowe dla przedświątecznych przygotowań. Od strony grającego w kuchni radia niósł się śpiew kołęd, jak zapach korzennych przypraw, pomarańczy i pieczonego indyka. Siedziałem w pokoju, z telewizorem ustawionym na kanał kablówki, który w zasadzie nie powinien odbierać, jeden z tych zakodowanych, europejskich kanałów, które można było wychwycić tylko zimą, kiedy fale niosą się najlepiej. Odkodować można go było tylko w ten przekazywany sobie pokątnie przez nastolatków sposób. Właśnie wtedy matka zawałała mnie z dołu:

– John!

Udawałem, że nie słyszę, wpatrując się w zakłócenia. Oglądanie filmu w ten sposób było jak próba odszyfrowania hieroglifów.

– John!

Ignorowałem ją nadal, licząc, że jeszcze chwila, kilka sekund i dostrzegę obraz, jak trójwymiarowy rysunek pojawiający się pośród kształtów w grafikach typu Magic Eye. Jeśli będę dostatecznie długo wpatrywał się w kropki i paski zakłóceń, w końcu wyłoni się z nich prawda, jakby na wyciągnięcie ręki. Może będę musiał podejść do ekranu, zbliżyć do niego twarz, aż dotknę go nosem, a potem powoli, bez mrugania, oddalać się od niego, ale w końcu wszystko stanie się dla mnie jasne.

Ale matka wołała:

– John! Chodź tutaj!

Wołała:

– Co ty tam robisz?!

Krzyczała:

– Co ty oglądasz?!

Widząc, jak na ekranie wśród śniegu przesuwają się kształty przypominające kiełbaski albo te otwory, przez które nadzieja się indyka – różowe, otwarte, mięsiste i z płatami wiszącej wokoło skóry, odpowiedziałem:

– Program o gotowaniu! Program o świątecznych potrawach!

I zwlokłem się z brzegu łóżka, żeby zobaczyć, czego ode mnie chciała.

I tak skupienie i nastrój zdążyły już prysnąć.

Kuchnia przywitała mnie gęstym od przypraw zaduchem: wilgotnym, przesyconym parą z gotowania i pieczenia powietrzem, kojarzącym się z cieplarnią albo ogrodem botanicznym. Zasnute mgłą okna, wiszący w powietrzu tłuszcz pomieszany z wonią cynamonu.

– Pomógłbyś, a nie siedzisz tylko w pokoju! – warknęła matka, z rękami wciśniętymi w jakieś bliżej nieokreślone produkty spożywcze kojarzące się z farszem.

– W czym niby.

Siostra kroila jakieś warzywa. Ciotka – siostra matki, wyrabiała ciasto. Matka kazała mi zmiksować pieczarki ze śmietaną i czosnkiem, jako bazę zupy grzybowej. Potem dodać mleka, sosu sojowego, zielonego groszku.

– Prażona cebulka na koniec! – przypomniała mi.

Na koniec, w sensie, że dopiero przed jedzeniem. Żeby nie namiękła.

Kiedy nie wcisnęła mi kolejnego zadania, zmyłem się z kuchni, czując na sobie zapach gotowania i pieczenia, który nie zniknie z domu przez najbliższe dwa dni, i wróciłem do mojego pokoju.

Na ekranie telewizora – pośród pasków i białych, szarych i czarnych cętek statycznych zakłóceń, wśród rozwarstwiających się na trzy podstawowe barwy – zobaczyłem coś, co wyglądało jak kobieca pierś, ale ponieważ był to program kulinarny, musiało być drzącym, miękkim, ciężkim puddingiem zwieńczonym jędrnym owocem wiśni. Nad tym puddingiem, jakby w miejscu, gdzie u właścicielki takiej piersi znajdowałyby się szyja, pojawiła się męska głowa kucharza, zabierającego się zapewne za smakowanie dania. Ukazała się twarz starszego faceta, chyba z siwymi włosami i czymś w ustach, co wyglądało jak papieros albo cygaro, ale musiało być jakimś próbnikiem, ewentualnie przystawką przed słodkim deserem. Obraz tak skakał i szumiał, tak się rozwarstwiał, że to, na co patrzyłem, mogło być dosłownie wszystkim.

Wypełniona wazeliną skarpetka w cieniu pod łóżkiem czekała na właściwą chwilę, razem z pu-

dełkiem chusteczek, które zabrałem wczoraj do pokoju, udając, że zaczyna brać mnie katar.

Gdzieś zza drzwi pokoju słyszałem *Jingle Bell Rock*, z głośników telewizora płynęły szumy i odgłosy jęków, więc komuś to jedzenie musiało naprawdę bardzo smakować.

Jęki były coraz głośniejsze, coraz intensywniejsze, wchodziłem w ten nastrój, jak wchodzi się w nastrój świąt, słuchając kołęd. Robiłem się głodny, ślina zbierała mi się w ustach – tak apetyczne było to, co widziałem fragmentarycznie na ekranie – kiedy nagle matka zawołała:

– John, gdzie ty, do cholery, jesteś?!

Ktoś na ekranie jęknął i zaklął po niemiecku.

– Oglądam program kulinarny, mówiłem!

– Jaki znowu program?!

– Niemiecki! Niemiecki program o europejskich świątach Bożego Narodzenia.

– Chodź tutaj i nam pomóż! – krzyknęła matka. – Tu masz swoje święta! – A potem, bardziej do siebie niż do mnie, chociaż mówiła o mnie: – Skaranie boskie z tym dzieciakiem!

Znów ruszyłem do kuchni. Wąski korytarzyk z drzwiami do pokoiów mojego i mojej siostry i jeszcze jednymi na końcu, wiodącymi do wspólnej łazienki, potem schody w dół i już byłem w cieplarni pachnącej jak świąteczny odświeżacz powietrza i niemal już gotowy obiad.

Kiedy wróciłem do pokoju – z dłońmi pachnącymi tymiankiem, czosnkiem, cebulą i wieprzowym tłuszczem z pozbawionych kości żeberka – na ekranie dostrzegłem coś, co wyglądało jak twarz z szeroko otwartymi ustami. A po niej coś cielistego i z wilgotnym otworem, do którego ktoś wciskał ręce, ewidentnie nadziewając indyka. Albo jakiś drób. Wciskał te dłonie do wnętrza, poruszał nimi. A potem wszystko pochłonęły zakłócenia.

I kolejne nawoływania matki, która krzychała:

– Znowu uciekłeś?!

A ja odpowiadałem:

– Przecież oglądam!

W tej chwili na ekranie, przez moment widać było usta, z których wypływała biała, gęsta, glutowa stróżka czegoś, co przy tych zakłóceniach mogło być zarówno nitką spaghetti, jak i sosem beszamelowym. Może nawet stróżką śliny, ciekącej komuś na sam widok albo zapach przepysznej orgii dań ustawionych przed tą osobą.

Gdy matka znów mnie zawołała – tym razem nie po to, żeby nacierać żeberka i kroić warzywa ani, żeby zmiksować składniki zupy grzybowej, ani też, żeby pomóc wyciągnąć piekącego się już od ponad trzech godzin indyka, co pół godziny polewanego masłem, ale żeby zanieść coś do zjedzenia babci – minęło dość czasu, by sceny na filmie zmieniły się w coś jak z tych japońskich filmów z ośmiornicami i innymi owocami morza, o których słyszało się od chłopaków na przerwie.

– Znowu coś oglądasz?! – wołała matka.

A ja odkrzykiwałem:

– Niemiecki program kulinarny!

Bo z głośników płynęły jęki i niemieckie przekleństwa.

– To jeszcze trwa?! – pytała.

Gdy na ekranie jakieś macki wiły się i drgały, a może to nie były macki, tylko flaki, które teraz już nie zwisały, a wręcz przeżyły się pełne nadziei, wypchane nim aż po brzegi, a ja patrzyłem na nie, dostrzegając między nimi coś cielistego, różowopomarańczowego i nagiego, jak świeże mięso, z którego nie odpłynęła jeszcze krew, krzychałem:

– Teraz to chyba jednak już japoński program kulinarny! Sushi, ośmiornice i te sprawy!

I to sushi, i te ośmiornice musiały smakować wybornie, bo próbujący tych dań jęczeli i krzyczeli.

Kiedy kolejny raz zszedłem do kuchni, trafiłem na moment, w którym wszystkie kury domowe znajdują się gdzieś pomiędzy praktycznym nieładem wyglądu kogoś zabierającego się do gotowania a świątecznym makijażem i ładnie ułożonymi włosami. Spędziłem dobre pół godziny na pomaganiu:



wyciągałem talerze i sztucce, ustawiałem dania i pomagałem szykować wszystko na zapadający powoli zmrok, zwiastujący świąteczny posiłek. Ojciec nie wrócił jeszcze z pracy, ale to była kwestia minut. Nic się już jednak nie piekło, nic nie smażyło ani nie gotowało. W całym domu pachniało jedzeniem, unosiły się aromaty tłuszczu i cynamonu – wszystko było gotowe i przesiąknięte kołędami. Więc pospiesznie wróciłem do tej mojej kołedy, tego mojego wchodzenia w nastrój, ale było już za późno – zobaczyłem ostatnią, niewyraźną scenę, z której nic nie wynikało, a potem na ekranie rozwinęły się napisy końcowe, których nie byłem w stanie rozszyfrować w całym tym śnieżeniu.

Nie było słów, które wyraziłyby moje uczucia w tym momencie. Nie powstało jeszcze przekleństwo, które właściwie określiłoby to, co czułem.

Ani to, co poczułem potem, kiedy zobaczyłem ostatni, wyraźny, duży napis.

Potem, po przerwie świątecznej, opowiem w szkole, że wszystko idealnie odbierało i co widziałem. Opowiem o kobiecych krocach nadziewanych przez mężczyzn jak indyki i białych strużkach kapiących z ust. Opowiem o japońskich filmach porno z ośmiornicami, pięknych cyckach i facecie z cygarem, ale nigdy, przenigdy, za nic w świecie nie wspomnę o napisie na koniec. O tych kilku słowach, do zrozumienia których nie potrzebowałem znajomości języka niemieckiego.

David Cronenberg – Filmmarathon: maraton filmów Davida Cronenberga.

Miks przefiltrowanych przez zakłócenia scen z *Nagiego lunchu*, *Muchy* i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Mieszasz scen, takich jak: wkładanie rąk do jakiejś kosmicznej mordy, dziwna biała substancja ciekąca z ust człowieka muchy, facet z cygarem zdejmujący z siebie sztuczną, kobiecą skórę.

Nie powiem. Nie wspomnę. Przemilczę. Dodam tyle pięknych słów i zachwyty, że każdy będzie chciał powtórzyć moje doświadczenia. Niech miejska legenda o kanale porno wprost z Europy niesie się dalej.

Niech też zniszczy komuś dzień i świąteczny nastrój.

30.11.2024

MICHAŁ P. LIPKA.

Rocznik 88. Autor opowiadań, które można znaleźć na różnych portalach (Kostnica, Sztukater) czy w magazynach i antologiach („Biały kruk”, „Czerwony Karzeł”, „Konstelacja grozy”, „Zakamarki nocy”).

Lokalnie wydał dwie książki – „Księga Twardowskiego” i „Szafran”. Zdarzyło mu się działać też na polu komiksowym i publicystycznym.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: https://www.instagram.com/michal_p_lipka

Przegrana sprawa



Autor: Anna S. Cichosz
Seria: Saga Kamczacka (tom 2)
Wydawnictwo: STREFA CichoSZA
Oprawa: miękka
Formaty: druk, e-book
Gatunek: Thriller psychologiczny
Data premiery: 2025
Gdzie kupić? [Sklep CichoSZA](#)

Czasem związek przypomina uzależnienie od narkotyku. Podobnie omamia, podobnie wyniszcza i podobnie trudno się z niego wyrwać. W tej książce spotkasz dwóch mężczyzn, których unicestwia jedna kobieta. Pierwszego nienawiścią, drugiego... miłością.

A gdyby tak pozwolić AI częściowo orzekać w sprawach sądowych, określać wiarygodność świadków na podstawie ich ciśnienia, mimiki, mikrogestów, a nawet... historii wyszukiwarki? Nowoczesne analizatory sprawiają, że w tej książce żadna emocja nie ukryje się przed systemem i sędziami. Do czasu, aż pojawi się psychopatka, która przecież... nie odczuwa emocji. Czy normalny człowiek ma szansę w starciu z tak potężnym przeciwnikiem?

„Przegrana sprawa” to osadzona w świecie Sagi Kamczackiej kontynuacja „Akademii psychopatów”. Tym razem poznajemy historię z perspektywy Roberta i Orsona. Obaj mężczyźni próbują postępować słusznie, ale każdy ma własną wizję szczęśliwego zakończenia. Łączy ich i dzieli niszczycielska zazdrość – choć każdy z nich walczy o inną kobietę.

ZIMA

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

Wszyscy ludzie na tym świecie
A z nimi i my śnimy
Sen ciepły o odległym lecie
W samym środku zimy

I stukot sań nas niesie w dal
A czas tak wolno płynie
I lato wcale nie o cal
W tej przeklętej zimie

I taki to samotny czas
Gdy trzeszczą w stawach kości
I tylko mogą zbawić nas
Szczypty dwie miłości

Pierwsza z nich wystarczyć ma
Na naprawienie świata
A druga z nich spalona dla
Przywrócenia lata

I choćby serc gorących mieć
Miliony w ręku całe
I choćby śnieg zaczął wrzeć
Nie będzie go na stałe

Bo lato nam ulata tak
I zima w sercach gości
Gdy w świecie całym lata brak
Poszukaj tej miłości

KIESZEŃ W PRZESTRZENI

ROZDZIAŁ 1

REDAKCJA: MAGDALENA DZIEKAN

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: PATRYK ŻELAZNY

Kap, kap, kap...

Irytujący dźwięk wdzierał się do uszu Addeli, mącąc jej w myślach, jakby ktoś roztrzępywał jej spokój na najwyższych obrotach. Miała ochotę ukryć głowę pod poduszką, gdyby tylko nie groziło to brakiem powietrza i utratą tchu. A przecież miała astmę. Nie mogła tak ryzykować. Pani Donovan i tak uważała ją za osobę szaloną i nieodpowiedzialną.

Kap, kap, kap...

Wyglądało na to, że nie miała wyboru, musiała wstać i ogarnąć miejsce, które zdawało się ją torturować od momentu przebudzenia. Jednym zamaszystym ruchem zerwała z siebie kołdrę, gotowa jak co rano na ostry atak kaszlu. Nic takiego się nie stało. Zamrugła zaskoczona, postanowiła jeszcze chwilę poczekać na to, co zwykle nazywało się porannym rytuałem duszenia się, zakończonym najczęściej wizytą służby. Nic się jednak nie wydarzyło. Jej płuca miarowo przyjmowały powietrze, a uczucie ucisku na klatce piersiowej nie pojawiło się. Kobieta zmarszczyła brwi z konsternacją, przekonana, że została opuszczona niczym małe dziecko przez rodziców, którzy udają się na przyjęcie. Ataki kaszlu towarzyszyły jej od ponad trzydziestu dziewięciu lat i były stałym elementem jej codziennej rutyny. Jakim cudem dziś się nie pojawiły? Nie potrafiła tego pojąć. W chwilach, gdy coś nie mieściło się w jej wyobrażeniach, natychmiast sięgała po ziołową, uspokajającą herbatkę.

Zerknęła na szafkę nocną, by sprawdzić, która jest godzina, i jej zdziwienie ponownie zajęło całą przestrzeń umysłu. Tuż obok miseczki z najróżniejszymi lekami, stała parująca mieszanka ziół. Jej wzrok padł na nie w tej chwili, gdy znajomy zapach dotarł do jej nozdrzy. Czyżby Aleksandra zawczasu przyniosła jej napar? Nie podejrzewała swojej służącej o takie zaangażowanie, zwłaszcza że nie płaciła jej szczególnie wiele i wiecznie narzekała na nieróbstwo dziewczyny. Jej ambitne podejście dzisiejszego ranka ucieszyło Addelę. Zerknęła na zegarek. Wskazywał południe albo północ w zależności od koloru nieba na zewnątrz. Ostatnio kobieta źle spała, więc mieszały się jej pory dnia niczym monety w portmonetce. Wzięła zegarek do ręki i lekko nim potrząsnęła. Stała. Nie chodziło o to, że przestał cykać – bardziej wyczuwało się od niego martwość rzeczy, które straciły swoje najważniejsze funkcję – w tym przypadku odmierzanie czasu. Kobieta zanotowała w głowie, że musi powiedzieć o tym Aleksandrze, by ta naprawiła zegarek. Oczywiście, mogłaby sama go spróbować nakręcić, ale była zdania, że mając służbę, nie powinna zniżyć się do pracy przy tego typu czynnościach.

Sypialnia tonęła w ciemności. Grube, zamszowe kotary szczelnie zasłaniały okna. Zazwyczaj Addela dzwoniła srebrnym dzwoneczkiem po służącą, by ta rozsunęła zasłony, ale ponieważ dziś ominęła ją poranna walka o oddech, postanowiła zrobić to sama. Powoli postawiła stopy, na drewnianej podłodze – najpierw jedną, potem drugą. Nie poczuła dojmującego zimna, jakie zazwyczaj towarzyszyło jej przy tej czynności. Mimo wszystko wsunęła różowe papcie, bo przecież nie mogła ryzykować swoim zdrowiem. Była kobietą o delikatnej naturze. Co prawda, ważyła prawie dziewięćdziesiąt kilo przy wzroście stu sześćdziesięciu



centymetrów, ale doskonale wiedziała, że tkwi w niej delikatna, prawie porcelanowa osobowość. Nie rozumiała tylko, dlaczego jej otoczenie tego nie dostrzega.

Powoli ruszyła przed siebie, sunąc w stronę okna. Rozłożyła ręce na boki, niepewna, czy nic nie czyha, by zachwiać jej równowagę. Na przykład zaległy atak kaszlu czy śliska podłoga, na której mogłaby wywinąć orła. Nic takiego się nie stało i bez problemu dotarła do zasłon. Było to niecodzienne. Tyle szalonych czynności, jeszcze zanim dzień zdążył się na dobre rozpocząć. Przez umysł przemknęła jej myśl, że byłby to iście idealny dzień, gdyby tylko na zewnątrz świeciło słońce. Po chwili sama skarciła się w duchu. W Anglii o tej porze roku, można było liczyć jedynie na pełne zachmurzenie, a w najlepszych momentach brak opadów. Miękki materiał pod palcami przypominał, co powinna zrobić. Jednym ruchem rozsunała kotary, by kolejnym zakryć sobie oczy. Z ust wydobył się jej jęk, przypominający pianie koguta, a stopy odmówiły posłuszeństwa i same z siebie ruszyły do tyłu, w głąb pokoju.

– To niemożliwe... – jęknęła kobieta, bardzo powoli zdejmując dłoni z oczu.

Niewiele potrafi zadziwić angielską arystokratkę, ale piękny, słoneczny dzień w połowie lutego – to już było za wiele. Stała jak wryta, nie przejmując się tym, że jej usta były otwarte i najpewniej, nie wyglądała zbyt elegancko w takiej pozycji. Wpatrywała się w idealnie czystą szybę, przez którą wesoło wpadały promienie słońca. Widok, który się przed nią rozpościerał, przypominał obrazki z książek dla dzieci. Zieleń traw w ogrodach była tak soczysta jak świeżo zerwany szpinak. Pośród uroczymi drózkami wijącymi się niczym opasłe węże, wystawały rabaty kwiatowe, pełne czerwonych, niebieskich i żółtych roślin. Addela nie potrafiła oderwać od nich oczu. Jak to możliwe, że jeszcze wczoraj wszystko było szare i bure, a dziś wybucha feerią barw niczym noworoczne fajerwerki? Coś dziwnego działo się wokoło, a Addela nie zamierzała przejść nad tym do porządku dziennego. Skupiona wróciła do łóżka i sięgnęła po srebrny dzwoneczek. Uniosła go i delikatnie nim potrasnęła. Uwielbiała to robić. Wyobrażała sobie siebie jako elegancką lady, która w znacznie szczuplejszych niż w rzeczywistości palcach trzyma magiczny przedmiot, spełniający wszystkie jej życzenia. Odłożyła dzwoneczek i poprawiła się na posłaniu, przybierając odpowiednio zboląły wyraz twarzy. Współczucia od otoczenia nigdy za wiele.

Czekała. Najpierw pięć minut, które szybko zamieniło się w dziesięć. Trudno było utrzymywać przez tak długi czas jeden wyraz cierpienia na twarzy. Poddenerwowana ponownie sięgnęła do dzwoneczka i machnęła nim znacznie energiczniej niż poprzednio. Nadal nic się nie wydarzyło. Żadnych pospiesznych kroków na korytarzu. Aleksandry nie było. Addela poczuła, jak jej oblicze zalewa rumień wściekłości. Ta beczelna dziewczucha na zbyt wiele sobie powala. Kto to widział, żeby tak lekceważyć swoją panią? A gdyby Addela dostała zawału? Musi to wszystko jej wypomnieć i obniżyć pensję o dwa funty. Nie, nie o dwa, przynajmniej o trzy. Mamrocząc pod nosem złorzeczenia na swoją służkę, zaczęła narzucać szlafrok na potężne ramiona. Otuliła się nim szczelnie – wszak nie zamierzała dać się zwieść kilku promieniom słońca, gdy chłód na nią czyhał, aby zaatakować w najmniej spodziewanym momencie. Stała przed lustrem, by poprawić fryzurę, zaskoczona zauważyła, że na jej twarz wróciły rumieńce, których nie widziała już od dawna. To wszystko przez te poranne szaleństwa, pomyślała z lekkim zdumieniem i ruszyła ku drzwiom.

Korytarz pogrążony był w ciszy. W normalnych warunkach już w tym miejscu witałyby ją pudelki, których teraz nigdzie nie było widać. Addeli przyszła do głowy okropna myśl. Co by się stało, gdyby okazało się, że jest jedyną osobą pozostałą na świecie? Aż wzdrygnęła się na taką wizję. Wszak życie pozbawione służby byłoby nie do zniesienia. Kto by w takim razie przygotowywał jej posiłki? Przypomniła sobie o herbatce pozostawionej na nocnym stoliku. Nawet jej nie wypić. Od miesięcy nie podniosłaby się bez tego napoju z łóżka. Ewidentnie była dziś w zaskakująco dobrym zdrowiu. Nie wiedziała, czy powinna cieszyć się z tego faktu, czy martwić, że zostanie po wykorzystane przeciwko niej i służący uznają, że nie potrzebuje już wzmożonej pomocy. To wszystko normalnie powinno ją przyprawić o ból głowy i mdłości, lecz dziś nie działo się nic. Czula się doskonale i gdyby wyobrażenia pozwoliła jej na to, to spróbowałaby się przebiec, albo co najmniej podskoczyć. W dzieciństwie uwielbiała skakać na łóżku do momentu, gdy jej babka stwierdziła, że przez to stanie się biedna i nie będzie miała co jeść. A jedzenie ze wszystkich przyjemności ceniła najwyżej.

Gdy dotarła do schodów wiodących w dół, nadal nie słyszała żadnej żywej duszy. Normalnie w południe powinien się tu unosić gwar głosów. Obiad szykowany w kuchni powinien zapachem już wypełniać wszystkie pomieszczenia. Na samą myśl o posiłku zaburczało jej w brzuchu. Oj, była przeokropnie głodna. Z lubością pomyślała o naleśnikach z marmoladą. Instynktownie przyspieszyła schodzenie, ale już po kilku krokach do jej nozdrzy dotarł zapach... tak, zapach świeżo usmażonych naleśników. Jak to jest możliwe? Czyżby wszechświat w końcu postanowił spełniać życzenia Addeli?

Rozejrzała się wokół w ciszy, gdy stanęła na dole schodów. Pomieszczenia były idealnie czyste. Krzesła dosunięto do stolików, a poduszki na szezlongach wytrzepano i ułożono tak, by sprawiały wrażenie bardziej puchatych. Nawet róż bibelotów – ulubiony kolor kobiety – wydawał się bardziej intensywny, co oznaczało, że ktoś dokładnie je odkurzył. A jednak do jej uszu nie docierał żaden dźwięk, jakby wszyscy stąd uciekli. Powinna obciąć pensję za takie straszenie damy. Ruszyła do salonu, gdzie na stole leżał talerz, na którym piętrzyły się zarumienione naleśniki. Tuż obok w fikuśnych miseczkach znajdował się syrop klonowy i marmolada. Żołądek Addeli zrobił fikołka ze szczęścia. Rozejrzała się jeszcze wokół, niczym przestępca przed zbrodnią, a gdy nikogo nie zauważyła, zabrała się do jedzenia. Danie było tak wyśmienite, że nie skłamałaby, mówiąc, że w życiu nie jadła nic równie smakowitego. Nie potrafiła przestać. Zjadała naleśnika za naleśnikiem, nie żałując sobie ani marmolady, ani syropu. Przestała jeść, gdy już naprawdę nie była w stanie niczego więcej w siebie wcisnąć. Wtedy nadeszły wyrzuty sumienia. Teraz na pewno rozboli ją brzuch i będzie musiała wezwać doktora Meringa, by podał jej krople żołądkowe i pomógł wyrzucić z siebie nadmiar jedzenia. Nienawidziła tych wizyt. Zawsze kończyły się całkowitym wyczerpaniem kobiety. Ból jednak nie nadszedł. Żołądek pracował sobie spokojnie, niczym mruczący kotek ugniatający kocyk. Tego już było zbyt wiele. Może i czuła się dziś wspaniale, ale posiłki pojawiające się znikąd i brak ludzi wokół to zdecydowanie zbyt wielkie odchylenie w ustabilizowanym świecie angielskiej dziedziczki.

– Aleksandro?! – wykrzyknęła, zbierając potęgę głosu z wnętrza trzewi, by zabrzmiał władczo i wystarczająco donośnie.

Pokiwała głową z zadowoleniem, dumna z efektu, jaki udało się jej uzyskać. Oparła dłonie na biodrach. Po chwili uśmiech spelzł z jej twarzy – nikt nie zareagował na jej wezwanie.

– Aleksandro?! Feliksie?! – zabrzmiała trochę jak płaczliwe dziecko, przerażone tym, że nikogo nie ma wokół.

Puściła się biegiem przed siebie. Zaglądała do wszystkich pokoiów, wbiegła do kuchni dla służby, a nawet wyszła do ogrodu. Nigdzie nie było ani człowieka, ani zwierzęcia. Wróciła więc do salonu i z głuchym stęknieniem opadła na kanapę, zakrywając twarz dłońmi.

– Co się stało? Gdzie są wszyscy? Nie chcę być sama – łkała zrozpaczona, zakrywając się dłońmi.

Nagle usłyszała w korytarzu głosy, przeplatające się ze sobą. Gwałtownie podniosła głowę, zerkając w tamtym kierunku. Czy zwariowała i właśnie doświadczała omamów? To by pasowało do jej delikatnej natury. To by pasowało do dzisiejszego dnia – wszystko, co dziś pomyślała, natychmiast się spełniało. Po chwili była pewna, że właśnie to szaleństwo opętało jej umysł, gdyż ujrzała na własne oczy swoich rodziców. Szli, trzymając się za rękę. Matka była ubrana w kwiecistą suknię, a papa miał na sobie szary frak, który uwielbiał. I byłoby to cudowne spotkanie, gdyby nie fakt, że jej rodzice zginęli osiem lat temu w katastrofie morskiej. Ich statek, płynący na Nowy Kontynent, zatonął w trakcie sztormu.

Addela, gdyby stała, opadłaby ostantacyjnie na kanapę. Siedziała już, więc pozostało jej jedynie mocniej wbić swoje ciało w aksamitne obicie. Szczęka żyła własnym życiem i nie zamierzała wrócić na swoje miejsce, zamykając usta kobiety. Jedną ręką odruchowo powędrowała do drugiej i zaczęła brutalnie szczypać skórę.

– Obudź się!, Addela, obudź się – mamrotała pod nosem.

Zacisnęła z całych sił powieki, walcząc z własnym ciałem, by wyrwać się z dziwnego snu, jaki gnębił ją od rana.

– O nie, kochanie... – Usłyszała głos matki i delikatne kroki, zmierzające ku niej. – Alfredo, ona walczy ze świadomością. Musimy jej pomóc.

– Moja droga, daj jej chwilę. Sama wiesz, że początki bywają trudne. Nie tak łatwo jest przyjąć do wiadomości, że się nie żyje. – Głos ojca, tak wytęskniony, tym razem sprowadził na córkę palpitację serca.

– Co??? – wyrwał się z piersi dziewczyny wielki krzyk, zanim jeszcze była na niego gotowa.

W szeroko otwartych oczach kobiety, odbijały się zatroskane, lecz spokojne twarze rodziców. Patrzyli na nią z miłością i... tak, ze szczęściem. Matka głaskała córkę po włosach, a ojciec trzymał w swojej jej dłoń. Co dziwne, palpitacje serca nie do końca były prawdziwymi palpitacjami. Owszem, czuła strach i zdziwienie, ale zawsze w takich chwilach miała wrażenie, że jej ciało za chwilę ją zawiedzie. A teraz czuła niepewność, ale jej organizm wydawał się stabilny i dawał poczucie bezpieczeństwa. Czy tak czują się normalni, zdrowi ludzie? Zapytała samą siebie w myślach, lecz po chwili przypomniała sobie słowa matki. Czy była po prostu martwa?

– Ja umarłam? – wydusiła z trudem.

Rodzice spojrzeli po sobie, aż w końcu to ojciec zabrał głos.

– My wolimy mówić o śmierci jak o przejściu. Przeszłaś po prostu do innego świata.

Addela wygładziła fałdy koronkowej koszuli nocnej i szczerzej zakryła się szlafrokiem, choć w rzeczywistości wcale nie było jej zimno. Było jej optymalnie. Wszystko tutaj było optymalne.

– Jak to możliwe, skoro nadal znajduję się w naszej rezydencji? – zapytała.

Zdawała sobie sprawę, że może powinna zadawać bardziej wyszukane i elokwentne pytania, ale postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy.

– Tak, córeczko. Ale nie jest to rezydencja, którą zostawiłaś w poprzednim życiu. To jej kopia, stworzona przez twój umysł. To nasza rezydencja, lecz znajdująca się w Elizjum, która jest w Krainie Umarłych.

Na te słowa Addela gwałtownie się wzdygnęła. Kraina Umarłych brzmiała przerażająco. Elizjum było o wiele bardziej odpowiednim słowem. Nagle wyobraziła sobie, jak przepełniona musi być ta przestrzeń. Przecież przez tysiące lat umierały miliony ludzi. Złych i dobrych. Czy jej pradziadek Tercjusz także mógł się tu znajdować? Przecież to był prawdziwy psychopata, do tego odmawiający sobie jedzenia ze względów etycznych. Matka, jakby odgadując jej myśli, rzekła:

– Trafiają tu jedynie dobre dusze. Jesteśmy tu już od ośmiu lat – i naprawdę odnaleźliśmy szczęście. Każda dusza dostaje swoją przestrzenną kieszeń, którą może kształtować podług własnych życzeń. Ty stworzyłaś kopię rezydencji, ale zauważ, że nie ma tu angielskiej pogody, lecz piękna, ciepła aura. Widzę, że zorganizowałaś sobie także posiłek. – Gestem głowy wskazała na resztki naleśników. – Twoje myśli są siłą twórczą.

– Ale wzywałam służbę i nikt się nie pojawił – jęknęła płaczliwie Addela, tonem skarżącym ośmiolatki.

– Bo oni żyją, kochanie – odrzekł rzeczowo papa. – Nie mają tutaj wstępu.

Dziewczyna przyjrzała się twarzom rodziców. Nie była w stanie uwierzyć w ich słowa, a z drugiej strony nie miała najmniejszych wątpliwości, że mówią prawdę. W głębi serca wiedziała już o tym od samego przebudzenia. Dzień wcześniej czuła się fatalnie i nie obyło się bez wizyty lekarza, który podał jej odpowiednie leki. Potem zasnęła... i najprawdopodobniej umarła. Poczuła smutek. Miała zaledwie trzydzieści dziewięć lat. Nie posiadała rodziny ani dzieci. Miała swoje psy i służbę. Nie była szczęśliwa, a jednak żyła. Nie zamierzała odchodzić zbyt szybko. Nie przygotowała się na to. A teraz nie było odwrotu. Nie zakończyła swoich spraw. Wyrwano ją niczym roślinę, która nie zdążyła jeszcze w pełni zakwitnąć.

– Nie jestem na to gotowa. – wyszeptała, walcząc z płaczem.

Matka natychmiast ją objęła.

– To naturalne, kochanie. Wszyscy tak zareagowaliśmy. Musisz wiedzieć, że życie tu jest po prostu wspaniałe. Nie ma chorób ani bólu. Możesz tworzyć swój świat tak, byś czuła się tu jak najlepiej. I przede wszystkim nie ma tu samotności. Są nasi przodkowie, nasi przyjaciele... i trwamy w ciągłym oczekiwaniu, bo prędzej czy później także reszta naszych bliskich nas odwiedzi. My tak czekaliśmy na naszą jedyną córkę – uśmiechnęła się do niej z matczyną czułością.

Addela jednak miała poczucie, że zawiodła swoich rodziców, bo coś takiego wzniosłego zrobiła w swoim marnym życiu. Owszem, namiętnie pisała kryminały z przystojnym detektywem Rogerem w roli głównej, ale nigdy nie miała odwagi wysłać ich do wydawcy. Wychowała czwórkę pięknych pudli, które zdobywały nagrody na konkursach piękności. To nie powinno być źródłem prawdziwej rodzicielskiej dumy. Zawiodła rodziców. A tutaj nic ją nie bolało. Czuła się tak wspaniale, jak ostatni raz w dzieciństwie, zanim wypadek na koniu zniszczył jej zdrowie. Miała tu dwoje kochających bliskich i może – a raczej na pewno – pole do tworzenia.

– Jak to działa? Całe to Elizjum? – zapytała zaciekawiona różnymi opcjami, jakie los przed nią postawił.

– To Kraina Umarłych, ale nie taka, jak w twoich powieściach o duchach. Bardziej przypomina jej grecki pierwowzór. Jest to wymiar, do którego udają się dobre dusze. My zamieszkujemy jej poziom środkowy jako zwyczajni śmiertelni. Na poziomie wyższym przebywają dusze, które za życia dokonały pięknych i altruistycznych czynów, a poziom niżej...cóż, powiedzmy, że tam znajduje się Poczekałnia. Córeczko, czy nie czytałaś listu znajdującego się tuż obok kąpiącej butelki? Każdy z nas taki otrzymał po przebudzeniu.

Kąpiąca butelka, no tak. Addela całkowicie zignorowała dźwięk, który ją przebudził.

– Jakoś nie było sposobności – odparła.

Rodzice spojrzeli po sobie nieco zaniepokojeni. A już sekundę później dało się słyszeć mocne pukanie do drzwi wejściowych. Trzy pary oczu jak na zawołanie spojrzały w tamtym kierunku.



– Nie ma służby... – jęknęła Addela.

– Wyobraź sobie, że drzwi się same otwierają – zaproponowała matka.

Dziewczyna zamknęła oczy, wizualizując otwierające się, bogato zdobione drzwi wejściowe. Gdy podniosła powieki, ujrzała w otwartym przejściu ciemnoskórego mężczyznę, ubranego w elegancki, śnieżnobiały garnitur.

– Dzieńdoberek – zaświergotał, po czym rażnym krokiem przemaszzerował przez hol do zaskoczonych rodziny. – Witam gorąco. Nazywam się Anton de Smigiel i jestem przedstawicielem Komisji do Spraw Nielegalnych Spadochroniarzy z Wymiaru Męki. W skrócie Sanoswy. Poszukuję Paniienki Adelki – oznajmił uśmiechnięty, po czym złożył uroczyste dłonie i spojrzał na zebranych.

– Adelki??? – zapytała wzburzona Addela.

– Komisja do Spraw Nielegalnych Spadochroniarzy? – wycedził jej ojciec.

Anton chwilowo stracił rezon i niepewnie wodził wzrokiem to po Addeli, to po jej matce, by ostatecznie zatrzymać się na ojcu. Pospieszenie zerknął do swojej teczki i uroczyste obwieścił.

– Mam tu napisane, że paniienka Addela Gemstone trafiła do Elizjum przez niefortunny przypadek, bo powinna znaleźć się najpierw w Poczekalni. Tam też mam ją przenieść.

Nie zdążył nawet podnieść wzroku, a już zaatakowały go gniewne głosy trojga zebranych. Patrząc teraz na wyklócające się kobiety, trudno było mieć wątpliwości, że są one ze sobą spokrewnione. Jednak i szacownemu papie nie brakowało charyzmy przy wygłaszaniu sądów i apelacji. Wszak jeszcze w Wymiarze Męki pełnił funkcję sędziego.

– Cisza!!! – krzyknął nowo przybyły mężczyzna, po czym wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę i otarł sobie czoło. – Czy jest tu zainteresowana?

Addela wściekła niczym osa odparowała:

– Tak, to ja. Proszę sobie jednak zapamiętać raz na zawsze, że nazywam się Addela przez dwa „d”, a nie jak wiejska dziewczka. I nie ma mowy, że dostałam się tu przez przypadek. Nic złego w życiu nie zrobiłam, więc nie ma pan prawa mnie stąd nigdzie odsyłać.

Mężczyzna jeszcze raz spojrzał na papiery i podrapał się po brodzie.

– W rzeczy samej. Nie zrobiła pani tyle zła, by trafić do poczekalni. Nie w tym rzecz. Z dokumentacji wynika, że została pani zamordowana, a w takich przypadkach...

Jej matka wydała zduszony krzyk i zakryła dłonią usta.

– Ktoś zamordował naszą córeczkę? – zagrzmiał papa. – To niegodne!

Anton pokiwał głową, uspokajony, że tym razem nikt nie krzyczy na niego.

– Przykro mi. Do momentu wyjaśnienia i odnalezienia mordercy państwa córka będzie musiała poczekać w... Poczekalni.

Addela poczuła, jak złość ją opanowuje. Raptownie wstała z kanapy i podeszła do służbisty, łapiąc go za poły marynarki.

– Proszę mnie odesłać na ziemię. Znajdę mojego mordercę i tu wrócę. Może pan? – wycodziła ostatnie słowa, odsłaniając przednie zęby, niczym zwierzę szykujące się do ataku. Wierzyła, że jej się uda, przecież napisała niemało powieści kryminalnych i знаła umysły zbrodniarzy jak nikt inny.

– Mogę, ale musiałbym wypełnić odpowiednie formularze... – płątał się Anton.

– Wysyłaj ją pan, ale to już! – wykrzyczał papa, po czym zwrócił się łagodniej do córki. – Po-czekamy tu na ciebie, skarbie.

Addela jeszcze mocniej ścisnęła poły garnitur, usiłując, by jej spojrzenie mroziło krew w żyłach, co w rezultacie przyniosło marny efekt – lecz skutek zaskakująco dobry. Anton wyswobodził prawą rękę i pstryknął palcami, odsyłając arystokratkę do jej prawdziwego łóżka w Wymiarze Męki. Młoda kobieta, jeszcze jak przez sen, usłyszała, że na rozwikłanie sprawy ma siedem dni, a po upływie tego czasu trafi do Poczekalni. Po czym gwałtownie otworzyła oczy i ujrzała nad sobą zatroskaną twarz służącej Aleksandry.

– Mateczko jedyna, już się przestraszyłam, że panienka umarła – wysapała kobieta, odskakując w tył.

– Jeszcze nie, moja droga. Jeszcze nie...

MARTA PAWLIK

Z wykształcenia archeolog, z zawodu linergistka. Na co dzień pracuje z pacjentkami onkologicznymi, pomagając im wracać do normalności po leczeniu chemioterapią i mastektomii. Prywatnie mama 17-letniej Oliwii i to dla córki pisze od dziesięciu lat powieści oraz opowiadania, które rosną wraz z nią. Do tej pory trafiały jedynie do szuflady, ale niczym nocne stwory powoli z niej wychodzą.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: [maki_papierowe](#)

Dzwony Nagasaki



Autor: Takashi Nagai

Tłumaczenie: Maria Szwykowska

Wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Mireki

Oprawa: miękka

Formaty: druk

Gatunek: literatura faktu

Data premiery: 2025

Gdzie kupić? [W sklepie internetowym](#)

„Dzwony Nagasaki” to poruszająca kronika katastrofy i osobistej tragedii. Jej autor, Takashi Nagai, był japońskim lekarzem, który przeżył eksplozję bomby atomowej w 1945 roku. Wspomnienia spisane przez Japończyka, który jako dorosły przeszedł na katolicyzm, dają unikalną perspektywę człowieka zakorzonego w dwóch światach.

„Najważniejsze dzieło doktora Nagai, «Dzwony Nagasaki», to zbiór refleksji i relacji, które uczyniły go nie tylko kronikarzem katastrofy, ale i głosicielem idei budowania pokoju, aktualnej niezależnie od wyznawanej wiary czy filozofii” (fragment przedmowy).

TANIEC W TRYBIE SOLO

REDAKCJA: PATRYK ŻELAZNY

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

To był dobry dzień. Zwiastun czegoś lepszego, choć nieosiągalnego. Lekko padał deszcz, kiedy oparłam rower o drzewo i zabierałam najważniejsze rzeczy. Nie było ich dużo. Ot, klucze do domu, telefon, chusteczki higieniczne i coś do picia – zestaw idealny, kiedy chcesz wyskoczyć na chwilę poza granice rzeczywistości. Jednocześnie żadna z nich nie będzie stanowić problemu, jeśli zdecydujesz się wrzucić je w ciemną toń i ruszyć dalej, w zupełnie innym kierunku.

Na razie, trzymając zabrane przedmioty pewnym chwytem, balansowałam na wilgotnych i miejscami zniszczonych przegnicie deskach, by dotrzeć w miarę sucha na niewielki pomost z ławką. Ostatnie deszcze nie były intensywne, ale systematyczne, więc przejście po śliskim drewnie stanowiło niemałe wyzwanie. Na szczęście trasa nie była długa i już po chwili stanęłam na konstrukcji, całkowicie ufając jej zdatności. Czy powinnam? Nie miałam wyjścia. Zresztą jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś wpadł do tego jeziora z winy drewnianej zabudowy. Co najwyżej z powodu brawury, by zbadać legendę o czołgu, który miał zatonać tam za czasów wojny.

Rozejrzałam się, deszcz lekko przybrał na sile. Nikogo wokół, dobre wieści. Zrobiłam telefonem kilka zdjęć – wyszły dobrze, choć wtórnie. Trudno znaleźć coś nowego w miejscu, które oko kamery widziało już tyle razy; niemniej starałam się udokumentować każdą wizytę, bo byłam tu szczęśliwa. A wiedziałam, że przyjdzie pora, kiedy utrwalone w obrazie szczęście pomoże mi przetrwać kolejną noc. Da nadzieję, że jeszcze kiedyś mogę tego doświadczyć. Nadzieję, że jest na co czekać.

Tak jak teraz, gdy siedząc na ławce, myślałam o tych nielicznych chwilach, w których nie byłam tu sama. Warto było ich oczekiwać i mieć poczucie nadziei, że powrócą. Usiadłam więc grzecznie, westchnęłam ciężko i czekałam wytrwale. Wpatrywałam się w przestrzeń przede mną, choć pozwalałam, by rozmyła się gdzieś daleko, podczas gdy ja usuwałam się do swojego wnętrza i próbowałam rozgonić skrywające się tam od jakiegoś czasu chmury.

Jak ostatnio, gdy byliśmy tu razem. Miałam do niego żal i szkarłatną kreską naznaczałam dystans między nami. Pamiętałam ten chłód, który nie

miał nic wspólnego z groźbą deszczu. Nie miałam bluzy, ale rozczarowanie pozwoliło, by ciężkimi oddechami moje płuca wypełniły się wiosennym powietrzem, a hulający wiatr łaskotał mnie po suchych żyłach.

Coś było nie tak. Nie potrafiłam się obudzić i znaleźć siły, by próbować. Było mi wszystko jedno, gdy szliśmy ścieżkami, a ja wypuszczałam z siebie zdawkowe słowa i zniktałam coraz bardziej. Czułam, jak gdzieś pod skronią pulsuje czerwone przeświadczenie, że nie tak to powinno wyglądać. Ból straty czasu nie był w stanie się przedostać i rozrosnąć na spierzchniętej ziemi obojętności. Potrzebowałam deszczu, potrzebowałam ciepłych promieni, potrzebowałam wydychanego powietrza i mikroelementów przekazywanych splątanymi z inną istotą palcami, jak korzeniami. Potrzebowałam, by ktoś pomógł mi nie uschnąć całkiem.

Pamiętam zbędne rozmowy niosące się wiatrem w moją stronę, jak ciche nawoływanie w moją wewnętrzną pustkę – w poszukiwaniu szczerej odpowiedzi. Pamiętam ukryty za okularami przeciwsłonecznymi ból, kiedy po raz kolejny odwracałam wzrok, jakby moim jedynym pragnieniem było zwyczajnie uciec, zniknąć, dać się pochłoniąć po raz kolejny. Potrzebowałam czasu, by przestać czuć się bezwartościowa i odrzucona. To głupie. To było tak cholernie głupie. Ale potrzebne, bo wiele się wtedy nauczyłam. Pamiętam, jak zaczęłam krążyć po niewielkiej przestrzeni tego pomostu, coraz gorzej znosząc dystans, który przecież sama narzuciłam. Czekałam na zaproszenie. Czekałam, aż w końcu się poddałam i postanowiłam wziąć odpowiedzialność za swoje własne zamieszanie. Usiadłam na ławce, niepewnie, na brzegu, a do wiatru dołączył deszcz. Ciężkie, skąpane w ciszy oddechy zapewniły mi powietrze, a troska wysłana sygnałami przez korzenie i ciepło bliskości przypieczętowały moje ożywienie. Powoli zaczęłam się podnosić. Cierpliwość, cierpliwość, cierpliwość – jakie szczęście mieć w życiu taką siłę, nawet jeśli nie własną.

Siedziałam tu zatem ponownie, tak jak wtedy. I starałam się poskładać siebie na własną rękę, wiedząc, że potrafię i że prawdopodobnie zupełnie nie potrzebnie znów tu moknę. Pragnęłam, jak

wtedy, spojrzeć niebu w twarz i rozwinąć płatki, odzyskując własną postać.

Lecz co, jeśli nie zobaczę słońca przed nadejściem nocy?

Co, jeśli zostanę zmuszona do życia w ciemnościach, bo to, kim jestem naprawdę, nie nadaje się do pokazania w świetle poranka?

Co, jeśli będziemy żyć tylko o północy i wyłącznie zimą? Przecież i tak stale musimy otaczać się chłodem.

Listopad wszystko zaczął, to wina jego smutnej aury. Potem przyszedł grudzień pełen wątpliwości, styczeń ze strachem, luty z miłością, marzec z nadzieją, kwiecień, maj i czerwiec. Wiosna się rozpędziła i zaraz na dobre zaczęło się lato. A tu nadal sztucznie pompowana zima.

Poddałam się napływającym myślom, zamknęłam oczy i skupiałam się na wykreowanej w mojej głowie zimowej wersji jeziora, skutego lodem oraz bólem. Zapragnęłam stanąć na jego powierzchni i tańcem odgonić wszelkie wątpliwości. Nie martwiłam się, bo kontrola nad grubością mroźnej pokrywy należała tylko do mnie. Nie mogłam wpaść, nie umiałam przecież pływać, a jednocześnie właśnie dlatego byłam gotowa to zrobić. Wyobraziłam sobie, jak powoli opuszczam bezpieczny pomost i stawiam pierwsze kroki, próbując dostosować ruchy do śliskiej powierzchni. Uczyłam się pracy płoż, testowałam je i łapałam się na tym, że coraz sprawniej przychodziło mi zachowanie równowagi. Czasem jeszcze postępowałam zbyt pochopnie, ciągnęło mnie, by nagiąć granice i zaufać ślepej wierze we własne możliwości. Byłam niemal w stanie poczuć ból zbitego ciała, lecz każda zrośnięta kość to wygrana ze strachem na drodze przełamywania własnych słabości, a każda blizna to przypomnienie, że byłam tylko człowiekiem i miałam wady – wady, które zauważałam, z którymi walczyłam, które oswajałam i, jeśli to możliwe, naprawiałam. Do przodu, do przodu, do przodu. Byle do przodu, potem tylko w górę.

Tak zaczęłam łapać rytm. Powielałam zapamiętane ruchy innych, by spróbować znaleźć w nich swój ślad, a potem dobierałam kolejne kroki na podstawie własnych potrzeb, grającej w duszy muzyki i choreografii. Niosły mnie podmuchy swobody – podmuchy, których źródłem byłam głównie ja sama. Bo na tym lodzie, w tej ciszy, w mojej głowie, istniałam tylko ja. Uniosłam więc lewą rękę na poziom barku, a prawą skierowałam wprost do nieba, posyłając za nią odważnie spojrzenie. Prawą nogę ugięłam lekko w kolanie, podpierając się na czubku wyimaginowanej płyzy, a drugą nogę zostawiłam delikatnie z tyłu, by stanowiła oparcie i dopełnienie pozycji.

Zastygłam na moment, wpatrując się w chwilo-wo odsłonięty zza chmur księżyc w pełni i czując,

jak tej nocy odbijał promienie słońca właśnie dla mnie, a drobiny na mojej sukience koloru północnego nieba błyszczały wyłącznie dla niego. Jak osobna konstelacja, z siłą, tajemniczością i pięknem tysiąca prywatnych gwiazd. Pogodziliśmy się; by dać temu wyraz, opuściłam wysuniętą w górę dłoń i skłoniłam się lekko przed jego obliczem, inicjując pierwsze płynne ruchy. Wykorzystałam zdobytą prędkość na dwa swobodne obroty, w których starałam się zamknąć tyle gracji, ile byłam w stanie z siebie wydobyć.

To początek, pierwsze kuszenie, więc nie rzuciłam się od razu na wysokości i piruety; pozwoliłam się sobie przyjrzeć i dałam czas podniebnym reflektorom na dobranie pracy odpowiedniej do mojego tempa. Posunęłam się kilka metrów w linii prostej, po czym zerwałam się i, podnosząc lewą nogę, nadałam sobie pęd, by kręcić się w stronę przeciwną niż poprzednio. Znowu na spokojnie, choć w ruchach dało się wyczuć pierwsze oznaki rosnącej dynamiki i emocji, które nie pozwalały się stłumić. Dało się wyczuć, że czegoś miałam już dość, z czymś pragnęłam się pożegnać, zostawić za sobą niepotrzebny balast. Zwieńczyłam więc ostatni obrót lekkim skłonem i opuszczeniem rąk ku powierzchni jeziora, jakbym delikatnie, lecz stanowczo zrzuciła z siebie dawne traumy i morderczy lęk. Wyprostowałam się powoli, zgięłam nadgarstki i z gracją poruszyłam palcami, strzepując z opuszków ostatnie krople strachu. Następnie odjechałam tyłem, patrząc, co po sobie zostawiłam; jak ta czarna mgła rozplynęła się i znikła na brzegu wymyślnego lodowiska, niekarmiona dłużej moim bólem. Poświęciłam jeszcze chwilę, by pożegnać się z tym życiem, a potem odwróciłam się przodem do kierunku jazdy, salutując księżycowi i z uśmiechem planując następny ruch.

Ugięte nogi, ręce imitujące część obręczy i wzrok skupiony na środku – chwila na jazdę po kole, by zamknąć w nim niepewność i zebrać siłę na dalsze sekwencje. Zdobyte sekundy pozwoliły zauważyć, że księżyc nie był jedynym widzem moich działań. Gdzieś między drzewami majączyły ukryte w ciemności sylwetki, w milczeniu absorbujące każdy mój ruch.

Chwila konsternacji i pytanie, czy czas uciec i się schować. Nigdy nie lubiłam być w centrum uwagi, nie czułam się tego warta, bo i dla czego? Milcząca, przynębiona, szara do szpiku kości, człowiek cień. Wygodniej było mi wmówić sobie, że nic sobą nie reprezentuję, niż przyznać rację ludziom wokół, którzy zauważali, że mogę być wszystkim. Zbyt wiele razy się zawiodłam, bym chciała jeszcze wychodzić na zewnątrz i ufać. Twierdziłam, że nie jestem warta świata, nie jestem warta życia, ani nawet siebie samej. Raz za

razem się zdradzałam, zabijałam i zakopywałam byle tylko ukryć, kim jestem i że jestem w ogóle. Za bardzo się martwiłam, że to, co mnie stanowi, okaże się niewystarczające, a ja po raz kolejny odejdę w pustkę, tym razem z dogłębnym poczuciem porażki. Bałam się. Tak cholernie się bałam. Ale ten strach nic nie zmieniał, a ja zaczęłam wchodzić w fazę, w której tych zmian potrzebowałam. Pojawszy to, napięłam mięśnie twarzy, zacisnęłam zęby i się odbiłam, przestając poruszać się po obręczy koła. Uciekłam poza jego granice i z determinacją zaczęłam jechać do przodu, szybciej i szybciej. Płynęłam w powietrzu, nie do końca znając cel. Pchało mnie jedynie poczucie, że wszystko będzie dobrze i poradzę sobie z tym, co stanie mi na drodze. Odetchnęłam. Opuściłam. I na powrót zaczęłam cieszyć się jazdą, wewnętrznym rytmem i sobą.

Podjechałam bliżej krawędzi, by przyjrzeć się ceniom i z pewnością siebie patrzyłam w zgromadzone pary oczu. Nie było ich wiele, ale każda z osobna miała znaczenie. I zrozumiałam: pilne spojrzenia nie śledziły moich potknięć, ale mój skoordynowany ruch; nie czekały na mój upadek, by szydzić, ale by widzieć, jak po raz kolejny się podnoszę i kontynuuję występ.

Pchana nową mocą, dojechałam na środek jeziora, slalomem, delektując się każdą chwilą w ruchu, by na koniec odwrócić się tyłem do kierunku jazdy, ugiąć kolana, wyrzucić ręce i wystrzelić w górę, do spektakularnego obrotu w powietrzu. Tym razem świat musiał stanąć w miejscu, podczas gdy ja swobodnie wirowałam i unosiłam się poza jego zasięgiem. Magiczność chwili zamkniętej we wstrzymanym oddechu widzów pochłonęła mnie doszczętnie, wymazując z głowy wszelkie negatywne myśli, a wraz z nimi moją uwagę. Nie chciałam wracać na ziemię, więc zapomniałam, że każdy skok wymaga lądowania. Gdy się zorientowałam, było za późno, a źle ustawiona płoza nie miała szans zapewnić mi równowagi, bez względu na wszelkie starania.

Upadłam.

Przy swoim pierwszym skoku.

Publicznie.



Boleśnie.

Śliczna sukienka nie ochroniła tyłka, a lata starań nie pomogły oszczędzić psychiki. Czułam się upokorzona, przegrana. Przejechałam na poślach jakiś metr lub dwa, analizując, co się w ogóle wydarzyło, i zastanawiając się, jak wyjść z tego z twarzą. Podsunęłam zgięte nogi tak, by ustawić je przed sobą, do wstania, a po wystarczającym wytraceniu prędkości podparłam się rękoma i podniosłam najsprawniej, jak potrafiłam. Nie było mi miło, nie było przyjemnie. Ale powrót do ruchu był konieczny, tyle wiedziałam. Utrzymałam się na własnych nogach, poruszałam rękoma, żyłam. Uniknęłam kontuzji, więc mogłam jechać dalej. Byle do przodu, powtarzałam sobie.

Spojrzałam po zgromadzonych ceniach, których zdawało się być teraz więcej, i posłałam niewyraźny uśmiech, jakbym starała się ich uspokoić i dać do zrozumienia, że wszystko ze mną dobrze i że przedstawienie będzie trwać. Księżyc jeden

wie, że były to słowa, które sama potrzebowałam w tamtej chwili usłyszeć.

Szybka jazda po łuku, by nabrać odwagi i przekonać samą siebie, że warto, a w trakcie kilka niskich obrotów i zachowawcze ruchy, mające wdrożyć mnie na nowo w tryb jazdy i przygotować na kolejne części wystąpienia. Przeniosłam ciężar na prawą nogę, unosząc z tyłu wyprostowaną lewą. Miałam ochotę płakać, bo z każdą figurą kwestionowałam swoją siłę i całe to cholerne przedsięwzięcie. Po co mi to wszystko? Dlaczego miałabym się starać, skoro nie potrafię ponownie zaufać sobie samej i zebrać się do skoku? Dlaczego to rozpoczęłam? Choć nie potrafiłam odpowiedzieć sobie na te pytania, umiałam przywołać w pamięci obraz początku. I, tak jak wtedy, uniosłam jedną rękę na poziom barku, drugą skierowałam do księżycy, a wraz z nią wzrok. Poprosiłam o pomoc, pokazałam swoje rany i poczułam spokój. Opuściłam ręce i odwróciłam się znów tyłem do kierunku jazdy. Przez chwilę nie chciałam wiedzieć, w stronę jakiej przyszłości zmierzam. Nie było to konieczne, bo nie wiedział tego nikt spośród zgromadzonych. Po prostu istnieliśmy, zamknięci w teraźniejszości, obserwując rozwój wydarzeń. Improwizowaliśmy, wszyscy, jak przez całe nasze życie. Klucz zawierał się w tym, by nie przestawać i szukać rozwiązań w miejscach pełnych mroku oraz niepewności. Pozwolić dostrzec swoją wrażliwość i uczynić z niej zaletę.

Opuściłam głowę, uznając wyższość kolejnej lekcji, pokonałam kilka sekund w swobodnej jeździe tyłem, po czym zmobilizowałam mięśnie i wykonałam kolejny skok. Tym razem pilnowałam, by nie dać się ponieść, a celebrować przełamanie bariery i z rozsądkiem zadbać o bezpieczny powrót. Kolejny upadek nie był daleki, szczęście jednak pomogło mi go uniknąć i z rozłożonymi dla równowagi rękoma wylądowałam na jednej nodze, okraszając wyczyn szczerym uśmiechem.

Nowa dawka pewności siebie była widoczna w moich ruchach, kiedy niesiona czystą radością udawałam łyżwiarkę figurową, poruszając kończynami w wyważony sposób, by dodać swojej jeździe powabu.

Zaczęłam dobrze się bawić.

Przebierałam szybko nogami, nadając sobie pęd i jadąc bokiem wzdłuż jednej z krawędzi. Zajęta planowaniem kolejnego ruchu zauważyłam jednak, jak gdzieś w oddali jeden z cieni się przesunął. Podejrzewałam omamy wywołane całym tym wirowaniem w emocjach, ale szybko zauważyłam, że postać jest realna. Co więcej, teraz zdawała się poruszać po lodzie wraz ze mną. Speszyło mnie to wtargnięcie i nie wiedziałam, jak zareagować. Nie sądziłam, że przyjdzie mi dzielić się sceną i świa-

tłem z czymś, czego nie przewidywałam w repertuarze. Podjechałam nieco bliżej, przenosząc ciężar na jedną nogę tak, by skłonić się w stronę lodu, a drugą unieść jak do pozycji jaskółki.

Dojechawszy w ten sposób do miejsca, w którym jeszcze przed chwilą znajdował się mój cienisty towarzysz, sięgnęłam po pozostawiony przez niego przedmiot. Lodowy goździk.

Wyprostowałam się i wzrokiem przeszukałam jezioro. Cień migał na tle odległego brzegu. Przemykał, wiedziony własną muzyką, historią, własnymi powodami. A jednak na mojej scenie i po moich śladach. Trzymałam dystans między nami, łopoczące serce w klatce, a kwiat – w dłoni. Księżyc ofiarował mi tajemniczego gościa jako motywację do dalszego tańca, nie pretendenta do głównej roli, więc odbiłam w przeciwną stronę i zajęłam się swoim małym światem. Posłałam uśmiech do mojego podniebnego przyjaciela i zadedykowałam mu kolejny skok.

Po udanym wykończeniu skoku od razu dodałam kolejny wir powietrzny, całkowicie wczuwając się w siebie i swój cel. Lądowania wychodziły coraz sprawniej, więc każda kolejna próba była śmielsza i pewniejsza. Na powrót poczułam determinację i wiarę w moje umiejętności. Wtedy też usłyszałam pierwsze oklaski – nagrodę, a zarazem motywację do dalszych odbić, skrętów, skoków, przeskoków i swobodniejszych elementów mojej jazdy. Postanowiłam już więcej nie szukać odpowiedzi wśród doświadczeń innych – siebie samą uczyniłam punktem głównym, przewodnikiem, słownikiem nowego stylu.

Od czasu do czasu mijałam się z cieniem zesłanym mi przez księżyc – pachniał jak cynamon, ciepło i spokój. Od czasu do czasu zwracałam na niego większą uwagę, próbując wtedy spleść nasze choreografie. Byłam ciekawa i czułam się samotna. Lecz cień po każdym zbliżeniu stawał się jedynie bardziej nieuchwytny. Z początku go goniłam, egoistycznie nie chcąc pozwolić mu mnie zostawić – był tu przecież ze mną, dla mnie i przeze mnie. Zdarzały się chwile, gdy udawało mi się właściwie odczytać jego zamiary i na chwilę dostosować się do jego programu jazdy. Muszę przyznać, że intrygowało mnie to i sprawiało radość. Cień szybko jednak dostrzegwał moją bliskość i to, że kopiuję jego ruchy – i wtedy znikał. A przy tym coraz trudniej było go znów uspokoić, wyciszyć i wzbudzić zaufanie. Nie wiedziałam, jak nauczyć się tańca kogoś, kto tak bardzo starał się być niewidzialny. Rozumiałam go jednak, w końcu sama poświęciłam większość życia na to, by nie istnieć, i niczego tak mocno wówczas nie pragnęłam, jak tego, by nikt na mnie nie patrzył. Uciekał, więc potrzebował przestrzeni, a ja najbardziej zbliżałam się do niego przypadkiem, zatopiona we

własnym układzie. Nasze drogi się przecinały, bo moje ruchy były wszechstronne, zachęcające i wskazywały otwartość. Byłam obserwowana, kopiowana, chciana.

Podjechałam na środek i się zatrzymałam, ustawiając prawą nogę za lewą i wspierając ją na czubku płozy. Ręce swobodnie opuściłam po bokach, wnętrza dłoni kierując ku górze i lekko zginając palce. Obróciłam głowę i stałam chwilę, kierując nieobecny wzrok gdzieś między gałęzie otaczającego nas lasu. Nie musiałam patrzeć, by wiedzieć, że wszyscy mnie widzą. I tak obchodziło mnie tylko jedno spojrzenie, a ono nigdy nie chybiało.

Ruszyłam agresywnie, skokiem w przód na nowo nadałam ciału pęd i powoli zwróciłam się tyłem do kierunku jazdy, jednocześnie wyciągając dłoń do księżycy. Posłałam mu dziękczynne spojrzenie, ofiarując ten taniec, jak i wszystkie inne, do końca mojego życia. Sunęłam po lodzie z półprzymkniętymi oczami i pełnym zaufaniem do swojego ciała. Pochylałam się odważniej na boki, testując grawitację i z każdym wyzwaniem starając się sprawić, by wyglądało to delikatnie i bez wysiłku. Czując się pewnie, nauczyłam się czerpać przyjemność z każdego ruchu i emanować tym połączeniem spokoju, odwagi i radości na wszystkich i wszystko wokół. Uwierzyłam, że mam siłę to zrobić, i postanowiłam to wykorzystać, z czasem zbierając na brzegach coraz większy tłum, który wrodził za mną oczami, dostrzegając moją wartość.

Okręcając się swobodnie po powierzchni jeziora, poczułam ciepłą obecność cienia. Nie chcąc go zrazić, udawałam, że go nie dostrzegam, i sunęłam tyłem w jego stronę, starając się wyobrazić sobie jego położenie. Przejechałam w ten sposób obok niego i pozwoliłam, by na moment nasze spojrzenia się spotkały. W ciszy przekazałam mu całe swoje zaufanie do niego i obietnicę, że w drugą stronę także jest to możliwe. Chciałam, by wiedział, że nie musi się mnie bać ani mnie unikać. Okrążyłam go półkolem i odjechałam, pokazując mu w ten sposób, że trwam w swoim własnym tańcu i nie mam zamiaru naruszać integralności jego ruchów. Zależało mi, by czuł się bezpieczny i widziany. Nie miałam zamiaru być nachalna, więc zajęłam swoją pozycję po drugiej stronie jeziora i czekałam, aż dołączy, jeśli będzie gotów.

Czułam się coraz lepiej w swoich ruchach i sądziłam, że nie muszę się już poddawać innym prawom ani żadnym prawom rządzącym tym światem. Byłam czarną dziurą, wciągającą wszystkich, którzy stanęli mi na drodze – a było ich coraz więcej. Nie walczyłam o to, nie wołałam, nie błagałam o ich obecność. Zwróciłam im wolność, oddałam wybór, zyskałam przychyłność, spokój ducha i radość. Z każdym obrotem miałam wra-

żenie, że zrzucam z siebie kolejne zbędne rzeczy. Nie martwiłam się, gdy czułam słabość mięśni i zawroty głowy lub gdy pojawiały się wątpliwości, ból i okazjonalny strach – nie liczyłam na pozbycie się ich całkowicie. Wiedziałam jednak, że potrafię dać sobie czas, rozluźnić się, odpuścić stres, a przede wszystkim pamiętać, że robię to dla przyjemności.

Swojej własnej.

Zwalniałam więc, gdy było to konieczne. Regenerowałam się, przyglądając ruchom cienia, który stawał się wyraźniejszy, śmielszy, bliższy. Ciepleszy. Były momenty, kiedy nie oddalał się poza zasięg połączonych spojrzeń. Krążyliśmy raz bliżej, raz dalej. Razem. Było nam ciężko, nie zawsze potrafiliśmy zgrać w całość dwie odrębne choreografie. Byliśmy jednak dla siebie cierpliwi i wyrozumiali, wiedząc, że będziemy w stanie kiedyś osiągnąć harmonię, a jednocześnie gnała nas chęć, by tego dokonać. Dręczył nas głód. I ten drugi, wraz z głuchą ciszą wśród drzew, często odpychał nas od siebie, rażąc wątpliwościami jak prądem. Wracaliśmy potulnie do swoich kątów, by na czas jakiś znów pogрузić się w odrębnych tańcach. Nogi nie chciały już działać jak wcześniej, samotne kroki straciły swobodę i siłę. Niepewność w kościach przekładała się na fałszywe ruchy, a one – na reakcje widowni. Nikt nie był zadowolony, a pod lodem znów pętały strach ze wstydem.

Przerażona depresyjną statecznością, starałam się znów nadać sprawom bieg, zebrać się szybko do kupy i stanąć na nogi, pędzić do przodu, byle do przodu. Czułam za sobą oddech lęku, więc przyspieszyłam i wyskoczyłam w górę, do podwójnego obrotu, jakbym chciała wytworzyć tornado, które zdoła wchłonąć całą tę ścigającą mnie ciemną mgłę. Wylądowałam, ledwo łapiąc równowagę i wiedząc, że mój improwizowany atak się nie udał. Zaczęłam dopuszczać do siebie strach i szukać punktu zaczepienia, który pozwoli mi stąd uciec, nie tylko na nowo złapać rytm. Tym razem miałam dość, presja zdawała się zbyt duża, bym mogła ją udźwignąć. Pragnęłam znaleźć bezpieczne wyjście na brzeg i uciec gdzieś poza to życie.

Spojrzałam w stronę cienia, który niewyraźnie jawił się gdzieś w oddali, smętnie pokonując kolejne metry. Wyglądał, jakby się poddał, i pozwolił, by jezioro samo kręciło go po obręczy niewielkiego koła. Zrobiło mi się go żal, a jego cierpienie bolało mnie bardziej niż wstyd, który odczuwałam. Bo i dlaczego większy wpływ miał mieć na mnie tłum ludzi bez twarzy, bez dostępu do mnie, bez znaczenia? Zwolniłam i przyjrzałam się temu wszystkiemu. Poczułam chłód. Chłód, w którym żyłam przez cały ten czas i z którym

walczyłam tańcem, ku uciechu innych. Poruszałam się tak, by się podobało, i uciekałam, gdy przestali okazywać wsparcie. Znowu poddałam innym swój własny taniec. To był mój prawdziwy wstyd, a ze zrozumieniem tego przyszedł bunt. Zmarszczyłam brwi, skupiłam wzrok na cieniu, który zataczał coraz mniejsze kręgi, i odepchnęłam się gwałtownie w jego stronę. Nieprzyjemne okrzyki z brzegu tylko dodawały mi mocy. Dlaczego miałoby dyktować, jak powinnam tańczyć? Zwróciłam się do nich bokiem, rozłożyłam ręce i odpychałam na przemian nogami, jadąc wprost do swojego celu. Zerkał na mnie niepewnie, przeważnie ze spuszczoną głową, stawiając niezdeterminowane i ostrożne kroki. Stracił całą swoją energię i pewność siebie. Znikał.

Minęłam go jak wcześniej, zaznaczając swoją obecność i sprzeciwiając się dalszemu dystansowi, po czym zawróciłam i przejechałam obok ponownie, tym razem łapiąc go za cieniistą rękę i ciągnąc uparcie na środek, z dala od niezadowolonej widowni, sączącej jad w nieprzychylnych słowach. Dopiero w bezpiecznej odległości poczuć mogłam gorąc w miejscu, gdzie doszło do zetknięcia naszych dłoni. Rozluźniłam uścisk, choć nie przerwałam kontaktu, przesuwając palcem wskazującym wzdłuż krawędzi jego ręki i bardziej widząc, niż czując, jak pod koniec delikatnie zgina ciemną masę, imitującą mały palec. Zrozumiałam, że starał się mnie zatrzymać chociaż na sekundę dłużej. Spojrzałam na niego i wkrótce potem była to jedyna forma kontaktu, jaka nam pozostała. Skłoniliśmy się sobie delikatnie i rozpoczęliśmy wspólny taniec. Najpierw powoli, niezdarnie, ucząc się nawzajem współistnieć w tak małej przestrzeni, a cienie patrzyły i na przemian milczały, wiwatowały, klaskały i rzucały obelgi. Nic do nas nie docierało, a jedynym, co mogło nas od siebie odrzucić, było nasze własne ciepło, miejscami zbyt intensywne, by znieść je w tej otaczającej nas krainie. Dostosowywaliśmy się, szukaliśmy rozwiązania i wyznaczaliśmy granice.

Wszystko na bieżąco i wszystko na próżno.

Aż w końcu dotarło do nas, że nie damy rady tak wiecznie walczyć – ze sobą, ze światem, z własnymi demonami. Postanowiliśmy znaleźć wyjście na brzeg.

Zmęczeni, ale zadowoleni, ruszyliśmy w stronę miejsca, w którym stawiałam swoje pierwsze kroki na łodzi. Nie marzyłam o niczym więcej, niż usiąść na pomoście i rozmasować stopy. Odpocząć i pomyśleć.

Poruszałam się posuwistym krokiem, rozkoszując się ostatnimi ruchami po jeziorze. Milczałam, bo nie było słów wartych wypowiedzenia. Myślałam o tym, jak bezpiecznie się czuję, i wiedziałam, że niczego więcej mi nie trzeba, bo dzięki bezpieczeństwu zyskałam spokój, a dzięki spokojo-

wi mogłam w końcu poczuć, czym jest szczęście. A co ważniejsze: nie byłam w tym osamotniona. Obserwowałam miarowe ruchy o gładkich krawędziach i chłonełam znowu widoczną sylwetkę cienia. Byłam świadkiem, jak odzyskiwał swą tożsamość.

Zapatrzona w kształtujące się rysy twarzy, poczułam nagłe szarpnięcie za rękę, zaskoczenie i mimowolne przesuwanie się w tył. Walczyłam chwilę, by odzyskać równowagę, a gdy mi się udało, starałam się zrozumieć, co właściwie się wydarzyło. Odpowiedź została wskazana palcem mojego towarzysza. Powiodł mój wzrok w kierunku pomostu, od którego dzieliło nas zaledwie kilka metrów. Teraz naszpikowany był ostrzami, drutem kolczastym i znakami o krzykliwych kolorach, informującymi nas, że nie mamy już wstępu na ląd. Zostaliśmy wykluczeni, odrzuceni, niechciani. Wyswobodziłam się z uścisku cienia i podjechałam bliżej, chcąc odczytać ostrzeżenia i dowiedzieć się, czym właściwie zawiniliśmy.

Wróciłam po chwili, spuszczonego wzrokiem przyznając, że możemy mieć kłopot, który nie jestem pewna, jak rozwiązać. Obserwując go przesuwającego się znowu powoli po obręczy, zaczęłam naśladować jego ruchy, jakbym miała nadzieję, że w pewnym momencie na mojej drodze znajdzie się rozwiązanie. Choć wiedziałam, że ciężko o to, jeżdżąc w kółko. Oboje jednak nie mieliśmy siły, by podjąć się jakichkolwiek działań, a wiedzieliśmy, że stanie w miejscu także nie jest opcją – zarówno ze względu na nasilający się mróz, jak i na czystą potrzebę ucieczki przed lękami.

Tłum się przerzedził, choć pozostałe oczy zdawały się śledzić nasze ruchy jeszcze dokładniej niż wcześniej. Czekali, aby znaleźć właściwy moment, wykorzystać ostrza z brzegu i starać się dołączyć je do naszego tańca – niekoniecznie za naszą zgodą.

Krążyliśmy wokół siebie, samotnie.

Próbowaliśmy dać sobie radę, każde na własną rękę.

Szukaliśmy rozwiązań jedynie w obrębie własnych głów.

Kazano nam się rozdzielić, aż zaczęliśmy wierzyć, że to jest właściwe wyjście.

Rozstaliśmy się i wróciliśmy do tańca osobno – każde na swojej części jeziora. Potrzebowałam trochę czasu, by odnaleźć rytm. Tym bardziej że po tym wszystkim nie był już taki sam. Musiałam ustalić go na nowo, strząsać i zrzucać kolejne problemy i czarne myśli. Kręciłam się, skakałam, upadałam, podnosiłam się, jechałam, byle dalej, byle do przodu. Zatraciłam się w swoim smutnym tańcu, bo jedynie w jego kontynuacji czułam pociąg. Wkrótce moja zaklęta w ruchach historia zaczęła na nowo przyciągać ludzi oraz zdobywać

ich przychyłność. Tak, tak powinno być, dziewczynko. Tańcz dla nas, tańcz solo. Szczęście znajdziesz w sobie. A jeśli nie, to się nie przejmuj, szczęście i tak nie znaczy nic. Spójrz na nas, jesteśmy nieszczęśliwi, a jednak żyjemy. Czasem narzekamy, czasem płaczemy, czasem przeklinamy, ale jesteśmy i trwamy, bo na tym polega życie. Prawdziwe życie to smutne życie, bo tego nas nauczono i tego nauczono naszych rodziców, dziadków i wszystkie pokolenia wcześniej. Dlaczego miałabyś być szczęśliwa, podczas gdy nikt inny nie jest? Nie masz poczucia winy, dziewczynko, raniąc nas wszystkich wokół swą radością? Kłując nas nią w oczy, jakby ci się należała? Tańcz, dziewczynko, tańcz. Tylko to ci pozostało na tym smutnym, pełnym żalu świecie.

Więc tańczyłam, ukryta w swoim małym kąciuku, rysując płozami na lodzie opowieść o życiu, którego nigdy mieć nie będę. Laleczka na wystawie, w której nie planowałam brać udziału. Marionetka w rękach ludzi zawsze wiedzących lepiej.

Upadłam. Upadłam na kolana i schowałam twarz w dłoniach. Pragnęłam, by świat na chwilę przestał istnieć, przestał kazać mi wirować, przestał stale mną zarządzać. Płakałam, ofiarując skutemu lodem jezioru całe zawarte we łzach ból oraz bezsilność. Skoro nie mogłam czuć spokoju, błagałam choć o obojętność. Chciałam na nowo móc ignorować natrętą obecność cienia. Był praktycznie niewidoczny, ale swoim istnieniem ranił mnie do głębi. Dopiero zaczął znajdować swoje własne kontury, a ja pragnęłam mu pomóc. A nade wszystko potrzebowałam po prostu odpocząć. Okupowałam te prośby własnym bólem, w pełni gotowa oddać życie za to, byśmy przestali być tak cholernie nieszczęśliwi.

Podniosłam się. Wiedziałam, że ten płacz nic nie da, a ból jest tylko mój. Widownia wiwatowała, gdy przestałam być pochmurna i wróciłam do zabawiania jej tańcem. Skoro już poświęcała czas na to przedstawienie, żądała satysfakcji, nawet kosztem aktora. Nie przestając płakać, ruszyłam z miejsca i próbowałam złapać strzępki swojej wewnętrznej muzyki. Nie dla nich, nie dla siebie nawet – dla niego. Wiedziałam, że mnie obserwował i że cierpiał tak jak ja. Wiedziałam, że się nie zbliży z obawy przed reakcją tłumu. Martwił się, że mógłby mnie tym skrzywdzić i doprowadzić prosto nad przepaść. Bał się, że tym razem skoczę. Prawdziwa miłość odzwierciedla się w reakcji drugiej osoby na twój ból, nie tylko na twoją obecność. Jeśli ktoś rzeczywiście ceni sobie twoje dobro, jego największym strachem nie jest utrata dostępu do ciebie, lecz skrzywdzenie cię. Ta niewielka różnica decyduje o tym, czy jesteś kochany za to, kim jesteś, czy za to, co dajesz.

Wstałam i wróciłam do ruchu, by pokazać ciemniowi, że potrafię sobie radzić z upadkiem.

Patrzyłam, jak tańczył, bo swoim tańcem dawał mi siłę.

Znowu byliśmy tylko my, lecz tym razem grała nam ta sama muzyka. Zatracałam się w dźwiękach i szukałam nowych pozycji, świeżych gestów, odmiennej definicji uczuć, które mogłam zawrzeć w każdym swoim mięśniu. Wiedziałam, dlaczego pozostaję w ruchu, i ta wiedza mnie wyzwalała, dawała mi siłę i motywowała do dalszej pracy. Pragnęłam być widoczna i robiłam wszystko, by przyjemnie się na mnie patrzyło. Chciałam znowu inspirować, dawać nadzieję i nieść otuchę zmęczonemu umysłowi. Na odległość słałam wieści o swoim samopoczuciu, niegasnącym wsparciu i bezbrzeżnej miłości. Emitowałam w przestrzeń barwy, które tylko nabierały na intensywności i stanowiły stałe źródło dla cienia odnajdującego w nich swoje własne kolory. Dzieliłam się światłem, które być może pewnego dnia przełamie ostatnią warstwę mroku, uwalniając spod jarzma spragnioną wolności duszę.

Wiedzieliśmy. Oboje wiedzieliśmy, że nie ma innego wyjścia. Żadna dalsza forma nie była przewidziana w naszym programie jazdy. A mimo to raz po raz dawaliśmy się ponieść i zbliżaliśmy się do siebie, przelotnie wymieniając spojrzenia i zostawiając się nawzajem z uśmiechem, z którym łatwiej było kontynuować morderczy wysiłek.

Raz, pamiętam to dobrze, nachyliłam się w jeździe, zebrałam wszelkie siły i wyskoczyłam w górę, obracając się kilkukrotnie. Zawahałam się w locie, napotykając wzrokiem na przeszkodę, której się nie spodziewałam. Czyżbym źle obliczyła ruch? Jakim cudem mogłabym znaleźć się tak blisko drzewa, skoro startowałam ze środka jeziora? Po chwili do mnie dotarło, że to nie drzewo. Ono nie byłoby w stanie złapać mnie ani wirować ze mną w szaleńczym pędzie. Zakreśliło mi się w głowie, a całe ciało przeszył niewyobrażalny żar. Cień.

Choć właściwie w niczym nie przypominał już cienia, a ja pozwoliłam mu poprowadzić się w tym ruchu, stopniowo wytracając prędkość. Przejechał mi jeszcze kilka metrów, nie zważniając uścisku i nie odrywając od siebie oczu, aż wreszcie zatrzymaliśmy się, ignorując cały świat wokół. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to musiało się wydarzyć. Rozumieliśmy, co musi nastąpić potem, choć nie przewidzieliśmy rzeczywistych konsekwencji. Nie było bowiem zmartwieniem to, że wściekły tłum zacznie biec w naszą stronę z kamieniami i ostrzami. Stojąc dumnie w miejscu, ściśnięci w jedność, płonęliśmy pod wpływem wytworzonego wspólnie ciepła. Grzało nasze stalowe serca i wprawiało w ruch zastygłą na mrozie krew. Otaczało nas aurą

spokoju i nieśmiertelności. A także roztopiało lód pod naszymi stopami.

Znów rozdzieleni, tym razem własnymi siłami. Wyglądało na to, że na dobre. Nie mogliśmy być razem, bo niszczyliśmy jedyną powierzchnię, na której wolno nam było współistnieć. Na brzegu nie było już dla nas miejsca. Nie potrafiliśmy też zdobyć się na to, by żyć osobno, w obawie o to drugie.

Impet odrzucenia popchnął nas w tył, więc parzyliśmy, chłonąc nową wiedzę.

Oddalaliśmy się w zimę, skazani już do końca na samotną tułaczkę.

Z rezygnacją wróciliśmy w granice własnych więzień.

Na zawsze skazani na taniec w trybie solo.

MAJA JAKUBOWSKA

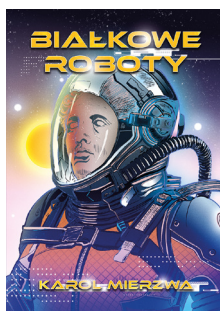
Jestem początkującą autorką i miłośniczką krótkich, mocnych treści. W zeszłym roku przez self-publishing wydałam zbiór opowiadań psychologicznych pod tytułem „Ślady moich nieznajomych”, a obecnie pracuję nad powieścią goszczącą w sobie również elementy fantastyki.

Jeżeli mój tekst Cię zainteresował — zapraszam na instagramowy profil, gdzie znajdziesz link do darmowego opowiadania „Księżyc” oraz wzmianki o mojej twórczości literackiej oraz graficznej.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: https://www.instagram.com/turquoise_chaos?igsh=OGQ5ZDc2ODk2ZA%3D%3D&utm_source=qr

Białkowe roboty



Autor: Karol Mierzwa

Wydawnictwo: self-publishing

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book,

Gatunek: literatura popularno-naukowa

Data premiery: 2025

Gdzie kupić? [W sklepie internetowym SwanCraft Creations](#)

Ekspedycja pozasłoneczna ląduje na obcej planecie. Naukowcy biorący udział w ekspedycji odkrywają, że wszyscy uczestnicy są bezpłodni.

Gdy technologia zagwarantowała możliwości, Ziemia potrzebowała jedynie śmiałków: marzycieli, tęgich głów i ludzi bez żadnych kotwic. Kolonia

na odległej planecie dla wielu była najważniejszym życiowym przedsięwzięciem, dla kilku drogą ucieczki, dla każdego bez wyjątku ogromnym wyzwaniem.

„Białkowe Roboty” to opowieść o ludziach z dobrze działającymi kompasami moralnymi i sercami po właściwej stronie. Starannie wyselekcjonowana garstka ludzkiego gatunku, której zwyczajnie odebrano sens istnienia. Uroczyście zapraszają do Neoattyki, pierwszej egzoplanetarnej kolonii badawczej. Gospodarze gwarantują przepiękną architekturę, umiarkowanie wygodne skafandry i zapierające dech w piersiach krajobrazy. Nie ręczą jednak za atmosferę, dosłownie i w przenośni.



Starzejące się koty I INNE KŁOPOTY

IŁOŚĆ MIEJSC OGRANICZONA!

Spotkanie autorskie z **KAROLEM MIERZWA**, biotechnologiem, mieszkańcem Gliwic i autorem powieści „Białkowe Roboty”.

PRELEKCJA: *Dlaczego się starzejemy? Co by było, gdybyś mógł zatrzymać czas?* - O telomerach, starzeniu i granicach życia (także kociego).

+ QUIZ CHARYTATYWNY! - przeleję na koty z Mruczkowa sumę, którą wywalczysz w grze...

WSTĘP WOLNY*
*Obowiązują bezpłatne zapisy (Messenger, Instagram, 503 557 725). **Kocia Kawiarnia Mruczkowo**

29 LISTOPADA 2025
godz. 20:00-21:00

Zapraszamy na spotkanie autorskie w Gliwicach w Kociej Kawiarni. Poczytaj więcej o wydarzeniu na [Facebooku](#).

JESTEM

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

kim jestem?

jestem typem człowieka, który pamięta barwę twoich włosów w grudniu
promienie zimowego słońca, pewnie wiesz,
malują miasta leniwymi smagnięciami pędzla
pamiętam
smugę dojrzałej pomarańczy, ona łagodnie, a jakby nieśmiało,
muskiała twe ramiona oblane gęstym szalem kosmyków

jestem typem człowieka, który pisze poezję o barwie twoich włosów w grudniu
bo mimo że nie ma już nas, nie ma naszego kontaktu,
wciąż otulam swoim wzrokiem ten jedyny odcień na świecie
śpiewa do mnie, jak śpiewał wtedy
jak syrenia melodia nie do uniknięcia
& fun fact nawet nie afirmuję ognistego koloru
w pajęczynie zamykam twą drobną dłoń i całą figurę
mimo to szczeliną niewinną stale,
a stale, wydostaje się ta jedna aureola

kładę policzek na skórze twoich pleców
w głowie bezcenna pustka,
szum już ucichł, odszedł,
w podarunku dając wam prywatność

przyciągnij mnie do siebie za kołnierz
schylę twarz bez oponowania.
przenigdy nie martw się,
że zabierasz mi czas
ja oddam ci go w całości

przełam tę nieszczęsną barierę,
która odgrodziła nas,
sięgnij po mnie, sama inicjujesz dotyk
zawsze; co się zmieniło?

świat powinien pamiętać barwę twoich włosów
może to odpowiedź na jakąś odwieczną zagadkę
nagie grudniowe kosmyki niosły olimpijski znicz
w melodii tak poetycko kontrastującej
z jednoznacznie białym obrazem za oknem



HISTORIA PISMA I FONTÓW

TIMELINE

REDAKCJA: M. S. MATUSIEWICZ

KOREKTA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

KOREKTA TECHNICZNA: PATRYK ŻELAZNY

Historia pisma to historia ludzkiej potrzeby utrwalania myśli. Zaczyna się tysiące lat temu, kiedy pierwsze znaki ryto w glinianych tabliczkach,

by zapamiętać handel, modlitwę czy królewskie rozkazy. Z biegiem stuleci symbole stały się literami, litery – słowami, a słowa – kulturą. Gdy pojawił się druk, pismo przestało być elitarne. Stało się głosem epoki.

A potem przyszła rewolucja cyfrowa. Metalowe czcionki ustąpiły miejsca plikom fontów, a litery – niegdyś odciskane w farbie – dziś świecą światłem ekranu.

To historia o tym, jak forma słowa zmieniała się wraz z technologią – i jak mimo to wciąż mówi o tym samym: o ludzkim pragnieniu komunikacji.

około 3200 p.n.e. – Pismo klinowe

- Mezopotamia (Sumerowie),
- pierwszy znany system pisma,
- wykuwane patyczkiem w glinie – brak liter jako takich, ale uznaje się to za fundament komunikacji pisemnej.

około 3000-1000 p.n.e. – Pismo hieroglificzne i pismo chińskie

- Egipt, Chiny,
- obrazkowe i ideograficzne systemy pisma,
- litery nie występują w dzisiejszym znaczeniu, ale istniały już zasady zapisu języka.

około 1200-800 p.n.e. – Alfabet fenicki

- przodkowie dzisiejszych liter łacińskich,
- alfabet spółgłoskowy, protoplasta alfabetów greckiego, hebrajskiego, arabskiego i łacińskiego.

około 700-500 p.n.e. – Alfabet grecki i łaciński

- powstają litery znane dziś w Europie,
- Grecy dodają samogłoski,
- łacina tworzy podstawę alfabetu, którym posługujemy się do dziś.

około I-V w. n.e. – Kapitała rzymska, uncjała, pismo insularne

- pięknie rzeźbione litery na pomnikach,
- początek estetyzowania liter – prekursor krojów pisma.



1450 – Johannes Gutenberg i wynalezienie druku czcionkami ruchomymi

- przełomowy moment: druk z czcionek metalowych,
- pierwszy font: Textura – gotycki krój pisma na wzór rękopisów,
- każda litera osobno odlewana – czcionka jako fizyczny obiekt.

XVI–XVII w. – Klasyczne kroje pisma

- Claude Garamond, William Caslon, Giambattista Bodoni,
- powstają kroje: Garamond, Baskerville, Didot, Bodoni,
- font to zestaw czcionek o tym samym kroju, rozmiarze i stylu.

XIX w. – Rozwój liternictwa i reklamy

- litery stają się bardziej dekoracyjne,
- pojawiają się kroje do plakatów i gazet (np. Egyptian, Clarendon),
- rewolucja przemysłowa wprowadza masowe drukowanie.

1957 – Powstanie kroju Helvetica

- Max Miedinger projektuje jeden z najważniejszych krojów XX w.,
- minimalizm, funkcjonalność – standard dla projektowania graficznego.

1984 – Apple Macintosh wprowadza cyfrowe fonty ekranowe

- krój Chicago autorstwa Susan Kare,

- początek masowego używania fontów komputerowych.

1985 – Adobe i format PostScript

- fonty jako pliki – PostScript Type 1,
- fonty stają się skalowalne, używamy je w DTP.

1990 – Powstanie formatu TrueType (Apple + Microsoft)

- fonty .TTF – lepsza jakość ekranowa,
- początek instalowania fontów w systemach operacyjnych.

1996 – CSS1 i pierwsze fonty internetowe

- możliwość określania fontów na stronach WWW (Arial, Times, Verdana).

2010-dziś – Web Fonts, Google Fonts, OpenType

- format OpenType (.otf) – międzynarodowy standard,
- webfonty dostępne online (Google Fonts, Adobe Fonts),
- nowoczesne fonty zawierają setki znaków, ligatury, wersje alternatywne, pismo odręczne, ikony.

Ciekawostka:

- najstarszy używany do dziś krój pisma: Garamond – jego pierwowzór powstał w XVI w.,
- najbardziej rozpoznawalny font świata: Helvetica,
- kontrowersyjny: Comic Sans.

Od klinowych znaków po cyfrowe fonty – litery towarzyszą nam od początku cywilizacji. Każda epoka zostawiła po sobie własny ślad: ryte w kamieniu pismo, metalowe czcionki drukarskie, pliki fontów przenoszone między komputerami.

Zmieniały się narzędzia, lecz nie cel. Bo pismo to nie tylko forma – to sposób, w jaki człowiek mówi do świata.

Niezależnie od tego, czy litera jest odlana z ołowiu, czy zapisana w kodzie, jedno pozostaje niezmienne: potrzeba, by słowa miały kształt, rytm i duszę.

Magazynowanie książek oraz sprzedaż internetowa

Koszty i prowizje - Co musisz wiedzieć?



Oплата wprowadzenie 20 zł

Oплата за wprowadzenie książki
to jednorazowo 20 zł brutto za każdy tytuł
(książka papierowa, e-book lub audiobook).

Oплата magazynowa miesięczna 130 zł

Jeśli dystrybuujesz książki papierowe, musisz
liczyć się z kosztem 130 zł brutto za paletę
(500 egzemplarzy) miesięcznie.



Prowizje od sprzedaży 10%, 15%

15% brutto od ceny detalicznej książki papierowej,
10% brutto od ceny detalicznej e-booka
lub audiobooka.

Miesięczna obsługa serwisowa 20 zł

Kosztuje 20 zł brutto i obejmuje wsparcie
techniczne, obsługę klienta oraz raporty
sprzedaży.



Oferuję magazynowanie książek oraz sprzedaż egzemplarzy w moim sklepie internetowym – to rozwiązanie dla autorów, którzy chcą zaoszczędzić czas, a często także pieniądze, bez potrzeby tworzenia własnego sklepu, opłacania platform i obsługi systemów sprzedażowych.

Chcesz wiedzieć więcej?

Napisz: craft.swan.creations@gmail.com

ZIMOWE WYZWANIE

REDAKCJA: MILENA WYSOCKA

KOREKTA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

„Jeśli zawędrujesz dość daleko,
wszelkie reguły ulegną zawieszeniu”.

Joanne Harris, *Jeżynowe Wino*

Wędrowiec przeciągnął się na pryczy. Otworzył oczy i przyglądał się słojom na belkach drewnianego stropu. Tacy jak on przesypiają praktycznie całą zimę. Ziewnął donośnie. Tutaj, w chatce ukrytej wśród niedostępnych górskich szczytów, nikt nie mógł go usłyszeć. Usiadł na barłogu i knykciami przetarł oczy.

W tym roku zima wygodnie rozsiadła się na swym lodowym tronie, a wiosna, zbyt nieśmiała, żeby zastąpić swoją poprzedniczkę, powoli, po cichutku, dopiero się skradała na ten świat. Krople topniejącego śniegu dudniły miarowo o parapet za oknem. Do środka wpadały pierwsze mocniejsze promienie słońca. Wędrowiec doskonale wiedział, że to sygnał do pobudki, jednocześnie pod skórą poczuł, że już jest spóźniony. Wstał i rzucił okiem na leżący na stole przykurzony list. Chwycił go i spojrzał na starannie wykaligrafowane litery.

W tym roku zastąpisz mnie. Każdy dzień jest opowieścią, gdy jesteśmy częścią natury.

– Stary wariat – mruknął do siebie wędrowiec. Podszedł do okna i spojrzał na ośnieżone szczyty w oddali. – Łatwo jest napisać: „zastąpisz mnie”. Szkoda tylko, że nie dał żadnej podpowiedzi. Ech! Stary, zwariowany wariat!

Ogień rozpalony w kominku jeszcze trzy miesiące wcześniej się tlił. Tylko Wędrowiec wiedział, które drzewo ma tak wyjątkowe właściwości, aby tak długo utrzymywać w cieple małą chatkę. Tajemnicę kryła w sobie nutka cynamonu wydobyta z kory cynamonowca, którą wcześniej przywiózł ze swoich podróży. Dorzucił jedną szczapę i dmuchnął delikatnie w palenisko. Płomyk podskoczył, rozjaśniając wnętrze.

– Do wieczora wystarczy. Czas przygotować się do wycieczki. – Wędrowiec zatarł ręce, spoglądając na paczuszkę leżącą przy piecu.

Lubił mówić do siebie. Unikał ludzi, a rozmawiał tylko z nielicznymi z nich, z tak zwanymi Zaufanymi. Byli jedynym pomostem łączącym go z cywilizacją. Nawet oni wśród ludzi byli uwa-

żani za dziwaków. Paczkę odebrał od znachorki mieszkającej u podnóża gór, kilkanaście kilometrów od jego samotni. Odwiedzał ją przeważnie wraz z nadejściem zimy, wracając ze swoich dalekich podróży. Zawsze miała dla niego jakiś drobny upominek. Nie inaczej było ostatnim razem. Tak zaadresowana mogła być tylko przesyłka do niego: „Wszędobylski Safandula. Gdzieś w Karpatach”. Oczywiście był też właściwy adres. Ten, pod którym mieszkała znachorka Wanda.

Wędrowiec podniósł pudełko, które wyjął z paczki. Uśmiechnął się: „Twój Starszy, Mądrzejszy Brat” – napis w lewym rogu wyjaśniał wiele. Zawartość przesyłki już niekoniecznie. Sięgnął do środka i wydobył stary, parciany wór, podobny do tego, w który chłopci zbierają ziemniaki. Na dnie, pod tobołkiem, owinięty w ręcznie haftowaną chustkę leżał naszyjnik z wisiosem przedstawiającym niedźwiedzia będącego symbolem siły i porządku.

– Stary mądrala. Już ja cię zastąpię...

Marzec miał się ku końcowi. Wiosna rzeczywiście zasnęła w tym roku. A Wędrowiec wraz z nią. Czas nagiął. Jeśli miał wypełnić misję powierzoną mu przez brata, musiał jeszcze tego wieczora opuścić swoją kryjówkę.

Resztę dnia zajęły mu przygotowania do wyprawy. Tym razem, poza standardowym ekwipunkiem, musiał zabrać ze sobą tajemniczy worek подарowany mu przez starszego brata.

O tej porze roku dzień był jeszcze zbyt słaby, aby bronić się przed szybko zapadającym zmrokiem. Kiedy niebo przyprószyło drobnymi światełkami gwiazd, Wędrowiec wcisnął za pas lekki toporek, chwycił swój kij i na głowę naciągnął kaptur. Na nogi założył wygodne kamasze i ruszył w drogę.

Wolał przemierzać ten świat nocą. Unikał ludzkich ścieżek. Okolice samotni znał jak własną kieszeń. Liczył na to, że zanim pokona pierwszy etap eskapady, nie spotka nikogo na swojej drodze.

– Zrobię to na swój sposób, braciszku. – Uśmiechnął się pod czarnym wąsem, zerkając na przytroczony do pasa tobołek.

Minęły dwa tygodnie spokojnej wędrówki, nadszedł więc czas, żeby zejść do dolin i skierować się w stronę pochłoniętych przez cywilizację obszarów. Słońce przygrzewało już mocniej.

W krajobrazie zniknęły śnieżne jęzory. Ustąpiły miejsca budzącym się do życia trawom. Drzewa, stęsknione za wiosną, subtelnie szeleściły zieleńcymi się listkami.

Wkrótce na szlakach pojawili się pierwsi turyści. Wędrowiec przystawał wtedy i krył się za pniami drzew. Obserwował ich, odprowadzając czujnym spojrzeniem. I ruszał dalej. Ci pierwsi spacerowicze nie budzili jeszcze jego niechęci. Złapał się nawet na tym, że pewnego razu omal ich nie pozdrowił.

Dotarł wreszcie na północny brzeg jeziora, w pobliże malowniczego, niewielkiego zamku. To ta budowla była pierwszym obrazem, który potrafił przywołać z pamięci. Jako mały chłopiec lubił siedzieć na skale po drugiej stronie rzeki i obserwować, jak ludzie trzaskają się przy jego budowie. Ówczesni

budzili jego sympatię, ale z czasem – a szczególnie kiedy kilkaset lat później zbudowali zapórę na rzece, przy okazji topiąc pod wodą tysiące drzew, które znał od nasionka – jego stosunek do ludzi stał się nieufny, wręcz wrogi. Dawno już stracił nadzieję na przywrócenie dawnego świata, lecz w tym roku, dzięki przesyłce od brata, postanowił chociaż spróbować.

– Tu będzie początek. Zostało mi kilka miesięcy. Będziesz, staruszkule, ze mnie zadowolony.

Trofea zaczął zbierać jeszcze tego wieczora.

Znajdował je wszędzie. Nie tylko w pobliżu ludzkich siedlisk. Niektóre z nich, niesione przez nurt rzek, wyławiał w ich zakolach. Te, które porwał wiatr, zdejmował z czubków drzew. Każdy kolejny artefakt wypełniał jego niezwyklej toboł, który zdawał się nie mieć dna. Kiedy natrafił na

wyjątkowy okaz, figurkę niedźwiedzia, którą zawiesił na szyi, lśniła delikatnie niebiesko-białym światłem.

– Teraz już rozumiem, stary cwaniaku, w jaki sposób ogarniasz swoje obowiązki – powtarzał za każdym razem, gdy miał wrażenie, że pojemność wora jest już na wyczerpaniu.

A ten z przyjemnością przyjmował kolejne cacka, nie chcąc się wypełnić.

Wędrowiec posępniał z każdym dniem na myśl o ilości znalezionych rzeczy. Niedźwiedź błyskał coraz częściej. Tym bardziej że letnią porą ludzie zachęcani długością dnia i sprzyjającą aurą rozpanoszyli się nawet w najdalszych i trudno dostępnych zakątkach ziemi. Wiedział, że koniec podróży i tak zbiegnie się ze spotkaniem z nimi. Ta myśl dodawała mu otuchy. Cieszył się w duchu z niespodzianki, którą dla nich przygotowywał.

Jesienią szlaki zaczynały pustoszeć. Większość turystów powróciła do domu, co ucieszyło Wędrowca. Uważał ich za głośnych, a ich dzieci za rozwrzeszczane i nieznośne. Podróżowali tylko podobni do tych, których Wędrowiec widywał wczesną wiosną. Nazywał ich Miłośnikami Natury. Ich obecność sprawiała mu większą satysfakcję. To byli ludzie, którzy potrafili nazwać kolory liści, a na widok dzikich zwierząt zatrzymywali się, aby w ciszy zrobić im zdjęcie.



Z czasem niedźwiedzi wisior błyskał coraz rzadziej. Wędrowiec z zakłopotaniem zerkał do tobołka. Nie wiedział, czy czuł entuzjazm czy może jednak przygnębienie. Okazało się, że nawet tak magiczny przedmiot ma swoje ograniczenia, a jego pojemność tuż przed końcem października drastycznie się skurczyła. Pokonał już niemalże wszystkie etapy drogi. Pozostał tylko ostatni – dotarcie do miejscowości, w której chciał przeprowadzić swoją próbę.

Zima w tym roku pojawiła się zniekacka. Sygnęła obfitym śniegiem. Zamiotła porywistym wiatrem. Wędrowiec brnąc przez potężne zasy, zbliżał się do miasteczka. W swym ogromnym kapturze, z worem taszczonym na plecach i z długim kijem służącym mu za laskę, przypominał wyglądem swojego brata. Szron osiadł mu na wąsach. Wiatr targał brodą, odsłaniając niedźwiedzi wisior.

Najdłuższa noc w roku zaczynała powoli swoje urzędowanie. Pierwsza gwiazda wyrzała przez rozwidlenie w chmurach. Obok niej swoim sierpem błysnęła księżyc.

Wędrowiec dotarł do pierwszego domostwa. Wstrzymał oddech. Załomotał pięścią w drzwi.

To była krótka wizyta, po której ruszył dalej.

Przemieszczał się w mroku od domu do domu. W każdym z nich po jego odwiedzinach gasło światło, a mieszkańców ogarniały smutek i zaduma.

Zostało tylko jedno gospodarstwo po drugiej stronie miasteczka. Wędrowiec uderzył we wrota i bez czekania na zaproszenie przekroczył próg. Na oczach zdezorientowanych mieszkańców bezceremonialnie otrząpał śnieg z butów i wmaszerował do świątecznie przystrojonego salonu. Aromat wypieków uderzył w nozdrza. Poczul ulubiony zapach cynamonu i już wiedział, że trafił do właściwego domu. Nie pozwolił sobie jednak na chwilę słabości. Nie mógł wypaść z roli, którą powierzył mu brat.

Zbliżył się do suto zastawionego stołu. Chwytał za kant obrusu i jednym energicznym szarpnięciem zrzucił wszystko na podłogę. Na blacie położył wór z prezentami.

– Ho! Ho! Ho! I tak dalej. W tym roku to ja rozdaję podarunki – zwrócił się do zaskoczonych domowników. – Zbierałem to, co zostawiliście po sobie.

Głowa rodziny została obdarowana zmurszałym kawałkiem styropianu wyłowionym w szuwarach jednego z podgórskich jezior. Pani domu wręczyła zardzewiały stary toster wyciągnięty z zarośli rosnących przy leśnej ścieżce. Syn musiał się zadowolić plastikową butelką z wypłowiałą już od słońca naklejką, a córka – pogniecioną puszką po słodzionym napoju.

– Zapamiętajcie moje słowa: każdy dzień może być opowieścią, jeżeli zechcecie pozostać częścią natury!

Zerknął jeszcze w stronę kominka, przy którym stało dziecięce łóżeczko. Podszedł do niego i podniósł leżące w nim niemowlę.

– Jesteś jeszcze zbyt mała, żeby to wszystko zrozumieć. Zostawiam ci zatem specjalny dar na dobrą wróżbę. Mnie on już nie będzie potrzebny.

Położył dziewczynkę. Zdjął z szyi niedźwiedzi naszyjnik i delikatnie wsunął w jej drobne rączki. Mrugnął do dziewczynki.

– Bądź przyszłością tego świata.

Wyszedł w mrok i ruszył w drogę powrotną do swojej samotni.

– Mikołaju, będziesz zadowolony – szepnęła w ciemności.

W domu, który zostawił za sobą, zgasło światło. Tylko przez odsłonięte okno przeświecała delikatna, niebiesko-biała poświata.

MARIUSZ OLEJNICZAK

Urodzony w Bogatyni w 1977 roku, autor opowiadań z gatunku szeroko rozumianej fantastyki, choć literatura obyczajowa też nie jest mu obca. Zachęcony do pisania przez żonę, Agnieszkę, pierwszą recenzentkę wszystkich tekstów. Uwielbia czytać, przede wszystkim komiksy, których jest maniakałnym fanem. Wolne chwile spędza na podróżowaniu z rodziną. Uwielbia ciszę, chyba że jest zakłócona dźwiękami tzw. „ciężkiej muzyki” ze wskazaniem szczególnie na heavy metal.

Laureat konkursów literackich: Przemyska Brama (wyróżnienie za opowiadanie „San Rideau” w 2023 roku, I m. za opowiadanie „Masyw Petrosa” w 2024 roku; II m. za opowiadanie „Czarny dąb” w 2025); Piękno Spadających Liści (II m. w 2024 roku za opowiadanie „St(r)ach”, pierwsze miejsce w 2025 roku za opowiadanie „Jadwiga”); Festiwal im. Grudzińskiego (wyróżnienia za opowiadania „Szukam Pastora” w 2023 roku, za „Jeden dzień” w 2024 roku i za „To stary dom” w 2025 roku). Opowiadanie „Klub 27” zostało opublikowane na stronie internetowej Uranii, jako wyróżnione w konkursie „Fantasia Copernicana”. Opowiadanie „O czym śpiewa słowik?” opublikowano w antologii „Konstelacja Grozy: Spaczeni Lovecraftem”.

PIEKŁO JEST PUSTE

ROZDZIAŁ 1

REDAKCJA: PAULINA MIKA

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

Piekło jest puste. Wszystkie diabły są tu.

W dniu, w którym Ruby miała umrzeć, była zajęta innymi sprawami. Siedziała okrakiem na wąskim biurowym krześle i wpatrywała się w otwarty zeszyt, w którym równym, starannym pismem wypisano dziesiątki słów po hiszpańsku. O nich jednak też nie myślała. Za bardzo skupiała się na tym, że nic w tym pokoju – ani krzesło, ani zeszyt, ani to drobne pismo – nie należało do niej. Podobnie jak nic, w żadnym pokoju, w całym internacie.

– *No me estás escuchando en absoluto, ¿verdad?*

Ruby zamrugała zdezorientowana i podniosła wzrok znad zeszytu na Lydię. Jej przyjaciółka wpatrywała się w nią wyciągnięta na łóżku z wyraźnym oczekiwaniem. To łóżko rzeczywiście należało do Lydii.

– Eee... co?

– Możesz się skupić chociaż na pięć minut? Pytałam, czy w ogóle mnie słuchasz, ale już mam odpowiedź. – Odrzuciła kasztanowe loki z pleców. – Gdzie jesteś? W tym tygodniu masz kolejną poprawkę i...

– Poradzę sobie – skłamała, a Lydia spojrzała na nią z politowaniem.

– Nie, jeśli dalej będziesz się mentalnie obściskować z Tylerem.

Ruby gwałtownie zatrasnęła zeszyt i odwróciła się do przyjaciółki. Od jakiegoś czasu miała wrażenie, że Lydia była dziwnie cięta na jej chłopaka. Zupełnie jakby to była jego wina, że Ruby nie urodziła się z naturalnym zamiłowaniem do hiszpańskiego, matematyki, historii... i szkoły, w całym jej majestacie.

– Bardziej martwi mnie Peter – wyznała w końcu, gdy doszła do wniosku, że nie ma sensu udawać, że nic się nie dzieje. I tak, doskonale wiedziała, że niczego ciekawego się dzisiaj nie nauczy.

– Znowu się nie zgodził?

Pokręciła głową.

– Nie chcę już z nim o tym rozmawiać, ale czuję, że jeśli zostanę w domu na jeszcze jeden semestr, to się uduszę.

Dla Ruby Blake sytuacja była co najmniej idiotyczna. Tak samo jak wszyscy jej znajomi, chodziła do szkoły z internatem położonej kilka kilometrów od Londynu. Ale w przeciwieństwie do nich nie mieszkała na kampusie. Zamiast tego tkwiła w rodzinnym domu, ale bez rodziny – tylko z wujkiem Peterem i ze Scottem, który pewnie poparłby ją w licznych dyskusjach z prawnym opiekunem, gdyby nie był psem. Codziennie dojeżdżała na teren szkoły, czasem nawet w weekendy, i spędzała tam całe dnie, zwykle do późna przesiadując w pokoju Lydii lub Tylera.

– Może tak jest lepiej? – zasugerowała w końcu Lydia. Ruby prychnęła i odsunęła się od biurka, obwieszając tym samym koniec nauki.

Niby dla kogo?, pomyślała, ale nie zamierzała klócić się o to z przyjaciółką. I tak nie mogła nic zrobić. Nikt nie mógł. Ruby dobrze wiedziała, że Peter wcale nie zatrzymywał jej w domu na siłę. Obiecał sobie jednak, że nie uszczupli sumy, którą zostawił jej ojciec, i nie zamierzał łamać słowa – nawet dla niej.

– Wyjdźmy stąd – zaproponowała Blake i od razu zaczęła zbierać swoje rzeczy. – Pojedźmy na zakupy albo...

– Przecież dalej nic nie umiesz! – Po ustach Lydii błąkał się uśmiech. – Obiecałam ci, że tym razem zdasz ten test.

Kolejna osoba, która musiała dotrzymać słowa, chociaż nikt jej o to nie prosił.

Ruby westchnęła i wyjrzała tęsknie za okno. Wiosna dopiero się zaczęła, ale to wystarczyło, by człowiek poważnie pomyślał o wakacjach. Do końca roku został jeszcze prawie cały semestr, ale już teraz czuła, że potrzebuje odpoczynku.

Skupiła wzrok na szkle, jakby miała nadzieję, że uda się jej przebić na drugą stronę szyby. Dwa centymetry. Tylko tyle dzieliło ją od upragnionej wolności.

Widząc, że Ruby nie zamierza ustąpić, Lydia wreszcie zwlekła się z łóżka.

– Dobrze, wygrałaś. Wychodzimy – oznajmiła, ale nie dała Ruby wystarczająco czasu na świętowanie. – Idziemy do biblioteki.

– Co? – ta jęknęła żałośnie. Kto normalny chodzi do biblioteki w piątek wieczorem? Dlaczego ona w ogóle była otwarta? Takie coś powinno być zabronione. – Po co?

– Po książki do twojego wypracowania z historii. Zbieraj się.

Skrzyżowała ramiona na piersi i wbiła wzrok w Lydię. Nie zamierzała odpuścić. Przyjaciółka nie była jej matką, żeby mieć nad nią jakąkolwiek władzę – nawet jeśli chciała dla niej jak najlepiej. Chociaż sama Ruby też nie zamierzała powtarzać klasy... Przecież miała jeszcze sporo czasu na poprawki, prawda? Na dobrą sprawę półrocze dopiero się zaczęło...

Lydia zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę wyjścia z pokoju, a Ruby równie zdecydowanie usiadła na łóżku. Skoro sprawy przybrały tak niefortunny obrót, nie zamierzała się stąd ruszać. Kropka. I wykrzyknik.

W wieczór, w który miała umrzeć, Ruby szła do biblioteki. Razem z Lydią przemierzały rozległy plac kampusu, mijając roześmianych uczniów, którzy korzystali z rześkiego, wiosennego powietrza. Żaden z nich nie był równie głupi, by chociaż zbliżyć się do tego przybytku wiedzy. W końcu to tak, jakby wyjść ze szkoły prosto do więzienia.

– Przestań się krzywić – rzuciła Lydia, gdy Ruby poprawiła dzinsową kurtkę. Na dworze zrobiło się już ciemno, a ona trochę za bardzo przeceniła swoją wiarę w pogodę, która zaledwie chwilę wcześniej wydawała się tak przyjemnie ciepła. – Od książek jeszcze nikt nie umarł.

– W takim razie ja będę pierwsza – zapewniła Ruby. Zastanawiała się, co jej strzeliło do głowy, żeby zostać przyjaciółką Lydii. Ta dziewczyna była przeciwieństwem kompromisu. Choć gdyby nie to, Ruby już pewnie co najmniej trzy razy powtarzałyby klasę.

Przeszły przez szklane drzwi, za którymi rozciągało się wielkie, trzypiętrowe pomieszczenie z długą ladą i kilkoma ciemnymi stołami. Na każdym poziomie było kilkanaście regałów, na których starannie ułożono tysiące książek. W powietrzu unosił się zapach drewna i papieru. To wystarczyło, żeby dziewczynę rozbolała głowa.

– Chodź. – Lydia lekko pociągnęła przyjaciółkę za rękaw w stronę lady, za którą jakiś chłopak pisał coś na komputerze. Perspektywa interakcji z innymi ludźmi przerażała Ruby jeszcze bardziej niż kolejne godziny nad książkami.

– Po co?

– Przywitać się.

Ruby była jeszcze bardziej zdezorientowana, dopóki nie zatrzymały się przed ladą. Chłopak podniósł na nie wzrok, Lydia uśmiechnęła się do niego szeroko, ale to właśnie Blake odezwała się pierwsza.

– Theo! – zawołała zaskoczona, zanim zdążyła ugryźć się w język. – Co ty tu robisz?

– Pracuję... – mruknął, spoglądając na nią bez zrozumienia. – My się znamy?

– Emm... – Teraz Ruby jeszcze bardziej się zmieszała. Nie rozmawiali zbyt wiele, to fakt, ale ich ławki sąsiadowały ze sobą od ponad pół roku, więc założyła, że mógł ją chociaż zapamiętać, tak samo jak ona jego. Zielone oczy, ciemnoblond włosy, jeszcze ciemniejsze brwi... – Chodzimy razem na angielski. Ruby Blake? – Nie mogła się powstrzymać i zerknęła na Lydię w poszukiwaniu wsparcia.

– A, no tak – przyznał, chociaż Ruby była pewna, że wcale jej sobie nie przypomniął. Co więcej, miał to najzwyczajniej w świecie w dupie. – Cześć, Lydia – zwrócił się do drugiej dziewczyny. Ruby zacisnęła usta. – Co was tu sprowadza... w piątek wieczorem?

– Esej z historii – wyjaśniła Ruby, chcąc jeszcze zaznaczyć swoją egzystencję. – I ta oto, jak sam zauważyłeś, Lydia Spiegelman. – Wskazała na przyjaciółkę, jakby trzeba ją było komuś jeszcze przedstawiać.

– Potrzebujemy książek o Elżbiecie I – sprecyzowała Lydia.

– Jasne. – Theo kliknął coś na komputerze. – Skoro nie możecie skorzystać z internetu jak normalni ludzie... Alejka D9-2.

– Dzięki. – Lydia posłała mu szeroki uśmiech, ale gdy odwróciła się do Ruby, spojrzała na nią wymownie. Dziewczyna z trudem powstrzymała śmiech. Najwyraźniej nie tylko jej Theo wydał się mało towarzyski, nawet jak na niego.



Ruszyły na piętro. W bibliotece nie było zbyt wielu uczniów, ale widocznie inni też nie postępowali „jak normalni ludzie”. Chociaż akurat chłopak w okularach kujonkach przy stoliku pod ścianą przyszedł chyba dla darmowego wi-fi...

– Nie wiedziałam, że tu pracuje – powiedziała cicho Ruby, zanim dotarły na miejsce.

Lydia wzruszyła ramionami.

– Wiedziałaś, gdybyś częściej korzystała z moich rad. – Mrugnęła do niej. Rzeczywiście, często tłumaczyła jej, że gdyby wychodziła z domu (nie tylko do jej pokoju w akademiku), łatwiej skupiłaby się na nauce. A jakie miejsce byłoby do tego lepsze niż biblioteka?

Lydia zabrała się do przeglądania zgromadzonej na półkach makulatury. Ruby nie wykazywała podobnego zainteresowania; zamiast tego usiadła ciężko

przy najbliższym stoliku i zerknęła niepewnie na trzy dziewczyny, które wyglądały, jakby towarzystwo innych ludzi było ostatnim, czego sobie życzą. W tamtej chwili sama czuła się bardzo podobnie... chociaż chyba nigdy nie założyłaby tak koszmarnej czerwonej koszuli w białe paski...

– Nieźle się dogadujecie... mimo wszystko – zauważyła, kiedy Lydia nareszcie usiadła naprzeciwko i położyła między nimi stos grubych tomszczy. Ruby bezmyślnie sięgnęła po pierwszy z nich.

– Z kim? Z Theo? – Lydia parsknęła śmiechem. – Jasne. Wymieniliśmy dwa słowa i już planujemy wesele. Nie szukaj tematu do plotek i skup się.

Zabrała jej poprzednią książkę i podsunęła inną, dzięki Bogu znacznie cieńszą. Ruby uśmiechnęła się półgębkiem, ale w rzeczywistości poczuła się jeszcze gorzej. Naprawdę nie zależało jej na uwadze Theo – nie zależało jej na uwadze kogokolwiek, jeśli nie liczyć Petera i kilku najbliższych przyjaciół. Mimo to nie potrafiła zignorować faktu, że przez te wszystkie godziny wspólnie spędzone w klasie Theo traktował ją jak powietrze. Zresztą jak wiele innych osób. Gdyby tylko miała dar przekonywania do siebie ludzi, którego od zawsze była pozbawiona... Większość znajomości zawdzięczała Lydii.

Po kilku minutach ciszy wypełnionej kartkowaniem książki Lydia niespodziewanie wróciła do tematu.

– A co? Jesteś zazdrosna? Chcesz wymienić Tylera na nowszy model?

– Nie muszę go wymieniać. Jestem pewna, że nie miałby nic przeciwko, gdybym znalazła sobie jeszcze jednego chłopaka, wiesz, tak do kolekcji.

Lydia pokiwała głową. W świetle lampy przykręconej do blatu jej włosy nabrały rudego odcienia.

– Myślę, że byłby zachwycony. Ostatnio nawet coś wspomniał, że chętnie by cię komuś odstąpił...

Ruby chwyciła zeszyt i pacnęła nim przyjaciółkę w głowę. Zaśmiała się na tyle głośno, że dziewczyny przy sąsiednim stoliku syknęły niezadowolone. Od razu je przeprosiła, ale do książki wróciła w nieco lepszym humorze. Tyler już od pół roku – czyli od dnia, w którym oficjalnie zostali parą – powtarzał jej, że musi wystawić ją na eBayu. Nigdy nie brała tego na poważnie, ale może powinna zacząć grozić mu tym samym?

Nagle tom, który wciąż wertowała, całkowicie zniknął jej sprzed oczu, gdy w całej bibliotece zgąsło światło. Ruby odruchowo podniosła głowę, ale w słabym świetle księżyca, które wlewało się przez przeszklony sufit, widziała tylko czubek własnego nosa.

– Co jest? – usłyszała gdzieś przed sobą Lydię.

– Pewnie wysiadł prąd – odpowiedziała spokojnie, chociaż serce zaczęło jej bić znacznie szybciej.

Wbiła paznokcie w skórę dłoni, próbując się uspokoić. Do biblioteki mogłoby wtargnąć stado wielkich pajaków i jakoś by sobie z tym poradziła, ale ciemności bała się jak niczego innego na świecie. Miała wielką ochotę skulić się w kącie i czekać, aż ktoś ją uratuje.

Może było tak, gdyż wielkie pajaki były o wiele mniej prawdopodobnym scenariuszem niż brak światła. A może dlatego, że nigdy nie wiadomo, co kryje się w ciemnościach.

Dokładnie w chwili, gdy o tym pomyślała, na dole rozległ się przeraźliwy krzyk.

W kwadransie, w którym Ruby miała umrzeć, biblioteką wstrząsnął huk wyłamywanych drzwi, tłuczonego szkła i gruchotanego drewna. Lydia pisnęła cicho, a Ruby od razu złapała ją za ramię i pociągnęła pod stół, modląc się, by to wystarczyło, żeby zamilkła. Jej oczy powoli przyzwyczajały się do półmroku, ale serce biło jak szalone, a widok zasłoniły lzy przerażenia.

– Co to było? – szepnęła przerażona przyjaciółka i tym razem Ruby już zasłoniła jej usta dłonią. Spojrzała jej błagalnie w oczy. W końcu Lydia przytaknęła powoli.

Z dołu dobiegły ich odgłosy paniki, ucieczki i... wycie.

Ruby podciągnęła kolana do klatki piersiowej, starając się zebrać resztki zdrowego rozsądku, które jeszcze nie poddały się strachowi. Co to było? Co się dzieje?

Co robić?

Co robić?!

Lydia nie miała podobnych wątpliwości. Kiedy tylko minął pierwszy szok, ruszyła na czworakach w stronę drewnianej balustrady, przez którą można było spojrzeć na niższe piętro. Ruby zorientowała się zbyt późno; próbowała jeszcze złapać ją za kostkę, ale dziewczyna już zdążyła się oddalić.

– Lydia! – syknęła w końcu. Nie miała pojęcia, co czekało na nie na dole, ale co, jeśli na kampusie znalazł się człowiek z bronią? Albo nawet kilku? Wystarczyło, żeby Lydia wychyliła się na kilka centymetrów...

Ruby skoczyła w jej kierunku. Całkowicie zapomniała o ostrożności. Przed oczami miała tylko wizję dziewczyny, która upada bezwładnie na podłogę, w zwolnionym tempie, jak w tych wszystkich filmach. Zanim jednak przyjaciółka zdążyła jej choćby dotknąć, Lydia sama odskoczyła do tyłu. W słabym świetle księżyca błysnęły na jej twarzy smugi.

– Co się stało? Co tam jest? – Ruby złapała ją za ramiona, gotowa załamać się w każdej chwili. – Ej, spokojnie...

W końcu ciekawość wygrała i sama pochyliła się w stronę barierki. Przed oczami mignął jej jasny, srebrzysty kształt, zanim Lydia błyskawicznie podniosła się z podłogi i pociągnęła ją w głąb biblioteki.

– Zabieramy się stąd – wykrztusiła. Ruby nigdy nie widziała jej w takim stanie i nie zamierzała pytać o powód.

Bez przeszkód dotarli do schodów. Dziewczyny z sąsiedniego stolika, jedyne ich towarzyszki na tym piętrze, zdążyły się już ulotnić. Nagle Ruby ogarnęło wrażenie, że w całym budynku zrobiło się dziwnie cicho – a może to szum krwi w uszach zagłuszał wszystko inne? Nie słyszała nawet własnych kroków na drewnianych schodach, skupiona na niewykonalnym zadaniu, jakim było wzięcie kolejnego oddechu.

Ostrożnie dotarli na sam dół, przez cały czas trzymając się za ręce. Schody kończyły się za jednym z regałów, przez co do ostatniej chwili nie widziała reszty biblioteki, nadal zatopionej w mroku i niemal namacalnej ciszy. Ruby dostrzegła jednak błysk światła kilka metrów przed nimi. Ekran telefonu oświecił twarz w okularach kujonkach. Odruchowo przycisnęła rękę do uda, usiłując znaleźć komórkę, którą cały czas miała w kieszeni. Wcześniej nawet nie przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić na policję, do Petera...

Nie słyszała ani słowa z tego, co mówił chłopak, a kiedy przycisnął telefon do ucha, przestała go również widzieć. W tym momencie jednak coś bardzo szybko przemknęło między regałami, a potem rozległ się odgłos ciała upadającego na podłogę – komórka wzbila się w powietrze i przeleciała kilka metrów, zanim uderzyła o ścianę.

Wyświetlacz natychmiast zgasł.

Dziewczyna nie miała jednak szansy, by to wszystko zobaczyć. W chwili gdy to coś, co rzuciło się na chłopaka, zaczęło biec przez bibliotekę, regał, który dotąd oddzielał je od holu, zaczął przechylać się w ich stronę. Nie było czasu na myślenie. Ruby bez zastanowienia odskoczyła na bok i upadła na zimną podłogę. Dopiero wtedy zorientowała się, że puściła rękę Lydi. Chciała ją zawołać, ale gdy podniosła wzrok, głos ugrzązł jej w gardle.

Zaledwie kilka kroków dalej stała wysoka, ciemna postać. Z początku Ruby myślała, że strach,



a może siła uderzenia odebrały jej zdolność racjonalnego odbioru rzeczywistości. To, co miała przed sobą, o wiele bardziej przypominało jednak senny koszmar. To miało ponad dwa metry wzrostu. Ciemną, jakby pokrytą łuskami skórę. Połyskujące w świetle księżyca, szerokie skrzydła. Zakrzywione rogi. I patrzyło wprost na nią oczami, które płonęły czerwienią.

Zaraz umrę, uświadomiła sobie Ruby i nagle stało się to całkowicie realne. Czasem myślała o śmierci. Czasem nawet myślała o tym jako czymś, co mogło spotkać i ją. Nigdy jednak nie spodziewała się, że naprawdę się to stanie... że stanie się to dzisiaj, teraz.

Nie potrafiła skupić myśli. Przywołać twarzą bliskich. Nie potrafiła nawet zamknąć oczu.

Coś skoczyło między nią a potwora. Zwierzę, wielkie niczym niedźwiedź, pokryte srebrzystą sierścią, która zdawała się odbijać światło. Wilk zapał się na tylnych łapach i zawarczał zajądło na bestię, zanim odwrócił pysk w stronę Ruby... zupełnie, jakby chciał się upewnić, że nadal tam jest.

Serce dziewczyny zabiło uderzeniem, którego już się nie spodziewała.

Potwór rzucił się na drapieżnika i obie postacie runęły na kolejny regał, który pękł wpół, jakby był zrobiony z zapalek. Dopiero huk gruchotanego drewna wyrwał Ruby z szoku i zamroczenia. Podniosła się z podłogi, trzymając za obolały bok – wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że coś jej się stało – i szybko rozejrzała po bibliotece.

Zniszczone meble, rozsypane, podarte książki, jakiś ciemny kształt pod drzwiami, odłamki szkła. Ułamek sekundy zajęło jej zrozumienie, że to sufit rozbił się w drobny mak. Czy ten potwór... naprawdę...?

Ruby w kilku krokach dotarła do przewróconego regału i Lydii, która wciąż leżała przygnieciona jego ciężarem. Ale była przytomna, żywa.

– Lydia, wstawaj! Nic ci nie jest? Musimy iść – wyrzucała z siebie bez zastanowienia, z trudem podnosząc przeszkodę. – Dasz radę...?

– Aha... – jęknęła Lydia, czołgając się w jej stronę, ale kiedy próbowała się podnieść, krzyknęła z bólu i złapała się za kostkę. – Chyba... chyba złamałam nogę...

Mówiła dziwnie i powoli, jakby dopiero się obudziła. Jej kostka rzeczywiście była wykręcona pod nienaturalnym kątem, ale Ruby nie miała czasu na bardziej szczegółową diagnozę. Przerzuciła rękę Lydii przez ramię i zdecydowanym – choć nieco chwiejnym – krokiem ruszyła do wyjścia, powstrzymując się całą siłą woli, by nie patrzeć w stronę walczących stworów.

Nie patrz, nie patrz, nie patrz...

Spojrzała. Potwór wrzasnął, cięty pazurami przez pierś, i skopał z siebie wilka tak mocno, że ten przeleciał kilka metrów, zanim wylądował na boku. Ruby z ulgą stwierdziła, że monstrum było jednak zbyt pochłonięte walką, by przejmować się dwoma nastolatkami uciekającymi przez hol.

Mocniej zacisnęła palce na ręce Lydii. Jeszcze tylko kilka metrów, kilka kroków, muszą tylko

minąć biurko Theo... Na myśl o nim Ruby poczuła ucisk w żołądku. Znowu rozejrzała się po bibliotece, ale nigdzie nie widziała nie-znajomego z klasy. Powinna go poszukać?

Nie, uświadomiła sobie od razu. Dopóki była w środku, nie mogła mu w żaden sposób pomóc. Ani jemu, ani Lydii, ani chłopakowi w okularach, ani nawet sobie. Teraz mogła tylko uciekać.

– Chodź – powiedziała, chociaż nie była pewna, czy na pewno kieruje te słowa do Lydii. – Jeszcze kawałek...

– Staram się – warknęła Lydia, z trudem podskakując na zdrowej nodze.

Kiedy do drzwi zostały ostatnie dwa metry, Ruby w końcu uświadomiła sobie, co leżało przed nimi. Dziewczyna, która jeszcze przed chwilą rzucała jej krzywe spojrzenia znad sąsiedniego stolika, padła wyciągnięta na podłogę, z rozerwanym gardłem i poharataną twarzą. Ruby rozpoznała ją tylko po koszarnej koszuli – czerwonej w białe paski... teraz dodatkowo pokrytej szkarłatnymi plamami.

Odwrociła wzrok i z uporem wbiła go w ulicę za progiem. Niemal niosąc Lydię, z trudem przeszła nad wyważonym, potłuczonym skrzydłem drzwi. Uderzyło ją chłodne powietrze, susząc łzy i pot na jej twarzy.

Tę nocy, kiedy Ruby miała umrzeć, powietrze przecięło wycie policyjnych syren.

ZUZANNA KŁOSEK

Co warto wiedzieć o Zuzannie Kłosek?

Z nudnych rzeczy: ukończyła studia na kierunkach Kultury Mediów (I stopnia) oraz Twórcze Pisanie i Marketing Wydawniczy (II stopnia) z wyróżnieniem na Uniwersytecie Śląskim. Zawodowo zbłądziła w obszary marketingu i dziennikarstwa.

Z ciekawszych? Uwielbia książki Cassandry Clare, urban fantasy i dystopie. Píše dłużej niż pamięta. W notesie, na Wappadzie, w czasopiśmie ArtPapier, Kreatywni i Fragmentarium.

A przede wszystkim... jest redaktorką naczelną Książkowego Szalika! I kiedyś napisze książkę, która złamie Ci serce.

KONTAKT DO AUTORKI:

Zuzanna Kłosek
501 372 591
klosekzuzia@gmail.com



Sekret nieudanych związków. Pamiętnik Alex.Gi

SEKRET
NIEUDANYCH
ZWIĄZKÓW



Autor: Aleksandra Gmyrek

Wydawnictwo: [Limitless Mind Publishing](#)

Oprawa: twarda

Formaty: druk, ebook, audiobook

Gatunek: literatura obyczajowa

Data premiery: 10/12/2025

Gdzie kupić? www.sekretnieudanychzwiazkow.pl

Każda kobieta, która choć raz kochała zbyt mocno, znajdzie tu część siebie. Jeśli choć raz pomyślałaś: *Dlaczego znowu mi się nie udało? Dlaczego zawsze trafiam na niewłaściwych mężczyzn? Czy*

to ze mną jest coś nie tak?

Ta książka jest właśnie dla Ciebie. To nie poradnik, lecz szczery pamiętnik kobiety, która przez piętnaście lat powtarzała ten sam schemat. Siedmiu mężczyzn, wzloty i upadki, śmiech i łzy – a także notatki, w których zamiast kalorii Alex.Gi zapisywała wnioski z każdego spotkania, prowadzące do wewnętrznej przemiany.

To podróż przez rozczarowania, ból, nadzieję i jeden SEKRET, który zmienia wszystko. Twoje spojrzenie na miłość i związki nie będzie już takie samo.

FOKSTROT Z GRZAŃCEM

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

Miód wyśpiewał pierwszą nutkę,
słodkim wita Cię ukłonem.
Gdzieś w oddali, na paluszkach,
tańczy goździk z cynamonem.
Pod batutą pomarańczy
nie czuć mocy winnych groni.
Kubek grzańca, choć pękaty,
piruety kręci w dłoni.
Śnieg wichurą gwizdże srogo,
mróz po szybach okna szczypie,
a na Ciebie nowy dzbanek
tak po cichu sobie łypie...



KOLEJ RZECZY

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA: PATRYK ŻELAZNY

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

Śnieg nieubłaganie prószył. Płatki opadały leniwie na grube, białe czapy, pokrywające strzeliste sosny i świerki o solidnych, upstrzonych bielą pniach. Cały las w mgnieniu oka zbieleł, zatracając całkowicie ostatnie odcienie zieleni. Ciemne chmury snuły się niechętnie, przysłaniając i tak czarne niebo. Gdzieś z oddali dało się słyszeć rozpaczliwe nawoływanie kruka, który pomstował na ciężkie czasy, nadchodzące wraz z nieprzyjazną porą roku. Nastała zima, sroga, jak to zima, ale tego roku wyjątkowo piękna i urokliwa.

Mróz trzymał zawzięcie, nie pozwalając roztopić się ani jednej śnieżnej gwiazdce, ale Agatha się nie martwiła, gdyż jej mała chatka była doskonale przystosowana do wszelkich przeciwności losu, poczynając od mrozu, a na upale kończąc. Kobieta od dawna przeczuwała, co się święci, dlatego już kilka miesięcy wcześniej zaczęła gromadzić zapasy trwałego jedzenia, zajęła się uszczelnieniem okien i drzwi oraz naszykowała wielki stos opału. Lubiła być przygotowana na każdą ewentualność, co wynikało z jej wrodzonej przezorności, którą dodatkowo ugruntowała burzliwa przeszłość. Dbłość o pozornie nieistotne szczegóły dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Co do prognoz oczywiście mogła się pomylić, ale wolała się przygotować mimo to, niż potem żałować. Dzięki temu, gdy jej przeczucia okazały się słuszne, mogła spokojnie przetrzymać w swoim małym, drewnianym domku.

Siedziała właśnie na starym krześle ustawionym między stołem a wysłużonym piecykiem, który dawał przyjemne uczucie ciepła spływające na plecy. Obserwowała malowniczy krajobraz przez uszczelnione okienko. Ukryta w ciepłym wnętrzu swej chatki, podziwiała zza szyby, jak coraz silniejszy wiatr napędza kurzawę, i popijała rozgrzewający napar z dodatkiem miodu, imbiru oraz cynamonu. Robiła to zapobiegawczo, ponieważ wiedziała, iż przy takiej aurze

łatwo o przeziębienie, a to było ostatnie, czego jej w tych okolicznościach brakowało. Oprócz wzmacniania odporności, regularne picie naparu cynamonowego miało również wiele innych zalet, do których zaliczały się między innymi wsparcie trawienia, łagodzenie stanów zapalnych oraz poprawa koncentracji i pracy mózgu. Smak nie był najgorszy, a zapach można było nawet uznać za przyjemny, więc Agatha często stosowała napar i napawała się przy nim ciszą i spokojem.



Spokoju przez najbliższe miesiące miało jej nie zabraknąć. Mieszkała pośrodku lasu w odludnej wiosce zwanej Thorell, która niegdyś tętniła życiem. Wszystko diametralnie się zmieniło, gdy stary Varthen zamknął młyn zapewniający utrzymanie mieszkającym w wiosce rodzinom. Ludzie odeszli w poszukiwaniu nowych źródeł zarobku, a Varthen, po przeniesieniu się do miasta, otworzył nowy młyn. Potem z zasłyszanych plotek Agatha dowiedziała się, iż staruszek podjął słuszną decyzję, bo jego interes w mieście Tharaveth przynosił większe zyski, na które nie miały wpływ miała lepsza lokalizacja.

Od tamtej pory Agatha pozostawała jedyną mieszkanką Thorell, co wcale nie oznaczało, że nie miewała kontaktu z ludźmi. Była bowiem cieszącą się dobrą sławą zielarką i uzdrowicielką, do której ściągali pacjenci z całego Corvendaru, a nawet spoza granic królestwa. Tak samo jak w przeszłości do jej matki, która nauczyła ją wszystkiego, co sama wiedziała. W ten sposób przejęła po niej fach, a przy okazji również inne talenty...

Agatha nagle się przestraszyła, bo wydawało się jej, że zauważyła jakiś ruch na zewnątrz. Dokładnie kilkadziesiąt kroków od jej okna, między gałęziami krzewów – obecnie nagimi i oblepionymi śniegiem – coś nieznacznie drgnęło. Wpatrywała się w poprzecinaną gałęziami przestrzeń, ale niczego tam nie zobaczyła. Jej oczy nie zarejestrowały już żadnego ruchu.

Była pewna, że nikogo tam nie ma, bo droga do jej domku stanowiła wyzwanie nawet dla ludzi zdrowych i w pełni sił. Prowadziła przez gęsty las i właściwie nie istniała. Trakt do starego młyna dawno już porósł mchem i paprociami. Teraz tych, którzy chcieli się dostać do Thorell, czekało wiele mil wędrówki po niegościnnych, lesistych terenach, usłanych powalonymi pniami, obłamanymi gałęziami i innymi – trudnymi do przewidzenia – przeszkodami. Prawdopodobne było również napotkanie dzikiej zwierzyny, co tym bardziej zniechęcało. Podróż była niewątpliwie ryzykowna i uciążliwa nawet przy sprzyjającej pogodzie, a co dopiero przy tak niekorzystnej aurze, jaka panowała obecnie.

Otrząsnęła się, przełknęła łyk naparu, po czym przetarła oczy i zamrugła szybciej. Znowu spojrzała przez szybę ozdobioną lodowym witrażem. Była pewna, że to jedynie zmęczenie, że własny umysł płata jej figle, ale się myliła. Pokręciła z niedowierzaniem głową, lecz w tym momencie bardzo dobrze wiedziała, że to, co widzi, jest prawdziwe.

Nieopodal jej domu przez zasypy przedzierała się zakapturzona postać. Szła powoli, z trudem stawiając kolejne kroki. Była na tyle szczelnie opatulona czarną peleryną, że trudno było rozpoznać płeć wędrowca. Agatha zgadywała w duchu, iż jest

to kobieta – ze względu na jej drobną posturę. Była dość daleko, lecz uzdrowicielka nawet z tej odległości widziała, jak dygoce. Nieznajoma odsunęła dłonią zarośla i otrzepała z nich biały puch. Pech chciał, że nie zauważyła przysypanego śniegiem głazu, o który się potknęła. Agatha przez chwilę myślała, że uda jej się utrzymać równowagę, ale pomyliła się i tym razem. Kobieta, upadając na kolana, podparła się, by nie ugrzęznąć twarzą w zaspie. Drugą rękę miała przyciśniętą do ciała, jakby unieruchomioną, może zwichniętą lub złamaną.

Zielarka miała dość daremnej obserwacji i, nie zwlekając dłużej, wstała z krzesła, zarzuciła na plecy grubą, brązową pelerynę, po czym wyszła w mrok. Jeszcze nie zdążyła dobrze otworzyć drzwi, gdy jej twarz poraziło pierwsze uderzenie przenikliwego mrozu. Potem było tylko gorzej. Dotkliwe zimno szybko poradziło sobie z pokonaniem warstw odzieży, na którą składały się nie tylko peleryna, ale również jasna koszula z kołnierzykiem, zielona kamizelka w roślinne hafty oraz długa, brązowa spódnica. Poczuli się nagle, jakby zupełnie naga stanęła naprzeciw zimy.

Wicher, dmąc, pędził śnieg falami i zagłuszał wszystko wokół swym szumem. Agatha pospiesznie podeszła do kobiety, wciąż klęczącej w śniegu, i wyciągnęła do niej rękę. Kobieta podała jej dłoń, lecz pomoc Agathy na nic się zdała, bo ona nie miała siły się podnieść. Uzdrowicielka próbowała do niej mówić, wskazać inny sposób, ale jej słowa nikły w złowrogim, wietrznym szumie, podobnie jak słowa kobiety. Obydwie szybko zrozumiały, że okoliczności nie sprzyjają rozmowie, dlatego zaprzestały dalszych prób. Kobieta bez słowa rozchyliła poły peleryny, a oczom Agathy ukazało się szarawe zawiniątko, które unieruchamiało jej rękę: było w nim niespełna roczne dziecko o jasnych, poskręcanych w fale, delikatnych włoskach, rumianych policzkach i małym, lekko zadartym nosku. Małuch spał smacznie, owinięty ciepłymi kocami, przytulony do piersi matki.

Kobieta wyciągnęła ręce i podała dziecko Agacie, która pospiesznie zaniósła je do domu, a zaraz potem wróciła po nieznajomą. Przejęła od niej torbę i zarzuciła sobie na ramię, a potem pomogła jej się podnieść. Nieznajoma miała wolne obie ręce, więc druga próba powiedła się od razu. Zielarka, cały czas podtrzymując ją pod ramię, poprowadziła ku drzwiom chatki. Posadziła ją na sienniku obok wejścia, tuż przy śpiącym dziecku. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, a szum kurzawy ustał, kobieta przemówiła:

– Dziękuję – rzekła słabym głosem i rozkaszała się okropnie, zasłaniając usta błękitną chusteczką.

– Dziękujesz? – Agatha uniosła brwi. – Co ty tutaj robisz, dziewczyno? Żeby iść taki kawał drogi?

Śnieg, mróz, zawierucha. I to jeszcze z malutkim dzieckiem na rękach. – Wskazała szarawe zawiniętko, a ton jej głosu wcale nie był miły. – Jesteś zmordowana i przemarznięta, a do tego cała przemoczona. No, dalej, zdejmij te łachy. Dam ci coś suchego.

Dziewczyna wyglądała na nie więcej niż siedemnaście lat. Była drobna, lecz ładna. Agatha dziwiła się, że dała radę przejść taki kawał drogi, by się z nią zobaczyć. Nawet jeśli dziecko było chore, to na pewno w pobliżu jej domu był jakiś lekarz, znachor lub uzdrowiciel, który zająłby się nim nie gorzej niż ona. W jej mniemaniu taka podróż mogła bardziej zaszkodzić niż pomóc. Ryzyko podjęte przez dziewczynę wydawało się zielarce niepotrzebne, a jej decyzja lekkomyślna.

Przeszukała kufer z ubraniami w drugiej izbie w nadziei na dobranie dla biedaczki odpowiedniego stroju. Po paru minutach wróciła, trzymając w rękach beżową sukienkę z kwadratowym dekoltem, którą sama nosiła w młodości, a której nie miała serca wyrzucić, choć wiązały się z nią same złe wspomnienia. Nieznajoma szarpała się w tym czasie z mokrą odzieżą, gdyż ta przywarła do jej ciała, wydawać by się mogło, że na dobre. Postanowiła jej pomóc. Chwyciła koszulę u dołu na plecach i pociągnęła ku górze, mimowolnie dotykając rozpalonej skóry. Kobieta była zlana potem i dygotała z gorączki. Jej blada skóra i jasne włosy nie były mokre od roztopionego śniegu, a od potu wywołanego podwyższoną ciepłotą ciała, osłabieniem i wysiłkiem. W oczy rzucała się również jej obrzęknięta, pokryta wrzodami szyja. Cel wizyty nieznajomej nagle stał się dla Agathy jasny. To nie dziecko było chore, a ona.

Odruchowo spojrzała na trzymaną przez nią w dłoni chusteczkę. Kobieta ją ukryła, ale nie dość szybko, by uzdrowicielka nie dojrzała brunatnych plam kalających jasny błękit tkaniny. Odwiesiła sukienkę na oparcie krzesła, a sama sięgnęła po płótno, którym otarła wilgotną skórę chorej. Pomogła jej włożyć sukienkę, która – ku jej zdumieniu – pasowała jak ulał. Potem przyniosła ciepły koc z drugiej izby, skłoniła nieznajomą, by się położyła, i szczerlnie ją nim otuliła. Na czoło położyła jej zimny kompres rozbity w ściereczki, uprzednio zamoczonej w lodowatej wodzie z roztopionego śniegu. Następnie zajęła się dzieckiem. Odwinęła je z koców i ułożyła obok matki, okrywając delikatnie rogiem suchego odzienia. Kobieta nie protestowała, z ulgą przyjęła tę namiastkę troski.

Zakończywszy doraźne działania, Agatha stanęła przed nią, wzięła się pod boki i obdarzyła nieznajomą srogim spojrzeniem.

– Po co tu jesteś? – dopytywała, nie rozumiejąc jej motywów. – Po co szałś tyle mil przez

zasy, by teraz ukrywać przede mną objawy? Czy nie po to tutaj przysłaś? Nie chcesz, żebym cię leczyła?

– Nie, pani – odrzekła dziewczyna z trudem, kierując wzrok na śpiące dziecko. – Nie dla siebie tu jestem. Ona... Maris nie ma jeszcze żadnych objawów, ale gdyby...

– Gdyby się pojawiły, chciałybyś, żeby szybko otrzymała pomoc – dokończyła za nią uzdrowicielka, widząc, ile wysiłku kosztuje ją mówienie.

– Zgadza się.

– Jak ci na imię?

– Renem, pani. – Przerwał jej kaszel, a gdy atak minął, dodała: – Nazywam się Renem Dorel, przysłałam z Valmaru.

– Z Valmaru do Thorell będzie jakieś trzydzieści mil – policzyła szybko Agatha. – To kawał drogi, Renem. Skoro już przysłaś, może pozwolisz mi się zbadać?

– To niepotrzebne – upierała się chora. – Wiem, co mi jest. Wiem, że niewiele czasu mi zostało.

– A zdradzisz mi, skąd to wiesz? – spytała ostro Agatha. – Chyba nie jesteś lekarką ani uzdrowicielką, co?

– Nie jestem, ale nie muszę być, by wiedzieć. – Rozwinęła chusteczkę, by Agatha mogła ją zobaczyć w pełnej okazałości. – Ledwo skończyła się jedna udręka, a już nastała druga. To dopiero pięć lat od zakończenia wojny siedemdziesięcioletniej. Ludzie nie zdążyli się jeszcze przyzwyczaić do pokoju ani nim nacieszyć, a za rogiem już czai się kolejne zagrożenie. Śmierć znów zbiera swe żniwo, a Bogini Śmierci ma ręce pełne roboty. – Kaszel przerwał jej wypowiedź.

– Taka już powinność Mourneth – stwierdziła zielarka. – Nie ona sprowadziła na nas zagładę. To ludzie sami są sobie winni. Wszczynają wojny, narażają siebie i innych. Sobie i innym odbierają życie. Sami sobie gotują ten los, a liłościwa Mourneth tylko pomaga zaznać spokoju ich duszom. Taka jest kolej rzeczy.

– A zaraza? Czy w przypadku zarazy też ludzie są winni sami sobie? Czy taka jest kolej rzeczy? – Kontynuowała dziewczyna, nie czekając na odpowiedź. – W królestwie rozprzestrzenia się choroba, którą ludzie zwą białą zarazą. Wiem, co oznaczają te plamy na chustce. Ci, którzy je zobaczyli, nie dożywali nawet tygodnia. Ja wyruszyłam w drogę niemal natychmiast, to znaczy, że... – Znów się rozkaszała.

– To znaczy, że warto się zbadać. – wtrąciła Agatha. – Może jest jeszcze nadzieja. Jesteś młoda, twoje szanse są duże.

– Jej są jeszcze większe. – Chora czule spojrzała na córkę.

– Wasze szanse wykluczają się wzajemnie? – Agatha ze zdumienia uniosła brwi.

– Zgadza się, pani.

– Możesz mi wyjaśnić, co przez to rozumiesz?

– To, że głupio się zakochałam – podjęła słabym głosem dziewczyna. – W chłopaku, który nie był tego wart. Obiecywał mi miłość do grobowej deski, recytował wiersze, a po nocy na sianie zapomniał o wszystkim. Już parę dni później przyłapałam go, jak obściskował się z inną. Ona się do niego łąsiła, a jemu jej umizgi były najwyraźniej w smak, bo nie protestował. Potem wyjechał, a ja dowiedziałam się, że noszę pod sercem jego dziecko. – Przerwał jej atak kaszlu. – Gdy rodzice się dowiedzieli, matka płakała, bo wstyd przed ludźmi, a ojciec z chałupy przepędził, z tego samego powodu. Zostałam sama z dzieckiem na rękach. Miałam tylko ją, musiałam jakoś zarobić na mieszkaniu i jedzenie. Przyjęli mnie w zakładzie tkackim, dostałam też pokój. Był mały i ciasny, ale przynajmniej na głowę nie leciało.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek.

– Nie zarabiałam tam dużo. Ledwie starczało nam na utrzymanie. – Wyjęła srebrny łańcuszek z kieszeni peleryny i włożyła go w dłoń Agacie. – To jedyna cenna rzecz, jaką posiadam. Pamiątka z czasów, gdy mój los jeszcze kogoś obchodził. Jeśli zajdzie taka potrzeba... – odkaslnęła, zasłaniając usta chusteczką – ...lecz Maris. Na więcej mnie nie stać.

– Ty myślisz, że bez zapłaty nie zechcę leczyć was obydwu. – Agatha bardziej stwierdziła fakt, niż zapytała.

– Słyszałam plotki... Podobno leczenie nie mało kosztuje. Opieka i leki...

– Mam do ciebie prośbę, Renem – przerwała jej łagodnie zielarka. – Nie obrażaj mnie, będąc gościem w moim własnym domu. Nie wiem, jak to się odbywa w przypadku uczonych doktorów z twoich stron, ale masz do czynienia ze zwykłą uzdrowicielką. – Zatoczyła krąg dłonią. – Rozejrzyj się dookoła. Czy myślisz, że mieszkalbym w ten sposób, zarabiając krocie na nieszczęściu innych ludzi?

– Wybacz, pani. – Dziewczyna się zaczerwieniła. – Nie chciałam cię obrazić. Pomyślałam, że...

– Mów mi Agatha – przerwała jej ponownie. – Nieważne, co wcześniej myślałaś. To nie ma już najmniejszego znaczenia. Ważniejsze jest, co myślisz teraz. Będę leczyć was obie, jeśli zajdzie konieczność. Całkowicie za darmo. Zgadzasz się?

– Nie – Chora uśmiechnęła się smutno – To się nie godzi, byś zajmowała się nami bez zapłaty. Jestem tylko prostą dziewczyną, nie mam nikogo, kto by się za mną ujął, ale jedno mi pozostało: odrobina godności, która nie pozwala mi wykorzystać litości, którą do mnie żywisz.

– Dobrze. – Uzdrowicielka uniosła świecidełko na wysokość jej oczu. – W takim razie będę leczyć was obie za ten łańcuszek. Zgoda?

– Ale... Czy to nie za mało?

– Nie bądź głupia, to w zupełności wystarczy. Teraz spróbuj trochę się unieść, muszę cię zbadać. Małą wyniosę do drugiej izby, tam będzie miała wygodniej. – Podniosła dziecko, a widząc wysiłki Renem, dodała: – Zaczekaj. Pomogę ci, gdy wrócę.

Zrobiła, jak powiedziała: ułożyła maleństwo na sienniku w drugiej izbie. Dziewczynka spała zaskakująco twardo, jakby wiedziała, że w tej chwili nie należy przeszkadzać. Agatha odetchnęła z ulgą, bo skóra dziecka miała normalną temperaturę. Faliste włoski i cienka, biała koszulka były suche, ręce i nogi miała ciepłe. Wyglądało na to, iż mała rzeczywiście nie przejawia żadnych niepokojących objawów.

Gdy Agatha wróciła, złapała Renem pod ramię i pomogła jej usiąść. Dokładnie obejrzała jej szyję, zajrzała do ust i oczu. Potem ujęła jej dłonie w swoje i użyła kolejnego talentu odziedziczonego po matce – posłużyła się magią żywiołów. Przepuściła moc przez jej ciało, korzystając z faktu, iż woda stanowi znaczną część ludzkiego organizmu. Długo ćwiczyła, zanim w pełni opanowała tę sztukę, a pozwalała ona zajrzeć w głąb pacjenta, by poznać jego chorobę. Ta metoda często okazywała się zbawienna, bo pozwalała ustalić, jak bardzo rozwinęła się choroba, jakie organy wewnętrzne zdołała już zaatakować. Oddziałując magicznie na wodę, Agatha potrafiła także tamować krwotoki oraz przyspieszać gojenie się ran, miało to jednak swoje ograniczenia. Bywały obrażenia tak poważne, że nawet magia nie była w stanie pomóc.

Trzymając dłonie dziewczyny, zamknęła powieki, skupiła uwagę i wyzwoliła moc, która popłynęła strumieniem przez ciało chorej, ogarniając każdą komórkę swoim jestestwem.

– Hhhy – przestraszyła się Renem. – Co to jest, Agatho?

– Ciii. Jeszcze moment. Zaraz ci wyjaśnię.

Gdy wszystko stało się dla Agathy jasne, puściła dłonie Renem i pomogła jej ponownie ułożyć się na sienniku. Sama wstała i podeszła do stojącego na piecyku garnka.

– Dam ci zupy – odezwała się, nalewając gęstą potrawkę do glinianej miseczki. – Rozgrzejesz się trochę i wzmocnisz. To teraz bardzo ważne, byś jadła i nabierała sił.

– Dziękuję – rzekła Renem, przyjmując miseczkę. – Co to było, Agatho? Co zrobiłaś, gdy trzymałaś mnie za ręce?

– To była magia żywiołów – odpowiedziała szczerze zielarka, choć w innych okolicznościach nigdy by się na to nie zdecydowała. – Jestem czarodziejką, Renem. Posiadam moc i wykorzystuje ją, jeśli może okazać się pomocna. Tamuję krwotoki, wspomagam gojenie się ran, a czasami zwyczajnie badam z jej pomocą. Do leczenia wykorzystuję

głównie zioła, ale magia jest niezrównana, jeśli chodzi o stawianie diagnozy.

– Co stwierdziłaś? – Renem mieszała w zupie od niechcenia, patrząc na Agathę.

– Miałas rację – mówiła spokojnie kobieta. – To biała gorączka, ale jeszcze we wczesnym stadium. Daj, nakarmię cię. Widzę, że z trudem ci to przychodzi. – Odebrała miseczkę i kontynuując rozmowę, co jakiś czas podsuwała chorej łyżkę do ust. – Jesteś wyczerpana podróżą, to z pewnością nie poprawiło twego stanu. Tak jak mówiłam wcześniej, żeby wyzdrowieć, musisz jeść i dużo odpoczywać. Organizm musi się wzmocnić.

– To znaczy, że mam jeszcze szansę, by wyzdrowieć?

– Oczywiście, że masz, ale musisz się trochę postarać.

– Postaram się, Agatho. – Głos dziewczyny się załamał, lecz dodała: – Mam dla kogo żyć.

Uzdrowicielka odstawiła pustą miseczkę, za to wlała napar cynamonowego do glinianego kubka i podsunęła go chorej pod nos. Ta wypila duszkiem niemal wszystko, a na jej twarzy pojawił się grymas. Nie mogło chodzić o temperaturę, bo napar był już wystudzony, Agatha domyśliła się więc, że problemem był smak. Sama była do niego przyzwyczajona, natomiast Renem prawdopodobnie piła taki wynalazek po raz pierwszy.

– Postaraj się wypić do końca – poleciła uzdrowicielka. – Rozmieszałam w nim lekarstwa, dlatego jest taki paskudny.

Renem, ująwszy kubek własną dłonią, przechyliła go i dopiła miksturę do końca, wierząc w jej leczniczą siłę. Niedługo potem zasnęła. Agatha czuwała przy sienniku, kontrolując oddech chorej i zmieniając okłady na jej czole. Od czasu do czasu zaglądała także do drugiej izby, by sprawdzić, czy Maris wciąż śpi. Spała smacznie z rozrzuconymi na boki rękami, tak jak ją zostawiła. Momentami wydawało się jej, że słyszy płacz, dlatego często sprawdzała, czy mała się nie obudziła. Przez większość czasu siedziała jednak przy Renem, na starym, drewnianym krześle, z głową opartą o szczyt regału wypełnionego księgami w podniszczonych okładkach. Nie zorientowała się nawet, kiedy zasnęła w tej pozycji.

Poderwała się na krześle, gdy tylko się przebudziła. Była na siebie zła za to, że nie zachowała należytej czujności, że pozwoliła sobie zasnąć. Wokół wciąż panowała ciemność, rozpraszana jedynie przez dogasającą w kaganku świecę, którą zapaliła później, by oświetlać nią przestrzeń w sąsiedniej izbie. Po jej wysokości poznała, że nie mogła spać dłużej niż pół godziny. Reszta świec rozstawionych po izbie wypaliła się dawno temu.

Podsunęła kaganek bliżej chorej, obawiając się tego, co mogła zobaczyć. Na szczęście niesłusznie.

Renem patrzyła na nią swymi błękitnymi oczami, w których wciąż tlił się blask. Uśmiechnęła się lekko, napotykając spojrzenie zielarki, a ona odetchnęła z ulgą. Potem wstała i zajęła się rozpalaniem nowych świec, by zyskać więcej światła. Ujęła w dłoń iskrę z kaganka, roznieciła niewielki płomień, a następnie posłała go ku rozstawionym w izbie świecom. W pomieszczeniu momentalnie pojaśniało.

Zauważyła, że Renem wciąż się jej przygląda z nieodgadnioną miną. Była pewna, że nie ze zdumienia ani z podziwu dla jej magicznych zdolności. To było coś innego, lecz nie wiedziała co.

– Agatho... – odezwała się wreszcie dziewczyna słabym głosem. – Czy możesz przynieść Maris? Chciałabym na nią popatrzeć... – Wstrząsnął nią atak kaszlu.

– Dobrze, zaraz ją przyniosę.

Agatha nie była pewna, dlaczego chora chciała zobaczyć swoje dziecko w środku nocy. Może ta prośba wynikała z tęsknoty, a może widok dziewczynki miał dodać jej sił do walki. Nie spytała, bo coś sprawiało, że bała się odpowiedzi. Nie miała również powodu, by jej odmówić, dlatego przyniosła małą.

Trzymała na kolanach zawiniętą w koc Maris, a dziewczynka uśmiechała się pocieszenie przez sen. Matka patrzyła na córkę z miłością i determinacją, jakiej Agatha dawno nie widziała.

– Renem, ona jest zdrowa – powiedziała uzdrowicielka. – Może rozsądniej byłoby ją zostawić u kogoś, u kogo nie groziłoby jej zarażenie. Może masz jakichś bliskich, którzy mogliby się nią zająć, dopóki ty nie dojdiesz do siebie?

– Nie mam nikogo. – Głos chorej stał się jeszcze słabszy. – Może matka by się zgodziła, ale ojciec z pewnością jej nie pozwoli.

– A jej ojciec? On w ogóle o niej wie? – dopytywała Agatha.

– Nie wie i lepiej dla niej, żeby tak pozostało. – Łzy zakręciły się w kącikach oczu dziewczyny.

– Dlaczego?

– To zwykły bawidamek, Agatho – mówiła z wysiłkiem, z trudem zaczerpując oddech. – On nie będzie potrafił się nią zająć, nie będzie umiał być dla niej ojcem... Prawdopodobnie nawet nie będzie chciał nim być... Wierz mi, już lepiej, żeby trafiła do sierocińca niż do niego. Tam będzie miała szansę na rodzinę, a w najgorszym wypadku przynajmniej jakąś opiekę. – Uśmiechnęła się smutno na widok zatrzwożonej miny uzdrowicielki. – Nie patrz tak... Przecież ja wiem, dlaczego o to pytasz, i ty również to wiesz... Liczyłam się z tym, kiedy tutaj szłam... Rozważałam wszelkie możliwe scenariusze tego, co się z nią stanie, kiedy ja... – Słowa uwięzły jej w gardle, dopiero po dłuższej chwili dodała: – Tak zdecydowałam...

Oddaj ją do sierocińca, Agatho, bo sama raczej już nie zdołam.

– Renem...

– Wiem, że skłamałaś, by podnieść mnie na ducha... Żebym się nie bała... Ale ja nie o siebie się boję... Taka kolej rzeczy. – Łza spłynęła jej po policzku. – Agatho, nie mam prawa cię o to prosić, ale... zaopiekuj się nią. Jeśli możesz.

Agatha bardzo chciała coś powiedzieć. Wyjaśnić jej, że żadna z niej opiekunka, że jest za stara na dziecko, że na pewno sobie nie poradzi, a ona rzeczywiście nie ma prawa prosić jej o coś takiego, ale nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Zaciśnięte gardło sprawiało, że nie odważyła się nawet otworzyć ust. Poczula, jak łzy palą jej oczy. Zauważyła, że Renem także płacze, mimo to nie potrafiła zdobyć się na żaden gest. Wiedziała, że napor nie pomoże, bo nie mógł pomóc. Od początku była świadoma tego, że dziewczyna nie ma żadnych szans, toteż skłamała o rozpuszczonych w nim lekach. Starła się robić dobrą minę do złej gry, by oszczędzić jej lęku i zmartwień, a teraz po prostu siedziała na starym, drewnianym krześle ze śpiącym dzieckiem na kolanach i patrzyła w oczy kobiety, której za chwilę miało już nie być.

Renem w końcu zasnęła wyczerpana łkaniem. Po dłuższym czasie, gdy Agatha zdołała już uspokoić myśli, położyła Maris na sienniku w drugiej izbie i również zasnęła. Gdy się obudziła, już świtało. Do izby wpadały pierwsze promienie bladego słońca, desperacko przedzierające się między sylwetkami strzelistych sosn i świerków. W piecyku wciąż trzeszczały dopalające się drwa, na zewnątrz wciąż leżała gruba warstwa śniegu, w powietrzu wciąż unosił się przyjemny zapach cynamonu i imbiru, coś jednak bezpowrotnie się zmieniło. Błękitne oczy Renem utraciły swój blask. Dziewczyna patrzyła matowym, martwym spojrzeniem spod przymkniętych do połowy powiek.

Uzdrowicielka, choć nie miała wątpliwości, musiała się upewnić. Tego wymagała sztuka, jej fach. Tego uczyła ją matka. Sprawdziła tętno na przegubie dłoni. Nie wyczuła niczego, tak jak się spodziewała. Tym razem nie zdołała powstrzymać łez. Sama nie rozumiała, co się z nią dzieje. Może było jej żal Renem, choć znała ją tak krótko. Może historia nieszczęśliwie zakochanej i porzuconej dziewczyny zbyt przypominała jej własny los. Może chodziło o małą Maris, która została bez matki. W końcu Agatha leczyła ludzi od blisko dwudziestu pięciu lat. Wśród jej pacjentów zdarzały się różne przypadki, w tym również tacy, którym nie mogła pomóc. Wielu żołnierzy, których usiłowała ratować, jeszcze w czasie Wojny Siedemdziesięcioletniej, miało na tyle poważne obrażenia, iż umierali na jej rękach. Wielu z nich

było młodych, wielu miało dzieci, los żadnego z nich nie dotknął jej jednak tak bardzo jak los Renem Dorel.

Dławił ją płacz, ale nie mogła już niczego zrobić prócz wyprawienia jej w ostatnią podróż, zgodnie z przykazem Mourneth. Korzystając z okazji, że Maris wciąż śpi, owinęła się grubą peleryną, po czym wyszła na zewnątrz. Zaletą mieszkania w lesie było to, iż chrust i gałęzie były dosłownie wszędzie, więc ze zbudowaniem stosu pogrzebowego nie miała większych problemów. Ułożyła go na niewielkiej polanie nieopodal swojej chatki, potem wróciła po ciało, które zgodnie z obyczajem umyła i nagie zawinęła w białe płótno. Następnie zaciągnęła je na polankę na starym kocu, bo inaczej nie dałaby rady go tam zanieść. Z ułożeniem na stosie miała niemałe trudności, lecz ostatecznie jej się udało. Podłożyła ogień. Chciała, by wszystko odbyło się, jak należy, bez użycia magii, ale pogoda szybko zweryfikowała jej plan. Zawilgłe drewno nie chciało się palić, a syjący ciągiem śnieg nie ułatwiał sprawy, więc była zmuszona podsyć płomienie za pomocą magii.

Gdy na stosie zatańczyły wreszcie pomarańczowo-żółte języki ognia, stanęła naprzeciw i, ocierając łzy, odmówiła zgodną z obrzędem modlitwę:

*Mourneth, Pani Ciszy i Ostatniego Tchnienia.
Ty, która znasz drogi za zasłoną nocy,
przyjmij w swe ramiona Renem Dorel.*

*Oplataj ją cieniem swych skrzydeł,
prowadź przez krainę, gdzie czas nie płynie,
gdzie znużone serca odpoczywają
w wiecznym spokoju.*

*Zabierz lęk z jej duszy,
niech nie ogląda się za siebie,
bo wszystko, co kochała,
przechowa pamięć żywych.*

*W ciszy swego królestwa
daj jej miejsce przy świetle.
A nam, co zostajemy,
daj siłę nieść ciężar pustki,
aż i my usłyszymy Twój szept,
wzywający nas po imieniu.*

Potem stała w milczeniu. Towarzyszyły jej ciche sosny i milczące świerki, zgromadzone kręgiem dookoła polany. Zupełną ciszę przerywał jedynie odległy szczebiot ptaków, skarżących się sobie wzajemnie na głód, który zafundowała im sroga zima. Nie wsłuchiwała się w szczegóły ich rozmowy, zajęta była obserwowaniem dogasającego płomienia, który zanadto się nie spieszył. Powtórnie przy użyciu mocy roznieciła ogień,

a gdy nie zostało już nic prócz popiołu i zgliszczy, obróciła się i ruszyła w kierunku chatki, w której po raz pierwszy od wielu lat ktoś czekał.

Już od drzwi słyszała ciche kwilenie. Pospieszenie zdjęła i odwiesiła pelerynę, po czym weszła do drugiej izby. Mała leżała na sienniku, obłożona ze wszystkich stron poduszkami i zawinięta w szary koc, co niemal całkowicie ją unieruchamiało. Było to zabezpieczenie wymyślane w pośpiechu przez Agathę, która obawiała się, że dziewczynka spadnie z łóżka pod jej nieobecność. Najwyraźniej spełniło ono swoje zadanie, ale małą irytowało przymusowe leżenie. Kobieta pospiesznie rozmontowała swój wynalazek, odrzuciła na bok poduszki i koc, wydobyła dziecko i wzięła je na ręce. Przez chwilę przyglądały się sobie, zastanawiając się, która jako pierwsza wybuchnie płaczem, ale oboje okazały się nad wyraz dzielne. Maris – z racji wieku – nie była świadoma tego, co się stało, natomiast Agatha robiła wszystko, by swoją reakcją jej nie przestraszyć.

Uśmiechnęła się do dziewczynki, pogładziła ją po policzku. Maris była bardzo podobna do matki, nie licząc falistości włosów i koloru tęczywek. Miała wielkie oczy w kolorze wzburzonego morza. Agatha w lot pojęła, skąd wzięło się jej imię, wcześniej nie zdążyła o to zapytać. Nawet nie przyszło jej to na myśl. Patrzący sobie w oczy, a potem dziewczynka uśmiechnęła się i przytuliła głowę do jej ramienia. Kamień spadł Agacie z serca, obawiała się bowiem krzyku, paniki, hysterii. Sama nie wiedziała, czy bardziej własnej, czy dziecka.

Posadziła ją na blacie stołu, sama usiadła obok, na krześle. Nakarmiła dziewczynkę zupą, którą wcześniej ugniotła na papkę. Mała jadła chętnie, choć nie łapczywie, najwidoczniej wcale nie była aż tak głodna, jak się zielarce zdawało. Gdy wyczyściła miskę do czysta, Agatha odstawiła ją na bok.

Spojrzała na dziewczynkę i poczuła ukłucie w sercu.

– I co ja mam z tobą zrobić? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi.

– Mama – wyszczebiotała niespodziewanie mała, a potem dodała, rozkładając ręce: – Ma.

– To prawda. Ona jest już daleko stąd, a ty, czy tego chcesz, czy nie, na razie musisz zostać ze mną. – Wskazała na okno, znajdujące się za plecami małej. – Popatrz tam. Jest zima, wszędzie białe od śniegu. Czekają nas co najmniej trzy wspólne miesiące, bo ani mi się śni nieść cię do sierocińca przez te zasy. Tym bardziej że droga nie jest krótka ani łatwa.

– Ta... – potwierdziła rezolutnie dziewczynka.

– Nie pytałam cię o zdanie, ale to dobrze, że się zgadzasz. Szkoda tylko, że nie wiesz na co. – Uśmiechnęła się smutno. – Jestem Agatha. Powtórz.

– Aga...

– Aga-tha.

– Agaaa.

– Niech ci będzie – rzekła zrezygnowana. – Może być Aga. Na wszystkie boginie, to będą baaardzo długie miesiące.

Zielarka miała rację, rzeczywiście były długie, ale czas niespodziewanie szybko jej upływał. Znacznie szybciej w porównaniu do wszystkich poprzednich zim, co wynikało najprawdopodobniej z towarzystwa małego brzdąca, który nieustannie zaprzętał sobą jej uwagę.

Przez ten czas Maris dopracowała kilka umiejętności. Coraz lepiej chodziła, choć wciąż często traciła równowagę i lądowała na podłodze, ale ku zdumieniu Agathy nigdy nie płakała, a od razu przekręcała się na czworaka i ponownie wstawała. Nauczyła się również samodzielnie jeść łyżką, lecz ta czynność wymagała jeszcze udoskonalenia, gdyż dziewczynka robiła przy tym mnóstwo bałaganu. Zielarka nie miała jej tego za złe, wiedziała, iż tak wygląda proces nauki. Początkowo trzymała ją na kolanach, a po kilku próbach, gdy kończyła cała wymazana jedzeniem, zmieniła strategię: zaczęła ją sadzać na oddzielnym krześle, położywszy na nim poduszki, by dziewczynka nie spadła. W końcu doczekała się postępów.

Agatha z powodu braku pacjentów nie miała zbyt wiele pracy. Zapasów ziół również nie mogła robić, bo wszystkie zniknęły pod warstwą białego puchu. Jej zielarskie obowiązki ograniczały się zatem do wycierania kurzu ze słojów z ziołami. Robiła to raz w tygodniu, a Maris zawsze kręciła jej się wtedy pod nogami. Z braku innych zajęć każdą wolną chwilę poświęcała dziewczynce. Karmiła ją, cesała, myła, przebierała i utulała do snu, a potem koło się zamykało. Dużo też do niej mówiła o tym, co teraz robi, co widać za oknem. Pokazywała jej obrazki w starych księgach, wymyślała i opowiadała bajki, nawet uszyła dla niej kilka ubranek, wykorzystując materiał z własnych strojów, których już nie nosiła, bo w torbie zostawionej przez Renem było ich niewiele, a mała często się brudziła.

Szycia również nauczyła ją matka. Zaczęło się od tego, że mała czarodziejka przyglądała się jej, jak pracowała igłą podczas zwężania spódnicy. Bardzo chciała spróbować swoich sił, więc matka dała jej szmatkę i igłę z nawleczoną nitką. Skończyło się tym, że Agathabolesnie pokłuła sobie palce, nie zniechęciło jej to jednak. Ćwiczyła, szyjąc przytulanki i lalki ze starych szmatek. Nożycami wycinała kształty, nicią łączyła je ze sobą, a potem wypychała pozostałymi skrawkami materiałów. Jej ulubioną częścią było jednak ich ozdabianie. Lalkom zawsze szyła sukienki i robiła im z włóczki włosy, które potem starannie

zaplątała w warkocze. Przytulanki, którymi najczęściej były misie, wyposażyła w kokardki na szyjach. Takie same zabawki zrobiła dla Maris, a przy okazji przypomniała sobie stare czasy. Fakt, że dziewczynka potrafiła się nimi bawić całymi dniami, potwierdzał, iż się jej spodobały.

Zima stopniowo odpuszczała. Mróz zelżał, śnieg stopniał. Pojawiało się coraz więcej słońca dającego ciepło. Wreszcie do królestwa zawitała wiosna i nadszedł TEN dzień. Agatha spakowała torbę, zabrała ubrania i zabawki małej, odzież na zmianę dla siebie oraz trochę jedzenia. Czekająca je wymagająca droga, i taka też była. Samej Agacie podróż zajęłaby nie więcej niż cztery dni. Z dodatkowym obciążeniem, jakim było niesione przez nią dziecko, dotarła jednak do Valmaru w pięć.

Miło było znaleźć się wreszcie bliżej cywilizacji, szczególnie po nocach spędzanych przy ogniskach pod gołym niebem. Nie lubiła miast, ale lubiła spać w ciepłym i suchym posłaniu, a te takie gwarantowały. Obiecała sobie, że nim ruszy w drogę powrotną, odstawi Maris do sierocińca, a potem zanocuje w mieście, by zregenerować siły. Miasto było zbudowane na planie koła i otoczone kolistym murem obronnym. Podeszła od strony południowej bramy, gdzie od razu została wpuszczona. Strażnicy nawet nie zapytali jej o dokumenty, gdyż byli zajęci obmawianiem wdzięków niejakej Joel, kimkolwiek ona była.

Agatha skorzystała z okazji i przekroczyła mury miasta. Było dokładnie takie, jakim je zapamiętała: brudne, ciasne, ciemne, może nawet bardziej niż wcześniej, ze względu na niedawno postawione budynki, które dodatkowo zabierały przestrzeń i zasłaniały słońce. Zbyt mało było tutaj roślin, jak dla zielarki. Właściwie wcale ich nie było, nie licząc wyrastającego spomiędzy kamieni zielska. Krótko mówiąc, było szaro, buro i ponuro, a widząc to, kobieta szybko przypomniała sobie zalety mieszkania w lesie – błogą ciszę, święty spokój i piękną zielen ogarniającą wszystko dookoła. W mieście tego nie było.

Idąc na wskroś główną ulicą, dostała się wkrótce do północnej bramy. Dobrze wiedziała, że w Valmarze nie ma sierocińca, cel jej wizyty był inny. Zdecydowała się tu przyjść, by zapewnić sobie transport na którymś z wozów zaopatrzeniowych. Valmar był jednym z najdalej oddalonych od stolicy miasteczek, dlatego wozy z zaopatrzeniem krążyły traktem na okrągło. Większość dostawców wracała na pusto, więc była spora szansa na to, że któryś z nich zgodzi się zabrać kobietę z dzieckiem.

Poszczęściło się jej. Akurat dotarła do bramy, gdy wyjeżdżał nią zaprzężony w dwa kare konie pusty wóz, powożony przez młodego mężczyznę.

Miał może trzydzieści lat, był ubrany w ciemną pelerynę, spod której wystawała zszarzała, wiązana koszula. Miał też brązowe spodnie z nogawkami wsuniętymi w cholewki wysokich, skórzanych i lekko ubłoconych butów.

Pospiesznie podbiegła do niego.

– Zaczekajcie, panie! – zawołała.

– Co, u licha? – Zatrzymał wóz i odgarnął z czoła czarne, kędzierzawe włosy.

– Jedziecie do stolicy? – spytała głosem najmilszym, jaki tylko zdołała z siebie wydobyć. – Nie zabralibyście kobiety z dzieckiem?

– A co mam nie zabrać, właściwie na wóz.

Agatha położyła Maris na wozie, a potem sama na niego weszła. Razem ulokowały się na leżącej w pudle derce. Wóz był stary, kilka desek wymagało wymiany, ale przynajmniej w miarę czysty – i lepszy był taki środek transportu niż konieczność pokonania drugich trzydziestu mil pieszo.

Woźnica smagnął konie batem, a wóz ruszył z turkotem. Mężczyzna obejrzał się na swoje pasażerki, robił to od czasu do czasu: zerkał to na nie, to na drogę.

– Skoro już razem jedziemy, to może umilimy sobie czas rozmową – przemówił w końcu. – Jestem Revik Branen. Dostarczam kamienne bloki ze stolicy. – Odgarnął włosy z czoła. – Właściwie nie do końca ze stolicy. Ja je tylko stamtąd odbieram i wiozę dalej, gdzie każą, a same bloki pochodzą z Gór Tharngrim. Jeżdżę tym traktem średnio co trzy dni. W Valmarze dużo ostatnio budują...

– Zgadza się. Niedługo całkiem zasłonią niebo dachami.

– Mnie też się to nie podoba – odparł niepokieszony. – Jakby mogli, budowałiby jeden dom na drugim. Sam mieszkam na wsi, bo lubię widzieć niebo, ale pracuje w mieście, bo jakoś muszę zarobić na utrzymanie rodziny. Pewnie coś o tym wiesz. – Skinął głową na Maris.

– No... tak – zawahała się Agatha.

– To chyba nie córka, co? Wnuczka? – dociękał. – Piękna lala – pochwalił szmacianą pacynkę, którą Maris mu pokazała, gdy się ku nim obrócił. – Kto ci uszył to cudenisko?

– Aga... – odpowiedziała mu, uśmiechając się radośnie.

– Wspaniała – uśmiechnął się życzliwie. – Sam bym taką chciał.

– Ma... – Maris wyciągnęła do niego laleczkę.

– Nie, nie mogę jej wziąć. Ta jest twoja. Może Aga uszyje i dla mnie, jeśli ją poproszę.

– Ta... – rzekła poważnie i pokiwała główką.

– Nieważne, czy córka, czy wnuczka – zwrócił się znów do Agathy. – Ta mała jest po prostu rozkoszna.

– Ani córka, ani wnuczka – odparła chmurnie. – Jesteśmy dla siebie obce.

– Ona chyba uważa inaczej. – Uśmiechnął się na widok wtulonej w nią Maris. – Lgnie do ciebie, jakby była twoją najprawdziwszą wnuczką.

– Tylko przyzwyczaiła się do mojej obecności. Szybko zapomni...

– Dlaczego miałaby cię zapomnieć?

– Wiozę ją do sierocińca – rzekła, a potem dodała, widząc zdziwienie na twarzy mężczyzny: – Nazywam się Agatha Ysvenor i jestem uzdrowicielką. Jej matka przyszła do mnie po pomoc z Valmaru aż do Thorell. Miała białą gorączkę, nie dożyła nawet ranka. Zdążyła mi jedynie powiedzieć, jak mała ma na imię i że nie ma żadnych krewnych, którzy mogliby się nią zająć, dlatego mnie o to poprosiła. Spędziłyśmy razem trzy miesiące, czekając na roztopy. Przez ten czas zdążyła się do mnie przyzwyczaić, ale się odzwyczai. – Urwała, ale mężczyzna nic nie powiedział, najwyraźniej nie wiedział, jak skomentować jej słowa.

Przez chwilę panowała przeciągająca się, grobowa cisza. Maris, znużona podróżą, wreszcie zasnęła, cały czas przytulając się do swej opiekunki i przyciskając do siebie lalkę.

Agacie nagle zrobiło się ciężko na sercu.

– Co miałabym z nią zrobić? – odezwała się w końcu, wbijając nieobecny wzrok w burtę wozu. – Mieszkam sama w leśnej głuszy, z dala od ludzi i cywilizacji. Ona nawet nie miałaby się z kim bawić, a dzieci powinny się bawić z innymi dziećmi... Sama jestem już stara, mam swoje obowiązki... Ona zasługuje, by mieć normalną matkę... W sierocińcu będzie miała na to większe szanse... Jest jeszcze mała, może przynajmniej ją jakieś bezdzietne małżeństwo, a jeśli jej się poszczęści, to może nawet trafi do bogatego domu.

– A jeśli jej się nie poszczęści, to skończy w ryszotoku – wypalił Revik.

– To dzieje się w znikomej liczbie przypadków – zmarszczyła brwi.

– Ta znikoma liczba stanowi spory odsetek moich kolegów z dawnych lat. Dobrze się domyślasz: wychowywałem się w sierocińcu. Byłem za mały, by pamiętać, jak tam trafiłem. Tego czasu nie wspominam źle. Zawsze lepsze to niż ulica. Problem zaczyna się wtedy, gdy dorastasz i musisz zwolnić miejsce dla młodszych. Taki skrzywdzony życiem dzieciak w ciele dorosłego jest podatny na pokusy i wpływy. Pozostawiony sam sobie może łatwo stoczyć się na dno. Taka kolej rzeczy – wzruszył ramionami. – Ja miałem to szczęście, że rodzice mojej przyjaciółki z dzieciństwa bardzo mnie lubili. Mieli gospodarstwo, a ja nie ociążałem się z pomocą. W ich oczach byłem dobrym, pracowitym chłopakiem i taki starałem się być. Dzięki temu ojciec Evelli nie zastanawiał się dwa razy, czy oddać mi swoją córkę za żonę. Tak wszedłem do ich rodziny, która później stała się również moją własną.

– Jesteś więc żywym dowodem na to, że...

– Jeszcze nie skończyłem – przerwał jej. – Ze wszystkich dzieciaków, którzy wychowywali się w sierocińcu w tym samym czasie co ja, żadnemu innemu się nie udało. Większość została pospolitymi pijakami i awanturnikami, część najemnymi zbirami. Kilku z nich od dawna gryzie już ziemię. Ale jakby się nad tym głębiej zastanowić, to los chłopaków nie był wcale taki zły w porównaniu do tego, co spotkało nasze koleżanki. Zapewne wiesz, jak w najłatwiejszy sposób może zarobić młoda, ładna dziewczyna, choć uroda niewielkie ma znaczenie w tym temacie. Przetrzymywane wbrew swej woli, przymuszane, bite, gnębione i okradane z zarobków, mimo że...

– Dość! – przerwała mu, widząc oczami wyobraźni nieciekawą obrazek. – Wystarczy już!

– Chciałem tylko, byś miała pełny ogłód sytuacji. Domek w lesie, brak rówieśników i przybrana babcia zamiast matki nie wydają się takie złe w porównaniu z...

– Albo przestaniesz, albo ja wysiadam – ucięła głosem niecierpiącym sprzeciwu.

– Jak sobie życzysz, będę milczał – wzruszył ramionami. – Możesz dalej zaklinać rzeczywistość.

Revik Branen dotrzymał danego słowa i milczał przez resztę drogi. Agatha była zła. Ze wszystkich woźniców jeżdżących tą drogą musiał jej się trafić akurat taki, który wychowywał się w sierocińcu. Do tego desperacko próbował przekonać ją, by nie oddawała Maris. Namawiał, by się nią zaopiekowała jak przybrana babcia, jakby miał jakiegokolwiek prawo jej doradzać. Był dla niej obcą osobą, znała go zaledwie kilka godzin. On również jej nie znał, niczego o niej nie wiedział. Nie mógł zdawać sobie sprawy z tego, przez co przeszła ani co skłoniło ją do ucieczki na odludzie. Nie mógł, a jednak usiłował układać jej życie.

Dzięki temu, że wyruszyli w podróż bladym świtem i nie zatrzymywali się nigdzie na noc, bo właściwie nie było gdzie, dotarli do Ardham następnego dnia wieczorem. Agatha, choć wciąż miała za złe Revikowi jego wywody na temat marności życia sierot, życzliwie go pożegnała, życząc przy tym, by corvendarskie trakty same niosły jego wóz. On natomiast jeszcze raz poprosił ją, by przemyślała swoją decyzję, nim zrobi to, co zamierza. Kobieta była zdecydowana. Nie planowała powtórnie rozważać wiadomych jej kwestii, bo w ciągu ostatnich trzech miesięcy robiła to już wielokrotnie i za każdym razem dochodziła do tego samego wniosku.

Wzięła Maris na ręce i ruszyła przed siebie. Musiała odnaleźć właściwy budynek, a Ardham było ogromne, jak na stolicę królestwa przystało. Całe miasto otoczono wysokim murem obronnym,

a w środku znajdowały się rynek, liczne stragany handlarzy, większe i mniejsze domki, sklepy oraz zakłady rzemieślnicze. W oddali na wzgórzu wysokich wieżach, smukłych oknach i strzelistych dachach. Robił piorunujące wrażenie, ale zielarka przyglądała mu się tylko przez chwilę, nie zapominając powodu, dla którego znalazła się w stolicy.

Przemierzała kolejne uliczki w poszukiwaniu celu swej podróży. Zdawało jej się, że przeszła miasto wzdłuż i wszerz, a sierocińca nigdzie nie było. Miała zapytać kogoś o drogę, choć wcześniej nie chciała tego robić, by uniknąć zbędnych pytań, gdy nagle rzucił jej się w oczy wymalowany na drewnianej tabliczce napis: SIEROCINIEC. Budynek był duży, ale nie prezentował się zbyt dobrze. Ściany miał drewniane, lecz z desek zdążyły już poodpryskiwać drzazgi. Ich ciemny kolor upstrzony był niebieskawymi plamami porostów. Dach zapadał się z lewej strony, brakowało w nim kilku dachówek. Całe obejście wyglądało obskurnie i nie zachęcało do wejścia.

Agatha nie tego się spodziewała. Stała nagle jak wryta przed furtką, cały czas trzymając na rękach Maris. Dziewczynka, rozglądając się dookoła, wskazywała palcem różne rzeczy i czasem kierowała na nią swe spojrzenie w kolorze wzburzonego sztormem morza. Zielarka patrzyła na nią, rozważając w głowie wszystko jeszcze raz, od nowa. Przypomniła sobie słowa Revika Brarena, który wychował się w podobnym miejscu, pomyślała o marnym losie jego kolegów i koleżanek. Nie potrafiła zrobić kroku naprzód ani się cofnąć. Trwała w martwym punkcie.

Nagle ze środka wyszła kobieta w długiej, czarnej sukni. Była sporo starsza od Agathy. Miała siwe, proste włosy upięte w kok, podkrążone oczy i sporo zmarszczek.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała.

– Nie... Ja... – dukała Agatha, nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów.

– Chcesz oddać tę małą, pani?

– Ja... Nie jestem... – usiłowała zebrać myśli, a Maris przywarła do niej, obejmując ją za szyję. – Zwyczajnie się zgubiłyśmy. Szukamy miejsca na nocleg. Jest tu może jakaś karczma?

– I to nie jedna – uśmiechnęła się nieznacznie kobieta. – Najbliżej będzie do Pełnego Kufla. – wskazała palcem. – Tam go widać.

– Dziękuję za pomoc.

Nie czekała na odpowiedź, zabrała małą i ruszyła do karczmy, gdzie wynajęła pokój. Obiecała sobie przecież, że zanim uda się w drogę powrotną, porządnie się wyśpi. Zamierzała zrobić to po oddaniu Maris, ale uświadomiła sobie, że chce spędzić z nią jeszcze jeden dzień. Chciała spędzić z nią jeszcze jeden dzień. Dziewczynka szybko

zasnęła, a Agatha siedziała przy łóżku i przyglądała się jej.

Przez głowę kobiety ponownie przetoczyła się nawałnica myśli. Nie rozumiała, dlaczego nie potrafiła jej zostawić. Mogła przecież podać ją kobiecie, odwrócić się na pięcie i odejść, a jednak nie dała rady tego zrobić. Tak długo była sama. Maluch w domu był dla niej miłą odmianą. Sama nigdy nie doczekała się dzieci, choć zawsze chciała je mieć. Poczyniła nawet pewne kroki, by założyć rodzinę, narzeczony jednak wbił jej nóż w plecy. Tego samego dnia straciła też najlepszą przyjaciółkę. Jej życie diametralnie się odmieniło, gdy stała się obiektem plotek, a ludzie w miasteczku zaczęli wytykać ją palcami. To skłoniło ją do przeprowadzki, by uwolnić się od wścibskich spojrzeń i kąśliwych języków.

Początkowo w Thorell było jeszcze jakieś życie, ale kiedy zamknięto młyn, wszyscy przeprowadzili się do miasta w poszukiwaniu pracy, a Agatha została. Zbierała zioła i leczyła, bo nie brakowało takich, którzy byli gotowi pokonać dziesiątki mil, by otrzymać od niej pomoc. Była osławiona na cały Corvendar za sprawą swych skutecznych metod uzdrawiania. Lecz pacjenci przychodzili i odchodzili, a ona trwała, pogodzona z samotnością. Z czasem, za sprawą swych przeżyć z młodości i długich, samotnych lat, stała się cyniczna i nie szczędziła innym kąśliwych uwag, choć współczucie również nie było jej obce.

Odczuwała żal zarówno z powodu Renem, która umarła zbyt młodo, jak i jej osieroconej córki, ale nie mogła zatrzymać małej. Miała już swoje lata i wymagającą pracę. Całymi dniami wędrowała po lasach i łąkach w poszukiwaniu ziół, przetwarzając je na susze, wyciągi i papki, a następnie szykowała z nich rozmaite leki, maści, napary oraz okłady. Innym razem całe dnie oczyszczała i zszywała rany, zbijała gorączki, czuwała przy chorych. Jej chatka znajdowała się pośrodku lasu, z dala od cywilizacji, co wiązało się z pewnymi ograniczeniami w dostępie do pożywienia i wody. Wprawdzie pewien zaprzyjaźniony kapitan podrzucał jej zaopatrzenie na brzeg, gdy płynął koggą w dół Avalei, ale nawet nad rzekę miała daleko. Już nie wspominając o innych miastach i wioskach. W jej życiu po prostu nie było miejsca na dziecko.

Następnego dnia rano, tuż po śniadaniu, znów poszła pod sierociniec, znów zatrzymała się przed bramką i nie potrafiła postąpić kroku. Uciekła, gdy tylko zauważyła, że w oknie poruszyła się szszarzała firanka. Nie chciała ponownie tłumaczyć kobiecie, co ją sprowadza, tym bardziej że nie umiała wyrazić prawdy za pomocą słów. Właściwie sama już nie wiedziała, co jest prawdą, a co nią nie jest. Wróciły razem do karczmy, gdzie Agatha poprosiła o przedłużenie najmu na kolejny dzień. Łącznie spędziły w Pełnym Kuflu pięć

dni, w ciągu których Agatha codziennie usiłowała oddać Maris do sierocińca, lecz ostatecznie nigdy jej się to nie udało.

Następnego ranka zielarka uświadomiła sobie, że ich dłuższy pobyt w Ardham nie ma sensu. Nigdy nie miał, bo ona nie potrafiła oddać dziecka, choć sama nie wiedziała, z jakiego powodu. Spakowała rzeczy, zabrała Maris i wyruszyła w stronę bramy w nadziei, że uda jej się znaleźć transport na powrót. Nie było to wcale takie oczywiste, gdyż wozy ze stolicy w większości wyjeżdżały załadowane po brzegi. Postanowiła jednak spróbować, licząc na łut szczęścia.

Nie czekała długo. Nie musiała nawet pytać ani prosić, bo zza swych pleców usłyszała znajomy głos:

– Witaj, Agatho! – zawołał Revik Branen z koźła wozu załadowanego kamiennymi blokami. – Wracasz do domu? No, proszę, kogo to moje piękne oczy widzą? – uśmiechnął się na widok Maris. – Chodźcie, zabiorę was. Pomieścimy się jakoś na koźle.

Wziął od Agathy torbę, potem Maris, a na koniec podał jej rękę. Gdy już siedziała obok, posadził dziewczynkę na jej kolanach. Torbę położył z tyłu, na kamiennych blokach.

– Długo zabawiłście w stolicy – uśmiechnął się cwaniacko. – Wiesz co? Zanim ruszyłem z załadunkiem, odwiedziłem tutejszy sierociniec. Opiekunka wspomniała coś o kobiecie z dzieckiem, która przychodziła pod budynek przez pięć dni z rzędu. Ponoć zatrzymywała się przy furtce i patrzyła nieobecnym wzrokiem w ścianę. Jesteś jakaś małomówna, Agatho, stało się coś?

– Stało się – odburknęła. – Nie potrafiłam jej oddać.

– Wcale mnie to nie dziwi – uśmiechnął się. – Spójrz tylko na nią. Jest taka pocieszna, a do tego wygląda jak leśny duszek.

– Spoważnij, Revik. Powiedz lepiej, po co poszedłeś do tego sierocińca.

– Po nią – rzekł krótko, a potem przeszedł do wyjaśnień, widząc zdumienie na twarzy towarzyszki. – Rozmawiałem z Evellą, opowiedziałem jej o małej, a ona zgodziła się, byśmy ją adoptowali. Trochę mi zajęło przekonanie jej, bo mamy już czworo własnych dzieci, ale poruszyłem czułą strunę. Wygłosiłem przemowę o marnym losie dzieci z sierocińca i nie miała wyjścia, musiała się zgodzić...

– Zaraz, zaraz – przerwała mu ostro. – Czy ty chcesz mi powiedzieć, że historia o twoich współwychowankach jest zmyślona?

– Nie całkiem – uśmiechnął się smutno. – Właściwie tylko część o tym, że jedynie mnie udało się wyjść na ludzi. Prawda jest taka, że nie tylko mnie. Dokładnie trzech z nas się ustatkowało, założyło rodziny i ma dzieci. Niewiele brakowało, bym miał kolejną córkę.

– Córkę?

– Spokojnie, Agatho – roześmiał się. – Wziąłbym ją z sierocińca, ale tobie jej nie zabiorę. Dobrze wiem, że mi jej nie oddasz.

– To prawda. Nie potrafiłabym jej oddać, choć nawet nie wiem dlaczego.

– Za to ja wiem. Od początku wiedziałem, bo było to widać już na pierwszy rzut oka.

– Co wiedziałeś?

– Że ją kochasz.

Zapanowała głucha cisza. Maris spała bezpiecznie w ramionach Agathy, a ona przyglądała się jej przez chwilę.

– Myślę, że możesz mieć rację – wyszeptała.

– Taka kolej rzeczy – podsumował, popędzając konie smagnięciem bata.

Była zima. Biała, mroźna i sroga, dookoła sypał śnieg. Wiatr napędzał kurzawę. Agatha siedziała na starym, drewnianym krześle, między blatem stołu a podniszczonym piecykiem, od którego biło przyjemne ciepło. Popijała napar z miodu, imbiru i cynamonu, uśmiechając się do swych wspomnień. Naprzeciw niej siedziała młoda dziewczyna o jasnych, falistych włosach i oczach w kolorze wzburzonego sztormem morza, zapatrzona w widok za oknem ozdobionym lodowym witrażem.

To będzie identyczna zima, jak ta piętnaście lat temu, pomyślała Agatha.

ANNA M. MOREN



Tworzy światy, w których wciąż pobrzmiewa widmo dawnych wojen. W jej opowieściach ludzie niosą w sobie pamięć o utraconym spokoju i lęk przed tym, co może nadejść. W mrokach jej historii splatają się magia, legenda i tajemnica. Obecnie pracuje nad powieścią „Wołanie kruków”, pierwszym tomem cyklu „Kroniki Alvarethu”. Opowiadanie, które ukazało się w listopadowym wydaniu magazynu, poprzedza wydarzenia z jej debiutanckiej książki, wchodząc w skład uniwersum.

MIJESCA W SIECI:

Facebook: <https://www.facebook.com/share/17YLU-8acmU/>

Instagram: https://www.instagram.com/anna.m.moren_kroniki.alvarethu?igsh=YndvNDQwang1Njhz

NAJWIĘKSZY STRACH

REDAKCJA: MAGDALENA TOMCZAK

KOREKTA: PAULINA MIKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

Wdrapał się na górę Kolo, żeby znaleźć swój strach.

O tym, że niełatwo jest go odszukać, dowiedział się już jakiś czas temu, kiedy zaglądał do szafy i w głąb studni. Natomiast o tym, że myskowanie po zboczu góry jest surowo zakazane, wiedział od urodzenia. Mówiono mu, aby trzymał się z daleka od masywu, jeśli nie chce spłatać świata figla, ale powtarzano również, że zdolnym do tego jest jedynie tietäjä – szaman. A że chłopak w niczym nie przypominał starca, żaden psikus nie mógł się na gorze Kolo wydarzyć.

Przysiadł na kamieniu niedaleko wywierzyńska. Było tu przyjemnie chłodno. Zamoczył stopy i uderzał nimi o taflę, aż wreszcie usiadł po turecku. W opowieściach Pierwszy nie bawił się w wodzie, tylko odprawiał rytuał.

Łożył dłonie na kolanach i odchylił głowę. Ledwie otworzył usta, kiedy pojedynczy płatek śniegu osunął się ze szczytu i zaczął wolno opadać, mieniać się w słońcu. Chłopak wystawił język, złapał śnieżynkę i prędko przełknął. W tym samym momencie kropla wody ze źródła trysnęła mu prosto w oczy, więc przetarł je. Zupełnie jak w legendach.

Chłód.

Przeszył go, jeszcze zanim otworzył oczy. Ogarnął każdy skrawek ciała, jakby śnieżynka przeniknęła do krwi niczym trucizna. Opowieści milczały na ten temat, nikt nie wspominał o bólu, w jakim zamarzają kości. Chłopak miał wrażenie, że rzęsy przymarzły do siebie nawzajem i już nigdy nic nie zobaczy – zobaczył.

Zima była kobietą o pociągłej twarzy ze szpetnie wysuniętą szczęką. Wyciągnęła kostropate palce ku buzi chłopca, a on poczuł, że skóra na policzkach szroni się i zaczyna mrowić. Za bardzo był wystraszony, żeby próbować uciec. Zima obserwowała go z każdej strony; utkane z lodowych igieł włosy lśniły w słońcu i drgały złowieszczo, jakby w gotowości, by wystrzelić i pociąć młodziutką twarz.

– Co was sprowadza? – spytała wreszcie, a każde słowo przypominało szum wiatru.

Chłopiec był pewien, że zwymiotuje ze strachu i zwróci Zimie jej drobinkę. Wiedział jednak, że drobinka już dawno zmieniła się w wodę i nie ma możliwości jej oddać w tej samej formie. Tak jak

nie było możliwości, żeby po prostu uciekł, nie stłukłszy sobie przy tym kości.

– Mówcie, tietäjo! – ryknęła zniecierpliwiona. – Czego chcecie w zamian? – Jeszcze mocniej zacisnęła palce na podbródku chłopaka, niemal wypychając mu słowa z ust.

– Nie jestem tietäjä... – mruknął. – Jestem Ed, chociaż papa mówi, że Edvard.

– Edvard...? – zaśmiała się perlistym śmiechem. W uszach chłopca brzmiał on jak osuwanie rumoszu skalnego, więc wzdrygnął się i przypadkiem wyrwał z uścisku.

– Ed, Szanowna Pani – powtórzył śmielej. – Szukałem czegoś, ale to już nieważne. Teraz chciałbym wrócić do domu.

Odrzucił się i już miał zacząć biec, kiedy znów poczuł uścisk, tym razem na przegubie, chłodny i mocny.

– Czego poszukiwaliście, Edvardzie? – Zima przyciągnęła go do siebie na tyle blisko, by zaczęła szczypać go skóra. – Musimy zawrzeć umowę. Inaczej nic z naszego spotkania nie wyniknie.

– Nie... – jęknął. – Ja już naprawdę...

Królowa śniegu skubnęła kilka swoich włosów, twardych, ostrych i lodowych, po czym uformowała z nich mały nożyk. Zbliżyła go do twarzy chłopaka; na powierzchni ostrza zatańczyło odbicie jego poczerwieniałych policzków.

– Nie chcemy tego, prawda? – spytała i zaraz nóż rozbił się w drobny mak. – Dogadamy się inaczej, mam rację? Mogłabym, dla przykładu, zwyczajnie was teraz wypuścić...

– Tak. – Ed przełknął gulę w gardło. – Proszę.

– ...Ale wtedy pozostałabym w takiej samej pozycji jak sprzed naszego spotkania. – Przycisnęła go do piersi tak, że nie mógł oddychać. – Tego także byśmy nie chcieli, czyż nie?

Odsunęła go od siebie, by odpowiedział. Chłopak szarpał się w jej objęciach. Tłukł ją pięściami po ramionach i kopał w pizczcele, ale ciało Zimy było twarde jak kamień, więc to jego dłonie i nogi cierpiały bardziej.

– Puść mnie! – darł się. – Wiem, że jesteś tu uwięziona!

I przycisnęła go z powrotem. Krzyczał dalej, ale zęby chrzęściły o lodową skórę Zimy, więc słyszał było tylko mamrot.

– Uwięziona – powtórzyła, gdy umilkł. – Prawda. Ale czy wy także nie jesteście teraz w potrzebie? Wystarczy, że pozwolicie mi poznać trochę świata. Pomożemy sobie nawzajem. Zgadzacie się ze mną, Edvardzie?

Chłód zaróżowił mu twarz, spuchnięte policzki przypominały grona malin, ziarnisty szron szkleł się na brwiach. Przed oczami rozpuszczała się czerń, coraz głębsza i głębsza.

Wypuściła go z objęć.

– Tak – wydusił, łapiąc oddech. – Tylko proszę...

– Jeszcze raz – zaznaczyła. – Musisz powiedzieć: Chciałbym.

Chłopiec skulił się, schował głowę w kolanach. Mięśnie stężały w sztywne, bezkrwiste grudy. Zamarzał. Był jeszcze zbyt młody, żeby myśleć o śmierci, ale teraz z pełną świadomością stwierdził, że właśnie umiera. Śmierć jest chłodna.

Z otchłani dobiegł go głos Zimy:

– Czy chcielibyście, Edvardzie, tietäjo, abym zesłała z góry Kolo, oczekując w zamian tego, że-
bym was puściła?

– Chciałbym.

– Tak też się stanie.

Stało się.

Zima rozpięzła się po świetle, a Ed znalazł swój strach.

Gdyby dało się cofnąć czas, Ed wiele rzeczy zrobiłby inaczej. Starłby z twarzy sok po moroszkach, żeby zmylić wuja Manu, kiedy ten przydybał go obok spiżarni. Nigdy nie zbliżyłby się do góry Kolo. A już na pewno znalazłby lepsze wytłumaczenie przed papą, niż to, że wałęsał się przy linii granicznej wioski, za co koniec końców i tak zgarnął cięgi.

Papa był mistrzem we wszystkim, oprócz trafiania w pośladki, stąd Eda zbudził ból w lędźwiach. Ocierając twarz z cienkiej warstwy snu, jaka jeszcze trzymała powieki w zamknięciu, usłyszał, że coś tłucze o dach. Delikatne pykanie, jakby deszczu, którego krople były zadziwiająco miękkie. Zaraz jednak dźwięk został przyćmiony przez śpiew, najpierw dochodzący z daleka, a potem – gdy malec przystanął przed drzwiami – wypełniający chatę aż po samą powałę:

– Bóstwa psiemowiły... Psibiyl sam do ludu Tawali... Psiniół magię z góry Kolooo...

– Juuso! – przerwał mu kobiecy głos. – Stamtąd Pierwszy nie usłyszysz, jak pięknie śpiewasz. Marsz przed posąg!

Dziecko zatupało i odbiegło, a piosenka podążyla za nim, coraz to cichsza, ale wciąż słyszalna na tyle, by na dobre rozbudzić Eda. Podniósł się na sienniku, pozwalając, by okrycie opadło na podłogę. Gruba wełniana płachta. Nie przypominał sobie, żeby się nią przykrywał. Kiedy kładł się spać, było przecież ciepło. Czyżby...?

Zima. Nie był pewien, czy naprawdę ją spotkał. Czy naprawdę czuł na sobie jej dotyk, wilgotny, lepki, nieludzki? Jest tak przecież, że sny czasem przenikają tę ciekłą ściankę, za którą zaczyna się rzeczywistość, i oba te światy mieszają się ze sobą jak w kotle. Tylko co wtedy z jego strachem?

Wystarczył krok poza granice siennika, żeby chłód wsiąkł mu w podszewy stóp. Zrobiwszy drugi, dostał gęsiejszej skórki. Przy trzecim zerwał szatę z wiszącego na ścianie poroża. Czwarty, piąty i szósty zaprowadziły go na zewnątrz, gdzie to, co wziął



za miękki deszcz, sypało się z nieba kuleczkami wielkości ziarenek grochu.

Zapomniał założyć łapci, dlatego wyszukiwał fragmentów drogi, których jeszcze nie przysypał śnieg. Równie dobrze jednak mógłby uprosić wróbla, żeby nauczył go latać. Biel pokryła całą wioskę, od pali okalających pastwisko, po najdalej wysuniętą szamańską chatę. Jej granice wytyczały teraz śnieżne pagórki. Śnieg był wydeptany i śliski, więc Ed parę razy poślizgnął się, machając przy tym rękoma niczym wariat.

Albo niczym Wuj Mano, który toczył teraz nierówną walkę ze śnieżynkami.

– A więc teraz zza pleców, tak? – syczał olbrzym. – O, Edziu. Uważaj, nie da się od tego cholerstwa odpędzić... Wczoraj upała, a dziś coś takiego? Jak wielbię szamana, tak będę go musiał wziąć na spytaki.

Pytanie brzmiało: którego szamana? Drewniany posąg Pierwszego – tietäji, o którym opowiadały legendy – wyglądał na niewzruszonego słowami mężczyzny. Jak zwykle wznosił spojrzenie ku górze Kolo, nieprzejednanie milczący i najeżonymi drzazgami. Jego wcielenia z kolei nigdzie nie było widać.

– Wypatrujesz ojca? – zauważył wuj. – Poszedł wyłowić ładną rybę na ceremonię. Oddany wiosce aż po same czubki palców, co? – Poklepał się po roslym brzuchu, drugą ręką wciąż młócąc powietrze. – Kiedy przyjdzie twoja kolej, to ja wystaram się o sandacza dla ciebie. Ile to jeszcze zostało?

– Miesiąc i pół tygodnia – odparł natychmiast. Niewiele było dni, których wyczekiwał jak tego jednego.

– Mgnienie oka, słowo daję. Odkryłeś już swoje Kiri?

Kiri, największy strach. Na to słowo Ed poczuł chłód w trzewiach. Przed oczami stanęła mu Zima: jej chłodne spojrzenie, ciemne wargi...

– Nie. Jeszcze nie.

Mężczyzna przyciągnął go do siebie i zmierzwił mu czuprynę, aż się najeżyła. Dzieci przestały ganiać wokół statuy i spojrzały na nich wielkimi oczyma. Wuj wyciągnął ku nim wielkie łapska i te rozbiegły się do matek.

– Może twoim największym strachem jest stary Mano? – zaśmiał się do siostrzeńca, po czym dodał poważnie: – Posłuchaj, Kiri różni się od klasycznego strachu. To musi być coś, co spędza sen z powiek. Coś, co ściska gardło. Jeśli dasz temu radę...

– Stanę się prawdziwym mężczyzną – dookończył Ed. Marzył o tym, od kiedy pamiętał, a marzenie to płuło mu głęboko pod żebrami tym mocniej, im bliższe stawały się dwunaste urodziny.

– A jakże! Coś miałem jeszcze powiedzieć... Aha. – Zamknął płatek śniegu w garści. – Nie szepnął ci może ojczulek, o co chodzi z tym kurzem z nieba?

Wszyscy, którzy stali przy posągu, wyglądali na – w najlepszym wypadku – zdezorientowanych. Spośród radosnych dziecięcych okrzyków dało się wyłowić zaniepokojone pomruki dorosłych; szeptali o bóstwach i szamanie, patrząc w trójkątny wycinek nieba, którego jeszcze nie zasłoniły ciemne kłęby.

– To śnieg – wyjaśnił Ed. – Ten sam, który widać czasem na szczycie Kolo. Dzięki niemu chyba się wreszcie ochłodzi. Chyba.

To samo przekazał później mieszkańcom wioski tietäjä, starzec o twarzy sękatej jak Pierwszy i wąskim pasku ust, schowanym w gąszczu białej brody. Użył oczywiście innych słów, jednak zasadnicza treść pozostała taka sama: w najbliższym czasie nie należy obawiać się słońca.

– Twoja to wola, Naznaczony? – spytała jedna ze zgromadzonych kobiet. Płatki śniegu opadały na jej krągły ciążowy brzuch i wsiąkały w materiał. – Przyniosłeś dar ze świętej góry?

Przez całe przemówienie starzec patrzył na statuetkę; kiedy jednak kobieta zadała pytanie, przeniósł spojrzenie na tłum i Ed odniósł wówczas wrażenie, że patrzy prosto na niego. Ciemne oczy, osadzone głęboko wewnątrz czaszki zdawały się mówić: „Byłeś tam! Czy to, co przyniosłeś, okaże się dobre?”.

– Dar ten należy przypisać Pierwszemu – odparł szaman. – Duch jego stanął u szczytu Kolo i zesłał ludowi Tawari to, czego w danej chwili potrzebował. Radujmy się więc i podchodźmy do tegoż podarku z ciekawością, aniżeli przestraszem.

Na tym przemówienie się skończyło. Tietäjä ruszył w kierunku chaty o kopulastym kształcie, nie spuszczając wzroku z Eda, aż nie zniknął za drzwiami. Zgromadzeni rozeszli się, na własną rękę sprawdzając, czym jest podarunek od Pierwszego: lizali go, wcierali w skórę, gnietli w dłoniach.

Wkrótce plac opustoszał i Ed został sam na sam z posągiem. Obydwaj milczeli, ale tylko jeden wyglądał na zatroskanego.

Patrząc na papę wystarczająco długo, dochodziło się wreszcie do wniosku, że jednak jest człowiekiem. Takim z krwi i kości, z sercem schowanym głęboko za mostkiem, z kasztanową czupryną, pod którą pływały zupełnie ludzkie myśli. Choć w ciągu kilku tygodni nieco schudł, wciąż łatwo było pomylić go z niedźwiedziem. Gałęzie w jego dłoniach wydawały się śmiesznie małe, zwłaszcza gdy układał je z taką starannością.

– Wszystko trzeba ułożyć w kształt stożka – mówił. – Widzisz ten patyk? On jest naszym środkiem, musi być stabilny. Pojmujesz?

Ed skinął głową. Pojmował wszystko. Oprócz jednej kwestii, która męczyła go nawet bardziej niż palące uda, przykry skutek siedzenia w kucki.

– Czemu to właśnie my musimy rozpalać ognisko? Powinien to robić ktoś z bliskich tego chłopaka, Jakko. W końcu to jemu jest poświęcona ceremonia.

– Poprosiłem jego rodziców, żebyśmy my to zrobili. Musisz się nauczyć rozpalać ognisko.

– Przecież potrafię!

– Płomyczek, który rozpalisz tydzień temu, jest obrazą dla wszystkich ognisk tego świata.

Gdyby Ed był mężczyzną, mógłby się z nim o to kłócić, a tak mruknął tylko:

– Po co mam się uczyć, jak rozpalać ognisko, skoro ty możesz to robić?

Ojciec spojrzał na niego z ukosa.

– Mam być twoim sługą? – spytał, a Ed wyobraził sobie mężczyznę w tradycyjnej kobiecej szacie i prychnął ze śmiechu.

– Do samej śmierci!

Papa machnął ręką, co znaczyło, że żarty skończone. Zebrał chrust w kupę i uformował zeń gniazdo. Sięgnął po podłużną szczapę i nagle się zatrzymał. Zważył drewno w dłoni, przejechał kciukiem po chropowatej powierzchni. Odrzucił polano za plecy i chwycił kolejne. Miał brzydką zwyczaj, by nie mówić od razu, w czym tkwi problem. Najpierw zastanawiał się samemu, gniotąc go w myślach, aż ten samoistnie nie opuszczał czaszki.

– Szczapy złapały wilgoć – powiedział wreszcie, kiedy za plecami piętrzył się stos drewna. – Puszczą... – Rozkaszał się. Od paru tygodni nic tylko kaszłał. – Po wsadzeniu do ognia puszcza wodę i zaczną syczeć. Trzeba pójść po nowe.

– Dobrze – odparł Ed. Zdążył się znudzić, więc okazja do pomocy okazała się wybawieniem. – To zaraz wracam.

Ale ojciec pokręcił głową i chłopak już wiedział, co zaraz usłyszy. Spuścił głowę.

– Idź po wuja, on zrobi to szybciej. Ty jesteś jeszcze dzieckiem. Za słabym na noszenie tylu szczap – mruknął. – Tak właśnie powiesz.

Papa był mądrym człowiekiem i właśnie dlatego nie próbował go pocieszyć.

– Idź.

I Ed poszedł, dogadując pod nosem Zimie. Ta wbiła szpony w drewno, tylko po to, aby raz jeszcze udowodnić mu, że wciąż jest dzieciakiem. Do ceremonii pozostał miesiąc. Wtedy się z nią rozprawi.

Płomień buchał w rytm muzyki. Bijący odeń gorąc czuli nawet najdalej stojący od ogniska mężczyźni, już spoceni od stukania drzewcami włóczni. Kobiety ukrywały się za ich plecami, uderzając w struny kantele. Powietrze drżało od uderzeń w *noitarumpu* – ceremonialny bęben, obracający się w zręcznych dłoniach szamana.

Chłopak, który stanął przy ognisku, nazywał się Jakko i drżał jak liść. Starął się to ukryć, strzepywał z ramion grube grudy śniegu i pociągał nosem, ale nikt nie miał wątpliwości, że dygocze ze strachu, nie z zimna. Był obwieszony po czubek głowy, mimo to wciąż objuczali go kolejnymi płachtami i zapasowymi tkaninami.

Nóż *puukko* podał mu ojciec, tyczkowaty mężczyzna z długimi włosami barwy pnia sosny. Chłopak wpatrywał się w ostrze pustym wzrokiem. Ed widział w swoim życiu wiele podobnych ceremonii, ale jeszcze nigdy nie czuł się z tym tak źle.

– Wróci – wyszeptał do niego papa. To były typowe słowa otuchy, które miały wybić Edowi z głowy myśl, że on sam może przegrać w starciu z Kiri i tym samym pozostać dzieckiem już na zawsze. Tego wieczoru jednak nie martwił się o siebie.

Bębnienie ustało, więc dało się słyszeć wyłącznie cichą melodię, wygrywaną na kantele. Tietäjä podszedł do posągu Pierwszego, przejechał ręką po drewnianym udzie, po czym stanął naprzeciw Jakko.

– Twoje Kiri – rzekł. – Niech Pierwszy je usłyszy.

– To dzikie ziemie, Naznaczony – odparł chłopak drżącym głosem. – Tam... Tam, gdzie żyją bestie o pękatych brzuszyskach, w których zmieści się tuzin dorosłych ludzi.

Wystawił rękę, a szaman chwycił go za nią i zaczął wodzić kciukiem po jej wewnętrznej stronie. Mężczyźni uderzali włóczniami o ziemię, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zamarli w bezruchu. Tietäjä zamknął w dłoni palec wskazujący Jakko tak, że widoczny był tylko opuszek. Wbił w niego drzazgę.

– Posiadłeś fragment Pierwszego – przemówił. – Będzie cię strzegł w walce z największym strachem. Zgładź go razem z dziecięcą naturą, a wtedy przyjmiemy cię z powrotem, byś zasiadł u boku mężów. – Puścił palec. – Bądź zdrow.

– Bądź zdrow! – zawtórowali mu mężczyźni. Znów niósł się rytmiczny stukot. Szaman sięgnął po bęben, kobiety uderzyły w struny. – Bądź zdrow!

Śnieg skrzypiał pod stopami Jakko, gdy ruszył ku granicy wioski, odprowadzany radosnymi okrzykami. Ognisko zapłonęło jeszcze mocniej

i sypało złocistymi skrami, toczącymi walkę z płatkami śniegu. Ludzie pozdrawiali chłopaka jeszcze długo po tym, jak zniknął za horyzontem, a świeży puch zasypał jego ślady.

Ed przecisnął się między roztańczonymi ciętami i wreszcie dotarł przed posąg. Usiadł i oparł się o cokół. Próbował odetchnąć, koncentrując się na muzyce, ale z marnym skutkiem – myśli huczały mu w głowie głośniejsze od bębnow i kantele. Spojrzał na Pierwszego i w tym samym momencie usłyszał cienki głos, dochodzący jakby z sękatych ust.

– Tylko parę miesięcy... – załkał.

Ed wspiął się na cokół i tam, schowaną za posągiem, zobaczył matkę Jakko. Leżała u drewnianych stóp. Płakała.

– Jak on ma się przeprawić przez to zimno, ten chłód? Nie mogłeś zaczekać...? – Nie zauważyła Eda, a ten niemal przeprosił, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Zwykle Tavari kończyli pracę dopiero o zmierzchu, jednak tego wieczoru od dawna oddawali się przyjemnościom. Podarunek od Pierwszego był ciekawszy od rycia w twardej ziemi. Pomarańcz słońca rozlewał się miękko po zasłanych śniegiem polach jak sok z malin moroszek. Ziarnisty pył skrzypiał pod naporem dziesiątek łapci, bo ludzie biegali tam i z powrotem, chcąc nałapać jak najwięcej śnieżynek.

Ed doszedł do wniosku, że i wuj Mano, i matka Jakko martwią się na wyrost. Ludzie przecież się cieszyli. Przyszło mu do głowy, że kiedy za kilka tygodni, po swojej ceremonii, położy kres Zimie, wszyscy będą mieli mu to za złe.

Nie – jeśli wszystko pójdzie dobrze, nikt nie powinien się dowiedzieć, że w ogóle był na górze Kolo. Nie musiał się kryć, bo nikt go nie podejrzewał.

Nawet papa nie poznał.

– Śnieg, co? – zagadnął Eda, kiedy leżeli już na siennikach. Był zmęczony, chociaż starał się na takiego nie wyglądać. Tuż po ceremonii wyruszył na kolejne polowanie i wrócił do domu jeszcze później niż syn. – Jak myślisz, komu go zawdzięczamy?

– Pierwszemu – odparł sennie chłopak. Gdyby powiedział prawdę, zgarnąłby manto.

Kłamać było i łatwiej, i bezpieczniej.

– Rozsądnie – przyznał papa. – Ale ja tam myślałem, że to dzięki twojej matce. Jej duch spostrzegł nasz pot i wzleciał wysoko, aż po chmury, żeby trochę ich skubnąć.

– Śnieg to kawałki chmur?

– Tak właśnie myślę.

Ed nie odpowiedział. Ułożył się na sienniku i usiłował zasnąć, gdy nagle, jak to w trakcie za-

sypiania bywa, przyszła mu do głowy myśl, której nie potrafił odpędzić.

– Twojej duszy wiatr nie wywieje, prawda?

Cisza. Tak długa, że chłopak pomyślał, że ojciec już śpi. Wtedy jednak słyszałby chrapanie, a tak z kąta chaty dochodził dziwny świst, ni to oddech, ni to charkot, tylko właśnie świst, jakby ktoś powoli wypuszczał powietrze z worka.

– Każdą kiedyś wywieje – odparł wreszcie mężczyzna, a świst niespodziewanie ucichł. – Taka jest kolej rzeczy. Dasz sobie beze mnie radę, jeśli o to się martwisz. W końcu będziesz już mężczyzną.

– Dobrze.

Chwilę później Ed już spał. Śniła mu się kobieta krusząca w dłoniach chmury; powstały dzięki temu sypki pył opadał na całą wioskę, ale przede wszystkim na dach chaty, pod którym spało dwóch identycznie brodatych mężczyzn.

Tylko cud sprawił, że zawieja nie zabrała wioski ze sobą. Ed pamiętał tamtą noc strzępami. Wiatr łomotał w ściany chaty z wyciem, drobny pyłek śniegu przepychał się do środka przez szczeliny między balami. Pachniało lasem i mokrą ziemią.

Podmuchał najpierw uderzył w nadproże, jakby źle wycelował, i dopiero po tym huknął w drzwi. Te otwarły się na oścież i tuman śniegu wtoczył się do środka, wypełniając sobą chatę. Papa zerwał się z siennika. Cienkie płachty juchtu podierały się do lotu i załomotały o ścianę. Para łapci przeleciała tuż nad ramieniem Eda w tym samym momencie, kiedy wiatr zwałił papę na ziemię. Kaszlał, jakby miał wypłuć płuca, jakby śnieg bez reszty wsiąkł w to wielkie ciało, teraz lśniące od kropel wody. Spróbował się podnieść – wiatr rąbnął go w twarz. Ostołił ją dłońmi, krzyknął:

– Stój!

Widział, że Ed zbiera się już z siennika, mokry i dygoczący ze strachu. Syn usłuchał rozkazu. Chciał coś powiedzieć, ale wiatr wypełniał mu policzki po brzegi; ledwie mógł oddychać, a co dopiero buntować się przed ojcem. Gdyby miał przy sobie nóż *puukko*...

Tymczasem papa przywarł do ziemi. Czołgał się po klepisku, przecinając powietrze dłońmi wielkości patelni. Wiatr świszczał z równą siłą co oddech w bezbronnych płucach. Ed schował się pod pledem. Czekał. Kiedy rozległ się łoskot, przestraszył się, że to powała runęła w dół. Zaraz jednak poznał, że szum wiatru przycichł. Teraz dało się słyszeć przede wszystkim donośny kaszel.

Im bliżej znajdował się papy, tym szybciej w jego sercu rósł niepokój. Nigdy nie czuł niczego podobnego i nie wiedział, skąd to pochodzi. Ukłakł przy mężczyźnie i zaczął klepać go po plecach,

ale ten kaszłał i kaszłał, aż wreszcie chyba nie miał już czym, więc zaczął rżęzić.

– Na przyszłość... – wycharczał. Tak cicho, że Ed musiał pochylić się, żeby cokolwiek usłyszeć. – ... w takiej sytuacji masz pod żadnym pozorem nie otwierać drzwi. Jasne?

– Tak.

– Dobrze.

Ale nic nie było dobrze. Zawieja bezustannie goniła po wiosce, a zimno ciągnęło wszystkimi szparami, także tymi przy samej ziemi. Przez resztę nocy nie zmrużył oka. Kiedy czuł, że odpływa, zrywał się z siennika i uspokajał, dopiero gdy słyszał świst, dochodzący z piersi papy.

Palenisko zasypane poczerniałym od popiołu śniegiem. Słoma ze strzech, porozrzucane wiadra i zydle. Powróż zachepiony o posąg, szczątki krosien przed rzędem chat, bale drewna wyzierające przez wyłom w drewnutni.

– Nie sposób zbadać zamiarów Pierwszego co do ludu Tavari – tłumaczył tietjä na tyle głośno, by przekrzyczeć beczenie oszalałych owiec. – Doświadczenia ostatnich dwóch tygodni, podczas których zrozumieliśmy, czym jest dar, oraz wczorajsza zamieć, każą mi myśleć, że oto poddaje się nas próbie.

Przy posągu zebrała się niemal cała wioska. Wszyscy wyglądali identycznie, ubrani w podbite futrem płaszcze i juchtowe buty, które były o wiele cieplejsze niż cieniutkie łapcie. Wszyscy mieli jednakowo zaniepokojony wyraz twarzy.

– Co z naszymi domami, Naznaczony? – spytała niepewnie kobieta, stojąca w pierwszym rzędzie. – Wiatr pozrywał dachy. Gdzie będziemy spać?

– Tkaniny na nowe ubrania przemokły do cna – odezwał się głos z drugiego końca. – Zaczyna brakować warzyw. Ziemia jest zbyt twarda, żeby coś z niej wyrosło.

– Co możemy zrobić, Naznaczony? Co robić, żeby to przeminęło?

Nigdy wcześniej nikt tak otwarcie nie zwracał się z prośbą do szamana. Ceniono jego mądrość i wierzano, że jeśli dostrzeże problem, sam poddyktuje ludowi jego rozwiązanie. Ludzie w tej nowej sytuacji czuli się nieswojo; spuszczali wzrok i przyciskali dłonie do piersi.

Ed czekał na odpowiedź szamana podobnie jak reszta, z tą różnicą, że oni nie musieli znosić jego ciężkiego spojrzenia. Te dwie głęboko osadzone bryłki onyksu przewiercały go na wylot, mimo że schował się za plecami wuja Mano.

Jeśli tietjä chciał mu w ten sposób przekazać wiadomość, że odpowiada za cierpienie tych ludzi, to spóźnił się o całą noc. Ed nie tyle nie chciał, co zwyczajnie nie potrafił już myśleć o niczym

innym niż o pokonaniu Kiri. Ale potrzebował do tego noża *puukko*, a papa mógł mu go przekazać dopiero w dzień jego dwunastych urodzin.

Dwa tygodnie.

– Pokażmy Pierwszemu, że jesteśmy godni, by nazywać nas ludem Tavari – ogłosił wreszcie szaman. – Przygarnijmy tych, którym zabrano dachy. Rozpalmy ogniska i wspólnie wysuszmy, co przemokło. Poszukajmy roślinności nie pod stopami, a na linii oczu. Tak bowiem udowodnimy, że łączą nas więzy, których próżno szukać wśród innych ludów północy. Wtedy...

Urwał nagle, odrywając wzrok od chłopaka. Teraz patrzył ponad głowami zgromadzonych. Na coś, czego wioska nie widziała od dziesiętek lat.

– Niedźwiedź! – ryknęła kobieta z pierwszego rzędu. Tłum w jednej chwili zageścił się i zbił w żywą, przestraszoną masę.

Oprócz grubych zasp śniegu wszędzie leżały kupki słomy z zerwanych strzech. Te pierwsze skrzypiały pod ciężarem łap, drugie wzbijały się w powietrze, chłostane pazurami. Zwierzę przebiegło wzdłuż rzędu chat, rycząc jak opętane. Zakreśliło przy palenisku i zatrzymało się naprzeciw ziemianki, w której składowano zapasy. Próbował sforsować drzwi. Pazury zachrzęściły o bale. Raz, drugi, trzeci. Kilka odłamków drewna wystrzeliło w powietrze, ale budynek stał twardo.

Niedźwiedź odwrócił łeb w kierunku tłumu; pysk lśnił od drobinek śniegu, w oczach płonął gniew. Kiloro mężczyzn ruszyło powoli ku intruzowi. Bez broni, bo tradycja nakazywała, aby na czas spotkania zostawić ją w chatach. Niedźwiedź stanął na tylnych łapach i ryknął, jakby przygotowując się do ataku. Zaraz jednak opadł, obrócił się i puścił z powrotem do lasu.

Nie było mowy o kontynuowaniu spotkania. Kobiety przytulały wystraszone dzieci, mężczyźni spinali mięśnie, tworząc zapory oddzielające ich rodziny od fali poruszonego nagle tłumu. Wuj Mano przycisnął siostrzeńca do brzucha i burknął pod nosem: – Twój ojciec by mi nie wybaczył... Za mną, zanim coś ci się stanie. – Ale Ed wiedział, że to COŚ już się stało. Nie tylko jemu, ale całej wiosce. Przepychając się przez tłum, czuł na sobie wzrok tietjä, słyszał zawodzące dzieci i ciskających klątwy mężczyzn.

Co ja najlepszego narobiłem?

Dwa tygodnie.

Nie przewidział jednego: że świat skończy się jeszcze przed upływem tygodnia. Huk rozdarł niebo i zawisł ciężko nad wioską. Ryk góry Kolo.

Malce upadły na siedzenia, rozsypując rozmokły owies. Ich matki zmięły materiał w palcach i zwały krosna na ziemię, przestały dłubać

w śniegu i wyrzuciły puste koszyczki. Ojcowie cisnęli pasterskie laski w ślad za zwierzętami, schowali strzały do kołczanów i puścili się doliną ku wiosce.

Zwały śniegu, dotąd utrzymywane przez ściany co wyższych domostw, zaczęły się osuwać i uderzały ciężko o ziemię. Niektóre domostwa zasypało śniegiem tak, że spod kopców dało się dojrzeć wyłącznie drzwi – małe lufciki w bieli, przez które wybierali ludzie.

– Szufl...! – krzyknął jeden z szuflujących, którzy stali na głównym placu, kiedy wpadła na nich rozjuszona gawiedź. – Chodu!

Ed wypuścił szufle z rąk. Patrzył na górę Kolo jak w transie. Jej zbocza to falowały, to puchły, buchając białymi tumanami. Ze szczytu odrywały się wielkie bloki śniegu, pokrywa rozpadała się w oczach...

Tyle zdążył zobaczyć, nim tłum porwał go i zapędził pod pomnik.

Ktoś wbił mu łokieć w twarz, ktoś popchnął go prosto na czyjeś plecy. Śmierdziało potem, zwierzęcym łojem i gorzkimi ziołami. Miał nadzieję, że wypatrzy papę. Przed oczami migwały mu dziesiątki pleców, ale żadne nie pasowały do tych ojcowskich: wciąż pękatych, ale tylko dzięki łopatom, bo mięśni papa nie miał już prawie wcale.

Tłum stanął wreszcie w miejscu, nie przestał jednak wymachiwać rękoma.

– Próba! – krzyczał męski głos. – Żadna próba! To wyrok!

– A tak! – zawtórował mu kobiecy, z przeciwnej strony. – Całą noc myśmy w niebo patrzyli. Jedynie ślepy nie zauważyłby, jakie ono brzydkie, pomarszczone ze złości...

– Siłować się z bóstwami! – Do okrzyków stopniowo dołączały kolejne, teraz dochodziły z całego placu. – Niech nas zabiją od razu, po kiego się męczyć! Wyłaż, tietäjo!

Ciżba rozstała się na widok szamana, nie szczędząc mu obelg. Starzec puszczał to mimo uszu. Stanął w sąsiedztwie pomnika i – zupełnie jak tenże – milczał dłuższą chwilę, wpatrzony w szczyt góry.

– Nacelnym zadaniem tietäji jest sprostać oczekiwaniom nie bóstw, a ludzi, którym przewodzi... – zaczął, ale zagłuszył go gniew ludu:

– To koniec, Naznaczony! Dzieje ludu Tawari skończyły się, kiedy przemówiła góra. Wszyscyśmy słyszeli jej ryk, tylko czekać, aż śnieg...!

– Pomówię z niebianami! – zakrzyknął szaman. – Wejdę na górę Kolo i wyblagam na nich ostatni gest łaski, choćby skazano mnie za to na wieczne milczenie.

Najpierw ucichli i zaczęli opuszczać wniesione gniewnie kulaki, później spoglądali na siebie, równie zdumieni, co rozluźnieni niespodziewaną

nadzieją. Ed wiedział jednak, że to jeszcze nie koniec przemowy.

Szaman otworzył usta w tej samej chwili, kiedy on zamknął oczy.

To już. Tietäjä zaprosi go na sam środek i na oczach wszystkich wypędzi z wioski za to, że sprowadził na nią nieszczęście. To już...

– Zgodnie z tradycją – zabrzmiał ciężki głos – na towarzyszącego mi śmiałka wybieram... Edvarda, syna Esry!

Ed nie miał czasu na zdziwienie. Tłum rozstał się przed nim zaraz po słowach szamana, a wyrastające zeń setki dłoni, wypchnęły go przed pomnik. Upadł kolanami w śnieg. Nim zdążył się podnieść, usłyszał czyjeś krzyki:

– Edziu! – Wujek Mano. Tylko on tak go nazywał. – Tak mi przykro, Ed... Ostrzegałem go, ale on...!

Z tej perspektywy mógł zobaczyć tylko szamana. Jego twarz spięła się: zupełnie siwe, krzaczaste brwi złączyły się nad rozeźlonym spojrzaniem. Pokrzykiwania Mano ucichły jak nożem uciął. Kiedy Ed wstał i obrócił się do tłumu, wuj już na niego nie patrzył – biegł co sił w kierunku chat. Krzyczał:

– Ładujcie co potrzebniejsze rzeczy do tobołów! Jeśli ci dwaj nie wrócą, wyruszamy do sąsiednich ludów!

Świat naprawdę się skończył.

– Przecież mówię, że potrzebuję drzazgi i noża *puukko*!

Mógł tak zdzierać gardło przez cały dzień, a tietäjä i tak nic by sobie z tego nie zrobił. Oprócz nadludzkiej cierpliwości starzec miał jeszcze potwornie silny chwyt. Z początku Ed próbował się wyrwać, ale zaciśnięta na kołnierzu płaszczka dłoni nawet nie drgnęła, więc dalej szedł potulnie jak baranek.

– Noża *puukoo*, słyszysz? Bez niego sobie nie poradzę. Nie przeciwko Kiri. Naznaczony akurat powinien to wiedzieć.

Głos drżał mu identycznie jak całe ciało. Strach lubi obezwładniać, a Kiri robi to najlepiej, bo najgłębiej siedzi w człowieku. Dłonie, uda, nos – Ed bał się całym sobą i chociaż zimno zabarwiło mu twarz na kolor płomienia, miał wrażenie, że taszczy w płucach ogromną krę lodu.

Znaleźli się pośrodku bieli. Do góry pozostał kawałek, ale wioska wyglądała już z tej odległości jak zbiór ciemnych kwadratów. Szaman puścił wreszcie Eda. Ten odskoczył do przodu i wpadł po pas w śnieg.

Tietäjä nie próbował mu pomóc.

– Tutaj zaczyna się załom – stwierdził. – Odtąd, aż po samą górę, na drodze leży blisko pół metra śniegu. Dalej więc krocysz sam.

– Niby jak? – Edowi udało się jakoś wspiąć z powrotem na podwyższenie terenu. Śnieg wpelzł mu pod ubranie i tajał na skórze; poły szaty przemokły do suchej nitki.

– A jaki miałeś zamiar, zanim zmusiłem cię do naprawienia swoich błędów? Zdawało ci się, że Naznaczeni potrafią latać niczym ptaki?

– Nie jestem Naznaczonym – odburknął. – Poza tym powinienem mieć ze sobą fragment Pierwszego. On by mnie poprowadził.

Szaman westchnął i pokręcił głową. Zsunął płaszcz, rozsypał linkę, którą przytroczył sobie jakiś przedmiot do pleców. Rzucił to coś pod stopy chłopaka.

Była to para jednakowo wygiętych gałęzi jesionu z płataniną skrzyżowanych ze sobą sznurków. Starzec nazwał ją *lumikengät* – raketami śnieżnymi.

– Prezent od twojego papy – rzucił. – Pozwoli ci nie powtórzyć sytuacji sprzed chwili, ale o tym przekonasz się już bezpośrednio na drodze. – Po czym nakazał chłopcu położyć stopę na fragmencie garbowanej skóry i przywiązać ją do niej rzemieniami.

– Od papy...? Dalej nie mam noża ani drzazgi!

– Nie osiągnąłeś odpowiedniego wieku. Nie masz prawa dzierżyć noża *puukko*, nie mówiąc już o powierzeniu ci fragmentu Pierwszego.

– Ale... – Zgniół w dłoniach kupkę śniegu. – To przecież Kiri!

Szaman naciągnął płaszcz tak, aby pełnił funkcję kaptura, osłaniającego głowę przed śniegiem, który właśnie zaczął sypać z nieba. Niepotrzebna już linkę owinął wokół pasa i stuknął butami o ziemię. Ed pojął, co się dzieje.

– Gdzie idziesz?! – krzyknął wystraszony. – Zostań. Przepraszam za to, że naraziłem wioskę na niebezpieczeństwo. Chciałem tylko... Ja...

– Ja, ja, ja... – przerwał mu. – Któż inny ma to naprawić, jeśli nie ty? Nie zdołam już wspiąć się na górę, nawet gdybym chciał. Jesteś kolejnym Naznaczonym, chociaż obydwoje życzylibyśmy sobie, aby było inaczej.

– Naznaczeni mogą walczyć z Kiri gołymi rękoma? – Ed nic już nie rozumiał.

– Posiadanie noża *puukko* w walce to luksus. Życie roi się od różnych strachów, wiele potężniejszych od Zimy i jakiegokolwiek emanacji, którą można by ugodzić ostrzem. Pokonanie tych największych – Kiri – mogłoby się nie powieść bez zewnętrznej pomocy, a nawet z nią zadanie to jest wystarczająco trudne. W porównaniu z nimi Zima jest straszylłem o wielkich oczach, z pazurami ostrymi na tyle tylko, żeby podrapać – nie skaleczyć.

I odszedł. Wkrótce po nim ruszył także Ed. Śnieg skrzypiał pod raketami, niegroźny.

Pełził po zboczach, pomagając sobie rękoma i pilnując, by przypadkiem nie zamknąć ust. Poza gardłem bolały go zgrabiące palce i odsłonięty tors; zgubił bowiem po drodze fibulę, przez co wiatr dał w szatę niczym w żagiel. Ze wszystkiego najbardziej drażniły go wargi. Piekły tak nieznośnie, że niemal przejechał po nich językiem, ale czujny powstrzymał się w ostatniej chwili.

Przywarł do ziemi i obejrzał się za siebie. Śnieg sypał gęsto, przez co wioska wyglądała mętnie. Tavari, ledwie dostrzegalne kreski, to wybiegali z chat, to wracali do nich, z dala od zimna, które dybało na ich chudoby. Chciał się obrócić, by dojrzeć więcej, ale w tym samym momencie przemknął mu przed twarzą gruby blok śniegu.

W dolnej partii droga nie była taka zła, o niewielkim, ale ciągnącym się w nieskończoność przewyższeniu. Mimo to stawiał kroki ostrożnie. Stabilnie wyglądające platformy mogły okazać się kruchą zaspą – pod mocno ubitym puchem czał się śliski lód. Im dalej, tym więcej rzeczy usiłowało mu przeszkodzić. Pokrywa śnieżna pękała z chrzęstem. Karple skrzypiały pod ciężarem ciała. Wiatr przybrał na sile i gonił z wyciem wzdłuż zbocza.

To był teren Zimy, nie Eda. On sam mógł tylko piąć się w górę, krok za krokiem, bez możliwości odwetu. Był zdany tylko na siebie.

I może właśnie dlatego dorwała go daleko przed wywierzyiskiem.

Dostrzegł ruch na szczycie góry, jakby coś próbowało wygrzebać się spod warstwy puchu. Nie wygrzebało się jednak, tylko zaczęło sunąć wzdłuż zbocza, schowane pod kozuchem. Góra drżała. Biel marszczyła się i rwała jak skóra na żywym organizmie. Śnieg odrywał się od grani i spadał na stok grubymi płatami. Znikąd wyrastały garby, widzialne tylko przez ułamek sekundy, bo zaraz puszczały się w dół, zostawiając za sobą ziarniste tumany.

Huczało. Ed nie był tylko pewien, co bardziej – jego serce czy lawina, która za kilkanaście sekund zabije go i przysypie ciało chłodem, wraz z wioską leżącą u podnóża góry.

Chwycił się mocniej za wyzierający spod śniegu rant skały. Zamknął oczy i wziął dech. Powietrze było rześkie. Takie, że chciałoby się go posmakować. Mimowolnie oblizał wargi; język dotknął wiszącej u kącika śnieżynki. Na ostatnią czynność swojego krótkiego życia Ed wybrał przetarcie oczu ze skroplonych na powiekach płatków śniegu.

Huk ustał.

Ed otworzył oczy. Uśmiechnął się.

Lawina zastygła w kształcie fali morskiej, której grzbiet wisił wysoko nad jego głową. Otrząpał

się z puchu i cofnął kilka kroków w dół zbocza, aż mógł spojrzeć na lawinę w pełnej okazałości. Przypominała rozwartą paszczę. Z górnej krawędzi, tuż nad podłużnymi wgłębieniami, które wziął za nozdrza, łypały rozeźlonym wzrokiem dwie śnieżne kule.

– Czyli jednak miałem rację – powiedział, a lawina złączyła nagle obydwie szczęki i zazgrzytała lodowymi zębiskami.

– W czym? – odparła lodowatym głosem Zimy. Próbowала go capnąć, ale nie mogła poruszyć się dalej, niż pół kroku od miejsca, w którym została wezwana. – W czym mieliście rację, tietäjo?

Zasyczała z bólu, kiedy Ed kopnął wolno leżącą bryłkę śniegu.

– Mówiłem, żebyś nie nazywała mnie tietäją – warknął, a że syk sprawił mu satysfakcję, wywołał kolejny. – Jakiś czas temu przekonałem się, że samo połknięcie drobinki i przetarcie oczu nie wystarczy, by cię wezwać. Musi to być specyficzny płatek śniegu, pochodzący ze szczytu góry Kolo. Podobnie jest z wodą, z której trzeba się przetrzeć – można wylać na siebie cały dzban rosy, ale ty i tak będziesz czekała na te kilka kropel z wywierzyska.

– Pisklę będzie mnie pouczać! Potrzeba wam eonów, abyście... – Wybrzuszyła się po ropuszeniu, więc Ed wbił piętę głęboko w śnieg. – Skąd wiedzieliście?

– Nie wiedziałem. Miałem po prostu nadzieję, że przetocysz się przez wywierzysko. Jesteś marnym straszakiem, w dodatku głupim.

Zaczęła ujadać. Kłęby pary wodnej wychodziły jej spomiędzy kłów. Kule śniegowe kręciły się na wszystkie strony, jakby chciały wyrwać się z oczodołów.

– Nie pozbędziecie się mnie – powiedziała wreszcie. – Zbyt osiadłam w świecie, aby mnie wytepić. O ileż dla niektórych stanowią zagrożenie, dla reszty jestem już niezastąpiona. Nie wyrwiesz mnie ze świata, choćbyś każdą drobinę zbierał jak żyto.

Ed obejrzał się na wioskę i nagle poczuł się bardzo mały. Cała ludność zgromadziła się przy pomniku i patrzyła w kierunku góry. Patrzyła na niego, widzialnego z tej odległości nie bardziej niż włos na ubraniu, a jednak trzymającego ich życia w garści. Czy to właśnie oznaczało być naznaczonym?

– Czego chcesz w zamian za Tavari?

Lawina rozstała się z trzaskiem i w powstałej wyrwie wyrósł dwumetrowy posąg kobiety. Im większa stawała się rysa na jej piersiach, tym więcej było widać spod niej chorej, niebieskiej skóry. Wreszcie kokon rozpękał się zupełnie i kostropate palce Zimy objęły chłopięcy podbródek.

– Czego? Górnej części ładów. Tam, gdzie biegnie linia rozcinająca mapę świata w pół – tam

leżeć będzie granica, której przekroczyć nigdy nie będę w stanie. Północ skuje lód, południe zaś będzie od niego wolne.

Edvard upewnił się, że Zima na pewno nie zasypie wioski. Gdzie północ, gdzie południe, nic go nie interesowało, tylko ta niewielka połać terenu u podnóża góry miała znaczenie.

– Śniegu doświadczycie wiele więcej niż słońca, jednakże o lawinę możecie być spokojni – odparła kobieta. – Bowiem przetaczać się będzie zawsze zboczem przeciwnym do tego, na który spoglądacie. Chcecie tego, Edvardzie, Naznaczony?

– Chcę.

– Tak też się stanie.

Szaman czekał niedaleko wejścia do wioski, schowany pod drzewem. Na przybycie Eda, zziębniętego i przemoczonego do suchej nitki, zareagował skinieniem głowy. Z kolei na wieść, że śnieg już zawsze będzie częścią życia ludu Tavari, odpowiedział krótko:

– I śnieg, i deszcz, i słońce – wszystko jest dziełem Pierwszego. Darem, do którego trzeba przywyknąć i zrobić zeń użytek.

Ledwie przekroczyli granicę wytyczoną podłużną zaspą, rozległ się potężny huk. Lawina, która jeszcze kilka minut temu ostrzyła sobie zęby na wioskę, teraz skuliła się w kłęb i pociągnęła zboczem ku szczytowi. Opatuliwszy grań śnieżnobiałą koroną, łyknęła jeszcze na lud Tavari i zniknęła za spiczastą krawędzią.

– Przyjdź do mnie, kiedy uporasz się z Kiri – powiedział sucho tietäjä, gdy echo ucichło, zastąpione okrzykami radości. – Będziesz się szkolił.

Rozdzielili się dopiero na placu. Szaman ruszył na spotkanie ludziom, którzy tańczyli, wyrzucając w powietrze zawartość swoich tobołów, chłopak poczłapał w stronę chaty. Marzył o ojcowskich ramionach.

Przy chacie czekał Mano. Ed pomachał mu z daleka, ale tamten nie odpowiedział. Ed przyspieszył, z każdym krokiem coraz dokładniej widział twarz wuja. Czoło brudne, wymalowane ciemnymi smugami, niemyte przez cały dzień. Oczy zwężone do małych szparek. Szybciej, szybciej. Policzki także zabrudzone, ale znacznie mniej, bo przecięte słupami zaschniętych łez. Wolno, wolniej, z dala od tych paskudnie wygiętych ust, z dala od słów, które z nich wychodzą.

– Chciałem ci powiedzieć wcześniej, jeszcze zanim poszedłeś, ale... Ed, tak bardzo cię przepraszam. On dbał o wioskę bardziej niż ktokolwiek. Nawet teraz, kiedy wychudł, wychodził, żeby cały dzień patrzeć, czy śnieg na górze nie stanowi zagrożenia... Słyszałeś, jak szumi mu w płucach. Edziu, możesz go zobaczyć, ale majaczy. Ed...

Mano podał nóż *puukko*, a tietjä wbił mu drzazgę w prawe przedramię. Tylko tam, prócz ramienia, nie było śladów oparzeń, tylko tam skóra wciąż miała kolor skóry. Dłoń wyglądała najgorzej, w niczym nie przypominała tej, którą zacisnął na szyi Lata. Nie licząc ręki, oddał mu jeszcze dolną część globu. Wszystko za garść promieni słonecznych, które miały leczyć, ale nie uleczyły. A przecież rozpalili ognisko, jak uczył papa.

– Nie potrzebujesz tego, Ed – powiedział wuj. – Już jesteś mężczyzną.

Chłopak ucisnął mu dłoń i powlókł się z powrotem do chaty. Największych strachów nie da się po prostu pokonać, trzeba nauczyć się z nimi żyć. Tylko jak żyć z obawą, że świat naprawdę może istnieć bez człowieka, który był najlepszy?

JAKUB KOZAKIEWICZ



Urodzony w 2002, były student UWR, z wykształcenia dziennikarz, z powołania popkulturowy łakomczuch. Laureat konkursu „Copperpunk” za opowiadanie fantastyczne. Czeką na publikację w antologii „Fantazmaty V” Grupy Wydawniczej Fantazmaty.

MIEJSCA W SIECI:

Facebook: <https://www.facebook.com/profile.php?id=100083071582904>



Wydawnictwo Limitless Mind Publishing

Weź do ręki swoją książkę już w tym roku!

Wydawnictwo z Duszą z siedzibami w Polsce i UK.

Wydajemy książki na całym świecie na warunkach, jakich nie znajdziesz nigdzie indziej!

Poczuj to... Wchodzisz do ulubionej księgarni.

Twoje serce bije szybciej.

Wśród setek tytułów – jest. Twoja książka.

Z Twoim nazwiskiem na okładce.

Dotykasz jej. Czujesz fakturę papieru. To nie sen. To Twoja historia. Poza miejscem i czasem. Pomagamy zamieniać marzenia w dzieła.

Wspieramy autorów, którzy chcą zostawić po sobie coś więcej:

- książki rozwojowe, duchowe i inspirujące;
- poradniki, które mają realny wpływ na czyjeś życie;
- edukacyjne i rekreacyjne książeczki dla dzieci;
- autobiografie, historie z sercem, beletrystykę z przekazem.

Zatroszczymy się o Twoją książkę z pełną starannością:

- redakcja, korekta, okładka, skład, publikacja, promocja;
- dystrybucja do największych księgarni w Polsce i na świecie – **Empik, Amazon;**
- wsparcie jak od przyjaciela – na każdym etapie, z pełnym szacunkiem dla Twojej wizji;
- grupa wsparcia autorów – bo twórczość potrzebuje przestrzeni i wspólnoty;
- **70% zysku** – bo to Ty jesteś twórcą i zasługujesz na więcej;
- głos w każdej decyzji – bo to Twoja książka.

Odezwiń się. Opowiedz nam o swoim pomysle: kontakt@limitlessmindpublishing.com
Nie odkładaj tego na „kiedys”. Prawo przyciągania działa nieustannie. To, że tu jesteś, nie jest przypadkiem. A Twoja książka czeka na Twój ruch.

REMIGIUSZ MRÓZ „O PISANIU NA CHŁODNO”

KSIAŻKA, KTÓRĄ WARTO ZNAĆ

REDAKCJA:

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

W dziale ZACZYTANE W REDAKCJI postaramy się zaprezentować książki, które coś wnoszą – inspirować, poszerzać horyzonty, a czasem pozwalają spojrzeć na literaturę od kuchni. Tym razem padło na „O pisaniu na chłodno” Remigiusza Mróza. Przyznam: nie przeczytałam jej, tylko ją odsłuchiwałam. I muszę dodać, że była to jedna z tych lektur, które otwierają nowe drzwi – bo właśnie dzięki tej książce sięgnęłam po „Behawiorystę”. A to pokazuje, że Mróz potrafi nie tylko opowiadać o pisaniu, ale i skutecznie zachęcać do swojej beletrystyki.

Poradnik, autobiografia i opowieść w jednym

Ta książka to nie jest typowym poradnikiem, gdzie autor sucho wylicza reguły i zasady. To raczej mieszanka refleksji, doświadczeń, osobistych wtrąceń i wskazówek warsztatowych. Mróz łączy trzy elementy: zdradza kulisy swojego pisania, podsuwa praktyczne porady pisarzom i redaktorom oraz – co z pewnością ucieszy jego fanów – przemycia krótkie, często jedno- czy dwuzdaniowe wzmianki o fabułach swoich książek. Takie migawki pełnią podwójną funkcję: z jednej strony stanowią ilustrację omawianego tematu, a z drugiej – delikatnie zachęcają, by sięgnąć po kolejne tytuły.

Pisarze – cierpliwości!

Jednym z mocniejszych akcentów w książce jest temat cierpliwości. Mróz bardzo wyraźnie tłumaczy, że pisanie to proces, a nie sprint. Wielu początkujących marzy, by książka była „na już” – wydana, dopieszczona, dostępna w księgarniach. Autor rozwiewa te złudzenia, pokazując krok po kroku, dlaczego każdy etap wymaga czasu i dokładności. To fragment, który dla debiutujących pisarzy może okazać się najcenniejszy – bo nie tylko podnosi na duchu, ale i uzbraja w świadomość, że sukces rodzi się z cierpliwości i pracy, a nie z pośpiechu.

Tradycyjne wydawnictwo – jak to wygląda naprawdę

Kolejny wątek, na który warto zwrócić uwagę, to opis drogi do tradycyjnego wydawnictwa. Mróz nie tylko daje wskazówki, jak próbować przebić się z własnym tekstem, ale też dzieli się swoją historią. To nie jest sucha teoria, lecz bardzo osobiste spojrzenie na proces, w którym liczą się nie tylko jakość samej książki, ale też wytrwałość i determinacja. Dla autorów marzących o kontrakcie z dużym wydawnictwem to fragment niemal obowiązkowy – bo daje realistyczny obraz tego, co może czekać po wysłaniu pierwszego manuskryptu.

Co znajdzie pisarz?

Rozdziały dotyczące planowania fabuły, tworzenia postaci czy zarządzania czasem to prawdziwa skarbnica wiedzy dla autorów. Mróz mówi konkretnie, z perspektywy praktyka. Nie narzuca jedynej słusznej metody, ale pokazuje, jak sam doszedł do własnego systemu, który pozwala mu



Źródło zdjęcia: <https://lubimyczytac.pl/ksiazka/4869413/o-pisaniu-na-chlodno>

Dostępne formaty: papier, e-book, audio.

utrzymywać niesamowite tempo pisania. Ważne jest to, że nie obiecuje cudownych recept – zamiast tego podkreśla, że każdy pisarz musi znaleźć swoją własną drogę.

Co znajdzie redaktor?

Redaktorów szczególnie mogą zainteresować fragmenty o współpracy autora z wydawcą, o oczekiwaniach wobec redakcji i o tym, jak Mróz postrzega poprawianie tekstu. Dzięki temu łatwiej zrozumieć, czego pisarze potrzebują od redaktora, a w których momentach chcą mieć przestrzeń dla własnych decyzji. Dodatkowo autor porusza temat krytyki i jej przyjmowania – a to zagadnienie ważne dla obu stron: redaktorów, którzy formułują uwagi, i pisarzy, którzy muszą umieć je przyjmować.

Smaczek biograficzny

Nie sposób pominąć też tego, że książka jest częściowo autobiograficzna. Mróz uchyla rąbka swojej historii – od pierwszych prób literackich aż po drogę na szczyty list bestsellerów. To opowieść o pracy, determinacji, ale też o zwątpieniach, które towarzyszą każdemu twórcy. Dla czytelników, którzy cenią jego książki, to dodatkowa gratka – poznamy autora od innej, bardziej ludzkiej strony.

„O pisaniu na chłodno” to lektura wielowymiarowa. Dla pisarzy – źródło praktycznych wskazówek i lekcja cierpliwości. Dla redaktorów – możliwość zajrzenia w proces twórczy z perspektywy autora i lepszego zrozumienie jego potrzeb. Dla czytelników – okazja, by poznać kulisy kariery jednego z najpopularniejszych polskich pisarzy i spróbować się na sięgnięcie po jego beletrystykę. Dla mnie osobiście była to książka, która nie tylko pozwoliła inaczej spojrzeć na rzemiosło pisarskie, ale też otworzyła drzwi do świata Mroza jako autora powieści – bo od niej trafiłam prosto do „Behawiorysty”.

To pozycja, do której warto wracać – szczególnie wtedy, gdy brakuje motywacji, cierpliwości albo gdy chcemy lepiej zrozumieć, że pisanie to nie tylko talent, ale przede wszystkim ciężka, systematyczna praca.



PRZEPRASZAM

REDAKCJA: PAULINA MIKA

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

Po tacie mam niebieskie oczy, i w zasadzie nic więcej. Ja jestem drugi najwyższy w klasie, a on ma metr siedemdziesiąt w kapeluszu. Ja bez książki nie mógłbym żyć, a on twierdzi, że książki to strata czasu. Ja przychodzę na spotkania co najmniej piętnaście minut przed wyznaczoną godziną, a on nadal się nie zjawia piętnaście minut po niej. Mógłbym do niego zadzwonić, ale dobrze wiem, co by mi powiedział: żebym zamówił sobie „jakiegoś Happy Meala czy coś”, a dla niego wziął tylko „jakąś kawę”, bo jest już po obiedzie. I że zaraz będzie. Chociaż wiem, że wcale go zaraz nie będzie.

Ale mimo to biorę mu „jakąś kawę”. „Nowość w McDonald’s: otul się aromatem rozgrzewającej Cinnamon Latte”. Kasjerka daje mi kupon na jeszcze jedną taką latte, a kiedy pytam, czy mogę go wymienić na coś innego, bo nie lubię cynamonu, patrzy na mnie jak na czubka. Przecież wszyscy lubią cynamon.

Odstawiam kawę na stoliku pod oknem i rozkładam przed sobą mój McZestaw z Big Makiem (jestem już o wiele za stary na Happy Meale, tato). Burczy mi w brzuchu, ale poczekam. Podśledzałem kiedyś program, który mama oglądała w telewizji, o jednym eksperymencie, w którym dzieciaki dostawały słodczyce oraz polecenie, aby przez jakiś czas powstrzymały się od ich zjedzenia. Po iluś latach przebadano te dzieciaki, gdy były już dorosłe. Okazało się, że te, które wykazały się cierpliwością, osiągnęły wielkie sukcesy, a te, które zeżarły wszystko od razu, skończyły pod mostem, czy coś w tym stylu. Nie chcę skończyć pod mostem. Poczekam na tatę.

Dla zabicia czasu czytam sobie książkę, jak zawsze. Właściwie, jak na McDonalda, to całkiem tu spokojnie. Większość stolików jest pusta. W zasięgu mojego wzroku znajduje się tylko jakaś babka, całkowicie pochłonięta swoim telefonem, i jej mniej więcej pięcioletni syn, który umiera z nudów; wierci się, wgapia w sufit i wzdycha. Tak mi go szkoda, że prawie mam ochotę oddać mu swój telefon, żeby pooglądał sobie tiktoki, czy co tam dzisiaj oglądają dzieciaki. Ja tam się nie znam – mam już trzynaście lat. To zupełnie inne pokolenie.

Właściwie to mam dokładnie trzynaście lat, sześć godzin i jeszcze kilka minut. Dzisiaj są

moje urodziny. Mamy z tatą taką tradycję, że zawsze świętujemy je w Macu. Nie najzdrowsza tradycja, wiem o tym. Nawet trochę mam wyrzuty sumienia, jak tak patrzę na tego hamburgera i te frytki, bo zaledwie tydzień temu w mojej szkole odbyły się warsztaty na temat, jak ważna jest zbilansowana dieta i jak samodzielnie przygotowywać sobie niskotłuszczowe i wysokobiałkowe posiłki. Przydatna rzecz. Chyba że ktoś jest tak nisko zmotywowany i wysoce leniwy jak ja. Ale nadrabiam to aktywnością fizyczną, bo lubię grać w piłkę nożną. A przynajmniej udaję, że lubię. I także udaję, że gram. W mojej klasie wszyscy chłopacy grają w nogę. No, poza takim jednym Tytusem Lamusem. Ale wiercie mi, że nie chciałbym brać przykładu z Tytusa.

Za oknem leje deszcz. Właściwie to chyba nawet śnieg z deszczem. Ulica jest zupełnie wydłubiona, nie licząc jedynie podstarzałego obdarta, który jak gdyby nigdy nic gra sobie na trąbce na środku chodnika. Wariat. W tej pogodzie przecież nic nie zarobi. Od samego patrzenia dostaję kataru. Dosłownie. Pociągam nosem co jakieś pięć sekund, a co dziesięć go wydychuję. Aż babka z telefonem na chwilę wznawia odtwarzanie rzeczywistości, by zawołać do mnie: „Hej, nie mógłbyś się wysmarkać w toalecie? Ludzie tu jedzą!”. Chociaż i ona, i jej znudzony syn mają przed sobą tace zasłane wyłącznie pustymi opakowaniami. Pewnie jest zbyt zajęta, by zwrócić na to uwagę.

Mógłbym pójść do toalety, jasne, tyle tylko, że mam taką jakby fobię przed publicznymi kiblami. Nie do końca umiem to wytłumaczyć, ale nawet smarkać bym w nich nie chciał. A poza tym mój tata może się zjawić lada moment. Jak na razie jednak daję o sobie znać jedynie mama: „O której będziesz w domu???”. Co roku organizuje dla mnie głupią imprezę urodzinową, na którą ściąga wszystkie ciotki, kuzynów i wielu innych – co do połowy nawet nie mam pewności, w jaki sposób jestem z nimi spokrewniony. Mama zaprosiła ich dopiero na osiemnastą. Nie ma jeszcze nawet szesnastej, a ona i tak już się denerwuje, że się spóźnię. Szczerze, to ja też jestem trochę zdenerwowany. Po tacie odziedziczyłem niebieskie oczy, a po mamie skłonność do martwienia się nad miarę.



Jestem prawie pewien, że to ona zaszczepiła we mnie tę toaletową fobię.

Mija czas, a taty wciąż nie ma. Minuta po minucie, strona po stronie, frytka po frytce. Kurde, nawet się nie zorientowałem, kiedy zacząłem je jeść. Big Mac też już zniknął. Skończę pod mostem, ja to wiem. Ciekaw jestem, gdzie skończył mój tata. Utknął w pracy? W korku? Zginął w wypadku? Boże, ale byłby przypał, gdyby mój ojciec zginął w dniu moich urodzin! Chociaż może przy takim obrocie spraw mama w końcu przestałaby urządzić dla mnie te głupie imprezy. Tysiąc razy mówiłem jej, że ich nienawidzę. Chociaż może nie, może zrobiłaby jeszcze większą imprezę. Od czasu rozwodu nie bardzo się z tatą dogadują.

Może was to zdziwi, ale przedtem w ogóle się nie kłócili. No, poza tym jednym razem. To było jakiś czas po tym, jak mama dostała awans w pracy. Miała znacznie więcej obowiązków niż wcześniej i nie zostawało jej zbyt wiele czasu na gotowanie, więc karmiła nas gotowcami. Albo

na przykład przygotowywała wielki gar zupy, który wystarczał na kilka obiadów.

Któregoś razu, jak już trzeci dzień z rzędu jedliśmy ten sam żurek, tata zaczął kręcić nosem, że człowiek wraca zmęczony z roboty, a tu dzień w dzień tylko żur i żur – coś w tym guście. Mama z początku nic nie odpowiedziała, ale po chwili ze złością wrzuciła łyżkę do miski tak, że zupa rozchlapała się na całym stole. „To sam sobie gotuj!” – wrzasnęła do taty i wyszła, trzaskając drzwiami. To była jedyna ich kłótnia, jaką pamiętam.

Chociaż trudno w ogóle ją tak nazwać. Ale konsekwencje miała poważne – mama do końca tygodnia już wcale nie gotowała, jakby naprawdę liczyła, że tata ją w tym zastąpi. Ale on najwyraźniej nie miał takich planów i po tych kilku dniach powiedzieli mi, że się rozstają. Wszystko przez żur. Możliwe, że kryło się za tym coś więcej, bo kto normalny rozwodzi się z powodu głupiej zupy? Ale z drugiej strony pokażcie mi rodziców, którzy są normalni.

– Przepraszam, możemy zająć ci chwilę? – pyta ktoś nagle. Trochę liczę, że to nie do mnie, ale kiedy podnoszę głowę znad książki, okazuje się, że owszem, do mnie. Ładna dziewczyna z włosami jak Harley Quinn i chłopak, który do złudzenia przypomina Kylo Rena, tyle że z trądzikiem. Stoją obok mojego stolika i przyglądają mi się z uśmiechami psychopatów.

– Jak myślisz, co taki młody człowiek jak ty może zrobić dla dobra naszej planety? – pyta Kylo Ren.

– Yyy... – Oczywiście mam pustkę w głowie, jak zawsze, kiedy ktoś pyta mnie o coś tak zaskoczenia. – Nie wiem.

Harley Quinn postanawia mi pomóc.

– A co tam pijesz? – Wskazuje na kubek z kawą dla taty.

– To cynamonowa latte – wyjaśniam. – Ale to nie...

– O! – Uśmiech dziewczyny poszerza się jeszcze bardziej. – A wiesz może, jak pozyskano ten cynamon?

– Yyy... Nie?

– Uprawa cynamonu często wiąże się z procesami wylesiania, zwłaszcza w rejonach tropikalnych, i znacząco przyczynia się do emisji dwutlenku węgla. Wiesz, co to oznacza?

– Yyy... Zmiany klimatu i tak dalej?

Dwoje psychopatów spogląda na siebie nawzajem z minami dumnych rodziców.

– Widzę, że zależy ci na ochronie środowiska – stwierdza Kyla Ren. Wyciąga do mnie rękę z jakąś ulotką, którą odruchowo od niego biorę. – Więc może wiesz, że franczyzy takie jak McDonald's pozostawiają wiele do życzenia w kwestiach ekologicznego i zrównoważonego pozyskiwania składników do swoich produktów. Podobnie jest, jeśli chodzi o humanitarne traktowanie zaangażowanych w te praktyki osób, nie mówiąc już o transparentności w informowaniu o nich swoich konsumentów. Ponadto raport z 2024 roku wykazał, że wskutek zanieczyszczeń i stosowania syntetycznych dodatków uprawy cynamonu ulegają skażeniu ołowiem, co poważnie zagraża zdrowiu milionów miłośników cynamonu takich jak ty.

– A-ale... – wtrącam. – Ale ja nawet nie lubię cynamonu!

Raz jeszcze wymieniają spojrzenia, tym razem trochę zaniepokojone, jakby też brali mnie za psychola. W końcu kto normalny nie lubi cynamonu?!

Harley jako pierwsza dochodzi do siebie.

– Nam też zależy na ochronie środowiska. – Podaje mi jakiś papier. – Dlatego przygotowaliśmy taką petycję...

Od razu przyjmuję od niej długopis i podpisuję. Nawet nie słucham, czego w zasadzie ta petycja dotyczy. Może planują doprowadzić do zamknięcia wszystkich McDonaldów na świecie, a może wsadzić do więzienia każdego, kto kiedykolwiek miał czelność zamówić cynamonową latte. Chcę tylko, by dali mi spokój. Podobno słabo znoszę presję społeczną. Moja wychowawczyni powiedziała to kiedyś mojej mamie na wywiadówce.

Dopiero gdy dwójka aktywistów dziękuje mi serdecznie i idzie terroryzować kobietę z telefonem (która odprawia ich w dwóch słowach), wczytuję się w ulotkę, którą mi zostawili. Boże, teraz mam jeszcze większe wyrzuty sumienia z powodu tego Big Maca. Wiedcie, jak szkodliwa dla klimatu jest produkcja mięsa? Chyba przejdę na wegetarianizm. I jeszcze te wszystkie odpady, które trafiają do oceanów i zabijają delfiny i żółwie... Nie dajcie się nabrać na te papierowe słomki i kubki: to tylko przykrywką. Już nigdy więcej nie pójde do Maca. Najchętniej zwróciłbym wszystko, co zjadłem, gdybym nie miał tej głupiej fobii przed publicznymi kiblami. A nie chcę jeszcze bardziej drażnić pani z telefonem, rzygając na jej oczach.

Skoro mowa o telefonach, mój własny znowu wibruje. Podrywam go z nadzieją, że dzwoni tata, ale to złudna nadzieja. Nie odpisałem mamie na SMS-a w ciągu pięciu minut od otrzymania go, czego ona nie toleruje, więc oczywiście musi zacząć do mnie wydzwaniać. Mogłem się tego spodziewać.

– Hal...

– Paweł, o której będziesz w domu? – przerywa mi od razu. Boże, nawet nie zdążyłem powiedzieć „Halo”!

– Nie wiem – odpowiadam. – Taty jeszcze nie ma.

– Jak to jeszcze go nie ma? Zaraz mamy gości!

– Wcale nie zaraz. A poza tym nic się nie stanie, jak trochę się spóźnię.

– Jak to nic się nie stanie?! Nie wypada, żebyś spóźnił się na własne urodziny!

Chciałbym jej powiedzieć, że dałbym wszystko, żeby nie musieć przychodzić na to głupie przyjęcie, ale w uszach mamy to by było pyskowanie, a ona nie toleruje też pyskowania. W ogóle to mało co we mnie toleruje. Więc obiecuję po prostu:

– Będę na czas.

– No, ja myślę – warczy mama. I się rozłącza.

Boże. Presja macierzyńska to najgorsza odmiana presji społecznej.

„Hej, gdzie jesteś?” – piszę do taty, bo miał tu być prawie godzinę temu i teraz już martwię się nie na żarty. Chociaż nażarty. Wpatruję się w okno, żeby się uspokoić. Pada coraz mocniej, a w otwartym futerale leżącym przed trębaczem musi być więcej płatków śniegu niż monet, ale on nadal się tym nie przejmuje. Czubek.

Wracam do mojej książki. Ale nie myślcie, że mógłbym chociaż przez pięć minut w spokoju sobie poczytać. O nie, nie śmiałybym prosić o tak wiele. Nawet w moje urodziny. Drzwi otwierają się z impetem i do środka wpada stado rozwrzeszczanych, przemoczonych nastolatków. To chyba jakaś wycieczka szkolna, chociaż jest już dość późno na takie cyrki. Od razu zabierają wszystkie wolne krzesła, które stoją przy moim stoliku, tak że jak tata wreszcie przyjdzie, to nie będzie miał na czym usiąść. Ale mniejsza z tym, coś się wymyśli. Moja wychowawczyni uważa też, że nie jestem asertywny. Ale ja po prostu chcę mieć spokój.

Przy stoliku niedaleko znużonego dzieciaka i matki, która ma go w dupie, siadają dwie ciemnowłose dziewczyny. Mają odsłonięte kostki, a pod rozpiętymi kurtkami te takie jakby za krótkie koszulki. Po pewnym czasie dołącza do nich jeszcze jedna, blondynka, która niesie w rękach trzy żółte kubki. Jej kostki są jeszcze bardziej odsłonięte, a koszulka jeszcze krótsza niż u tamtych dwóch. To jedna z tych dziewczyn, które zawsze mówią tak, by nikomu w promieniu stu kilometrów nie

umknęło ani jedno ich słowo. Dlatego właśnie doskonale słyszę, jak prosi jedną z koleżanek, by dała jej spróbować swojej kawy, a potem wzdycha: „Ach, uwielbiam cynamon!”. A kiedy ona o coś ją pyta – pewnie o to, dlaczego w takim razie sama nie wzięła sobie cynamonowej latte – blondynka wykrzykuje: „Bo karmel uwielbiam jeszcze bardziej!”.

Nie chcę ich podsłuchiwać, ale przy tych jej właściwościach akustycznych po prostu się nie da. To niezła rozmowa, mówię wam. Otóż ta urocza krzykaczka właśnie zdała sobie sprawę z tego, że jest bi. Stanęła pod jemiołą z jakąś swoją bestie, która – jeśli dobrze rozumiem – jednocześnie jest siostrą jej chłopaka, i dla żartu postanowiła ją pocałować. I, o dziwo, spodobało się jej.

Niesamowite przeżycia blondynki docierają też do uszu jednej zasuszonej pani, chyba opiekunki tej całej bandy, która staje za krzesłem świeżo upieczonej biseksualistki i karci ją oburzonym: „Pola!”. Ale Pola tylko odwraca się przez ramię i pyta: „No co?”, i kontynuując swoją opowieść, wzbogaca ją o kolejne pikantne szczegóły. Bo, wyobraźcie sobie, tej jej bestie też się ten pocałunek spodobał.

W sumie ta historia sama w sobie nie robi na mnie aż takiego wrażenia (nie macie pojęcia, w jak mroczne zakątki biblioteki zaprowadziła mnie moja miłość do książek). Ale znudzony chłopiec, który siedzi tuż obok bezwstydnego Poli i z rozdziawioną gębą chłonie każde jej słowo, po prostu zwała mnie z nóg. Założę się, że do dzisiaj nie wiedział, że tak można – lubić i chłopaków, i dziewczyny. Nie ma to jak utracić niewinność podczas przysłuchiwania się jakiejś randomowej lasce w Macu. A jego matka dalej ma to wszystko w dupie. Porządnie poprawiło mi to humor, muszę przyznać. Ale w końcu Pola wyczuwa na sobie mój wzrok i posyła mi spojrzenie w stylu „Co się gapisz?”, więc pociągam nosem, rzucam okiem na czubka z trąbką i wracam do książki. Dla pewności zakładam jeszcze słuchawki, żeby nikt już mnie nie rozpraszał.

Strona po stronie, minuta po minucie. Chudy facet ze smutnym wąsem snuje się po lokalu, od niechcenia zamiatając podłogę. Patrzy na mnie spod byka, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że zbyt dużo czasu minęło, odkąd coś zamówiłem, żebym mógł tak bezkarnie tu przesiadywać. Dla niepoznaki pociągam łyk mojej fanty, chociaż został z niej już tylko topniejący lód. Kawa dla taty już pewnie wystygła. Mama jest już pewnie w stanie przedzawałowym. Wąsacz zbliża się ze swoją szufelką i praktycznie zaczyna zamiatać mi buty. Udaję, że go nie widzę.

Chciałbym udawać, że nie widzę też tej różowej króliczej łapy, która macha mi przed oczami, ale

nie mogę. To Jagoda Malak z mojej klasy, wiem to od razu. Nikt inny nie nosi takich debilnych rękawiczek. Jakby tego było mało, do kompletu ma też czapkę z dyndającymi króliczymi uszami.

– Siema, Paweł! – woła rozpromieniona. – Co tam słuchasz?

– Nic – odpowiadam, wyjmując jedną słuchawkę z ucha. Bo naprawdę niczego nie słucham. Nie umiem jednocześnie czytać i słuchać muzyki, ale czasem zakładam słuchawki tylko po to, żeby ludzie wiedzieli, że nie chcę z nikim gadać. Większość to rozumie. Ale najwidoczniej nie Jagoda Malak.

– I znowu czytasz – zauważa. – Nie słyszałeś nigdy, że jak ktoś czyta w miejscu publicznym, to wbrew pozorom wcale nie sprawia wrażenia mądrzejszego, tylko wręcz przeciwnie?

– Tak, chyba już mi to ktoś mówił – potwierdzam. To pieprzona Jagoda Malak mówi to za każdym razem, jak widzi mnie z książką w dłoni.

– A wiesz, że ja wiem, co dostaniesz na wigilię klasową? Powiedzieć ci?

– Wolę mieć niespodziankę.

– Taki wielki zbiór opowiadań o Sherlocku Holmesie, wszystkie opowiadania w jednej książce. Lubisz Sherlocka Holmesa, co nie?

– Lubię, ale...

– A wiesz od kogo?

– Wolę nie wie...

– Od Zosi. Specjalnie wymieniła się z Lamusem, żeby cię wylosować. A wiesz dlaczego?

– Nie wiem, ale możesz jej powiedzieć, że już mam tę książkę. Dostałem w zeszłym roku na Wielkanoc.

Jagoda załamuje swoje królicze ręce.

– Aha, no wiesz?

– Sorry.

Kręci głową z naganą. Trochę mi głupio i zastanawiam się, co mógłbym powiedzieć, żeby to naprawić, chociaż – będąc szczerym – nie mam najmniejszej ochoty gadać z pieprzoną Jagodą. Ale nie chcę być niemiły, więc proponuję:

– Może usiądziesz?

Jagoda obrzuca wzrokiem mój pozbawiony krzesła stolik.

– Nie ma gdzie.

Już wstaje, żeby zwolnić jej miejsce, ale ona macha ręką i przysiadła na blacie, centymetr od kubka z kawą dla taty.

– Nie zgrywaj dżentelmena – mówi. – Nie znoś, jak chłopaki to robią.

– Sorry – wybąkuję raz jeszcze.

– Od kiedy ty pijesz kawę? – dziwi się Jagoda.

– To nie moja – odpowiadam, ale ona już zdejmuję wieczko i podnosi kubek do nosa, by powąchać jego zawartość.

– To ta nowa, cynamonowa?

– Mhm.

– Matko, kocham cynamon! – rozpływa się Jagoda. A to ci nowość. – Wiesz, że mój jeden kuzyn ma na drugie Cynamon?

– Na drugie co?

– Na drugie imię. Moja ciocia dała mu drugie imię na cześć cynamonu, bo też tak bardzo go lubi. To chyba u nas rodzinne.

– Ale „cynamon” to nie imię.

– A niby co?

– No po prostu słowo.

– Wszystkie imiona to słowa.

– Ale to co innego. „Cynamon” to przecież nazwa przyprawy.

– No i co? „Jagoda” to nazwa rośliny. Wszystkie imiona skądś się biorą.

– Ale nie wydaje ci się to trochę dziwne, żeby nazywać swoje dziecko Cynamon, bo po prostu bardzo się lubi cynamon?

– A niby co w tym dziwnego? Ja jestem Jagoda, bo moi rodzice lubią jagody. Co ty myślałeś, że ludzie nazywają jakoś swoje dzieci, bo spływa na nich jakieś natchnienie boskie albo coś?

Nic na to nie mówię, bo nie wiem, co miałbym odpowiedzieć, a poza tym Jagoda jest dość drażliwa, jeśli chodzi o takie boskie kwestie. Nawet nie chodzi już na religię. Poszukując nowego tematu do rozmowy, natrafiam wzrokiem na ulotkę, którą dostałem od przyszczonego Kylo Rena. Zapytałbym Jagodę, czy zdaje sobie sprawę, że w jednym gramie tego jej ukochanego cynamonu znajduje się cała tablica Mendelejewa, ale tylko pogorszyłbym sprawę. Więc przesuwam spojrzenie jeszcze kawałek dalej, a dokładniej za okno, w kierunku tej całej zawieruchy i ulicznego grajka, który nadal tkwi niewzruszenie w samym jej środku.

– Widziałas tego gościa? – pytam Jagodę. – Stoi tam już ponad godzinę. Chyba musi grać po prostu dla funu, bo w taką pogodę raczej słabo z publicznością. Chociaż co to za fun w takich warunkach? Dziwne, że jeszcze nie odmroził sobie palców.

Ale Jagoda nie podąża za moim wzrokiem. Zamiast tego miazdży mnie swoim.

– Ty jesteś nazwany na cześć Jana Pawła II, co nie?

– Co?

– Masz na imię Paweł. A twój starszy brat to Jan, co nie?

– No tak – przytakuję zdumiony. – Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Moi rodzice nie są nawet jakoś bardzo religijni.

– Mhm, co za zbieg okoliczności – mruczy Jagoda z niedowierzaniem. Wiem, że nie jest faną Jana Pawła II. Kiedyś na religię zrobiła o nim prezentację, po której nawet ksiądz Rysiu zaniemówił. To właśnie po tej lekcji Jagoda wypisała się z tego przedmiotu. Teraz mi się to wszystko

przypomniało. Aż trochę mi wstyd, że mam na imię Paweł.

– Może chcesz wypić? – Podsuwam kubek w stronę Jagody, żeby tylko zejść z tego tematu. – Ja nie lubię cynamonu. Nie lubię nawet kawy.

Jagoda obdarza mnie znajomym spojrzeniem. Już powoli zaczynam się do niego przyzwyczajać.

– To po co ją zamawiałeś?

– Dla mojego taty – tłumaczę. – Umówiłem się z nim, ale się spóźnia. Zamówi sobie drugą, jak przyjdzie. Ta i tak jest już pewnie zimna.

– Aha, no to dzięki, że dajesz mi zimną kawę – prychna Jagoda, odsuwając kubek. – Prawdziwy z ciebie džentelmen.

Boże, chciałem dobrze! W panice chwytam za telefon. Udałbym, że akurat ktoś do mnie dzwoni, żeby spławić Jagodę, ale ona zbyt uważnie wpatruje się w mój ekran, by dać się wkręcić.

– Na którą byliście umówieni? – pyta.

– Na wpół do czwartej.

– Mówi się, że to kobiety się spóźniają, bo tak długo się stroją albo coś, ale tak naprawdę to zawsze mężczyźni to robią, zauważyłeś?

– Ja tu byłem już piętnaście minut przed czasem.

– Wow, jest się czym chwalić.

Boże święty! Wiecie, co jeszcze mi się przypomniało? Mieliśmy kiedyś na historii sprawdzian ze średniowiecza i w jednym pytaniu było aż dziesięć odpowiedzi do wyboru – tyle tylko, że babka od historii zapomniała umieścić wśród nich tę poprawną. Tak właśnie się czuję, kiedy gadam z Jagodą.

Na szczęście w tym momencie moje modlitwy zostają wysłuchane i dzwoni mi telefon. Ale to nie tata, tylko znowu mama. Musi jeszcze trochę potuć mi dupę, żeby wyrobić swoją dzienną normę. Ale mniejsza z tym, w tym momencie nawet ona jest dla mnie wybawieniem.

– Przepraszam – rzucam do Jagody i odbieram. – Halo? – Tym razem udaje mi się to powiedzieć. Jest postęp.

– Paweł, gdzie ty się podziewasz? Goście już są!

– Co? – wyduszam zaskoczony. – Przecież nie ma nawet siedemnastej!

– I czego ty ode mnie oczekujesz, że nie wpuszczę ich do środka? Goście przyjechali, a solenizanta nie ma! Próbowałam cię jakoś usprawiedliwić, ale pomyśl, co oni muszą sobie myśleć?

– Trudno! Było powiedziane, że mam być w domu o osiemnastej, więc będę o osiemnastej!

– Nie pyskuj mi tu! – napomina mnie mama. Wiedziałem, że to powie, ale co poradzę, poniosło mnie. – To bardzo niekulturalne z twojej strony wystawiać tak gości do wiatru!

– To nawet nie są moi goście! I to raczej oni są niekulturalni, skoro wbijają nam na chatę godzinę wcześniej, niż...

– Masz w tej chwili wracać do domu! Nie zamierzam dłużej wysłuchiwać twoich pyskówek.

I rzeczywiście nie wysłuchuje, bo natychmiast się rozłącza.

– Przepraszam – zwracam się znów do Jagody. Na tym etapie nie wiem już nawet, za co właściwie ją przepraszam. – Poniosło mnie. – Może za to.

– No, słyszałam – przytakuje.

– Mama wyprawia mi urodziny, chociaż tysiąc razy jej mówiłem, że tego nie chcę – wyjaśniam sfrustrowany. – Myśli, że w ten sposób robi mi przyjemność. A jak jej mówię, że nie ma w tym dla mnie nic przyjemnego, to gada, że jestem niewdzięczny i że nie liczę się z jej uczuciami i tak dalej.

– Większość facetów się nie liczy – komentuje Jagoda. – W mózgu jest taki specjalny obszar odpowiadający za wrażliwość, wiesz? Za wrażliwość, za empatię, i w ogóle. I u większości facetów ten obszar jest niedorozwinięty.

Boże, teraz dodatkowo mi wstyd, że jestem facetem!

– Nie zamawiasz niczego? – Raz jeszcze zmieniam temat. I raz jeszcze popełniam błąd.

– Jak chcesz, żebym sobie poszła, to po prostu powiedz – obrusza się Jagoda.

– Nie chcę. Po prostu byłem ciekawy, czy...

– Mhm, jasne. – Jagoda, ześlizgując się ze stołu, chybotze nim i prawie rozlewa przy tym tę głupią latte. – Dla twojej informacji przysłałam tu tylko skorzystać z toalety, skoro tak cię to ciekawi.

Kiwam głową, bo boję się już cokolwiek powiedzieć. Chociaż ciśnie mi się na usta, że jak na kogoś, kto musi skorzystać z toalety, już podejrzanie długo zawraca mi dupę. I najwidoczniej nadal jej się nie spieszy, bo bierze do ręki mój opróżniony kubek i zagląda do środka.

– Cola?

– Fanta.

– Napoje gazowane tak naprawdę bardziej cię odwadniają, niż nawadniają, wiesz?

– Wiem.

– To dobrze. – Jagoda jeszcze przez chwilę stoi z założonymi rękami, kiwając głową. Uszy na jej czapce podrygują pogardliwie. – Tak w ogóle to wszystkim najlepszego.

– Dziękuję.

Już ma odejść, ale w połowie mojego westchnienia ulgi zmienia zdanie i z powrotem odwraca się w moją stronę.

– Tak w ogóle to ja cię zaprosiłam na swoje urodziny.

To prawda. A ja na te urodziny poszedłem. Nawet tańczyłem w parze z Jagodą podczas takiej jednej zabawy, w której trzeba było tańczyć na kawałku gazety, który robił się coraz mniejszy i mniejszy. Chcąc nie chcąc trochę przy tym Jagodę podeptałem, więc po kilku rundach zepchnęła

mnie z tego, co pozostało, i zastąpiła mnie swoim trzynożnym bernardynem. Powiedziała, że jest tak samo beznadziejnym tancerzem jak ja, więc w sumie żadna różnica. Ale nie będę jej tego wypominać.

– Ja nikogo nie zapraszałem – zapewniam. – Będą tylko sami dziadkowie i ciotki i tak dalej.

– Mhm. – Jagoda mruży oczy tak, jak potrafią tylko ciężko urażone dziewczyny. – A tak w ogóle to co myślisz o Zosi?

Zasycha mi w gardle. To musi być pytanie pułapka.

– Zosia jest... spoko – stwierdzam ostrożnie.

Oczy Jagody zwężają się jeszcze trochę.

– Też tak myślę – przyznaje sucho. – Szkoda jej na ciebie.

„To nie moja wina, to mój niedorozwinięty mózg!” – mam ochotę zawołać za nią. Ale nie wolam. W milczeniu obserwuję, jak wreszcie idzie do tego głupiego kibla. Podziwiam ją, że ma odwagę z niego korzystać. Jagoda jest twarda jak skała.

Uff. Sięgam do plecaka po bidon z wodą. Muszę uzupełnić płyny po tej odwadniającej fancie. A poza tym rozmowy z pieprzoną Jagodą Malak zawsze wykańczają mnie bardziej niż te głupie mecze w nogę. Wąsaty chuderlak jak gdyby tylko na to czekał – ledwo udaje mi się zwilżyć wargi, kiedy dopada do mnie i informuje:

– Bardzo mi przykro, ale tutaj nie można spożywać napojów kupionych poza restauracją.

Potulnie chowam bidon.

– Nie, to mnie jest przykro. – Przyciągam do siebie cynamonową latte i udaję, że niby zamierzam ją wypić. Facet oddala się w kierunku śmietników, ale widzę, że cały czas ma mnie na oku – jakby tylko szukał kolejnego pretekstu, by w końcu móc wywalić mnie na bruk. Sam najchętniej już bym stąd spadał. Chwytam telefon i wybieram numer do taty. Nie chcę mu przeszkadzać, ale ile można czekać?

Odbiera dopiero po kilku ciągnących się w nieskończoność sygnałach.

– No i co tam, młody?

– Hej, tato, gdzie jesteś? Przepraszam, że zwracam ci głowę, ale czekam już prawie dwie godziny i mama się już wkurza, że jeszcze...

– Jak czekasz? Gdzie czekasz?

– No w McDonaldzie.

– Ale przecież to jutro się widzimy.

O Boże! Odczekuję moment z nadzieją, że to żart. Ale to nie żart.

– Nie, tato, to dzisiaj – mamrocę. – Dzisiaj są moje urodziny.

– Jak dzisiaj? Który dzisiaj jest?

– Dwunasty. Dwunastego mam urodziny.

– Nie, trzynastego. Dwunaste urodziny trzynastego, przecież pamiętam.

– Trzynaste urodziny dwunastego – poprawiam go. – Można się łatwo pomylić.

Przez chwilę w słuchawce rozbrzmiewa cisza. Przez tak długą chwilę, że już mam zapytać tatę, czy nadal tam jest, kiedy on wybuchą:

– Boże święty, Paweł! Musiałem stanąć na głowie, żeby móc jutro wcześniej urwać się z pracy, a ty mi mówisz, że to jest dzisiaj?

– Przepraszam – odpowiadam. I od razu dociera do mnie, jaka to idiotyczna odpowiedź, więc parskam śmiechem. – Przepraszam, że mam dzisiaj urodziny. I przepraszam, że mam trzynaście lat.

– Dobra, młody, nic się nie stało – ucina tata głosem zarobionego robotnika, który musi wracać do roboty, by jeszcze trochę się narobić. – Widzimy się jutro.

I znika. A ja wpadam w jakiś głupekowaty nastrój i dalej się podśmiewam, nie odrywając telefonu od ucha.

– Przepraszam, że czytam książki – mówię do milczącej słuchawki. – I przepraszam, że nie jestem fit. I że nie troszczę się o naszą planetę. I że mam w dupie piłkę nożną. I że leci mi z nosa. I że jestem introwertykiem. I że mam na imię Paweł. I że jestem mężczyzną. I że tu siedzę. I że nie lubię pieprzonego cynamonu. Przepraszam, przepraszam was wszystkich najmocniej. Czy mi kiedyś wybaczyć?

Chuderlak, który w ramach odskoczni od zamiatania akurat walczy z nieposłusznym workiem na śmieci, wszystko to słyszy i patrzy na mnie jak na wariata. Tak dla odmiany. W końcu spełniam jego niewypowiedziane życzenie i podrywam się z miejsca. Podchodzę do niego z moimi śmieciami i wsypuję wszystkie papiery do worka, który w końcu udało mu się rozwinąć i który usłużnie mi nadstawia. Potem wracam do stolika i zabieram wystygłą latte. Mijam znużonego dzieciaka i jego matkę fonoholiczkę i podchodzę prosto do trzech koleżanek.

– Pola – zagaduję. Jest tak hałaśliwa, że za pierwszym razem mnie nie słyszy, więc muszę powtórzyć głośniej: – Pola!

– Yyy... Znamy się? – Pola zabija mnie wzrokiem. Boże, dlaczego dziewczyny zawsze mają takie mordercze spojrzenia?!

– Nie, ale to dla ciebie. – Stawiam kubek obok jej kubka. – Rozgrzewająca Cinnamon Latte. Tylko że zimna. Ale ty tak uwielbiasz cynamon, że nie powinno ci to przeszkadzać.

Dziewczyny patrzą po sobie, chichocząc nieswojo. Pewnie myślą, że jestem jakimś stalkerem i że coś do tej kawy dosypałem.

– Dziękuję, ale... Za co to? – Pola uśmiecha się niepewnie.

Kątem oka zerkam na przymulonego chłopca, by upewnić się, że słucha. Szykuj się, mały. Pora

na lekcję numer dwa.

– Za to, że nie wstydzisz się być sobą – oznajmiam. I odwracam się na pięcie. BUM! Wielkie wyjście. Brakuje tylko zwolnionego tempa i eksplozji w tle. Chociaż eksplozja się rozlega – chichotu trzech koleżanek. Ale mam to gdzieś.

Idę do kasy, żeby zrealizować kupon na kolejną latte. Kasjerka mnie pamięta i dziwi się mojemu nawróceniu, ale nie daję jej szansy nic powiedzieć, bo od razu dzwonię do mamy.

– Paweł, dziecko, gdzie ty jesteś?! – wypala natchmianem poddenerwowana. Ona nigdy nie każe mi długo czekać.

– Mamo, dasz mi znać, jak goście już sobie pójda? – proszę spokojnie. Pełen chill.

– Co? Co ty mówisz?

– Ze sto razy ci powtarzałem, że nie chcę żadnej imprezy urodzinowej. Więc na nią nie przyjdę.

– No wiesz ty co! Robimy to wszystko dla ciebie, cała rodzina się zjechała z okazji twojego święta, a ty...

– Skoro to moje święto, to pozwól mi je spędzić po swojemu!

I nie czekając na odpowiedź, rozłączam się. BUM! Trochę mi głupio, ale nie jakoś bardzo. Pełen chill.

Po chwili moja latte jest gotowa. Wychodzę z nią na zewnątrz. Przestało już padać, a mimo to wokół trębacza nadal jest pusto. Czekam, aż skończy grać utwór, który akurat wykonuje, a następnie wręczam mu kawę.

– Lubi pan cynamon? – pytam, tak dla formalności.

– A kto nie lubi? – odbija obdartus, przyjmując kubek z moich rąk.

– Tak sobie pomyślałem, że przyda się panu coś, żeby się rozgrzać.

– To miłe z twojej strony, synu. – Muzyk dorabia sobie wąsy z mlecznej pianki, po czym z głębi jego gardła wyrывa się to sapiące „Aaa!”, które ludzie czasem z siebie wydają, kiedy piją coś nieskończenie pysznego. – Gram tu dzień w dzień od dwóch tygodni, a nikt jeszcze niczego takiego dla mnie nie zrobił. Będą z ciebie ludzie.

– Już są ze mnie ludzie – protestuję. – No, tylko jeden człowiek.

– To w sam raz.

– Też tak myślę.

Staruszek pije swoją kawę na stojąco, a ja znajduję sobie dobrze oświetlone miejsce na prawie suchym parapecie pod markizą jakiegoś sklepu, tuż obok lampy ulicznej.

– Mogę sobie przez chwilę tu koło pana posiedzieć? – pytam. – Poczytać?

Facet wzrusza ramionami.

– Ja ci niczego zabraniać nie będę. Ale pewnie zmarzniesz.

E tam. I tak zamierzam zostać tylko na chwilę. Na chwilę spokoju. Tak czy inaczej długo tu nie wysiedzę. Wypiłem przecież chyba z pół litra fan-ty. A nie pójde do tego kibla w Macu, nie myślcie sobie. Nie wszystko naraz.

No to czytam. Strona po stronie. Minuta po minucie. Jeden siorbiący cynamonowy łyk po drugim. W którymś momencie staruszek zwraca się do mnie:

– Może coś ci zagrać, synu? Jakies życzenia?

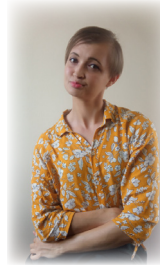
– Nie, zasłużył pan na przerwę – odpowiadam. – Ja i tak nie umiem się skupić przy muzyce. A poza tym nie przepadam za trąbkami, jeśli mam być szczery.

– A, to przepraszam.

Uśmiecham się pod moim ciekącym nosem.

– Niech pan nie przeprasza.

JULIA HINC, UR. 2001



Zaczęłam tworzyć historie, jeszcze zanim nauczyłam się pisać, i ani na moment nie przestałam. Literatura zrodziła we mnie fascynację ludzkim wnętrzem, która doprowadziła mnie do ukończenia studiów psychologicznych na Uniwersytecie Gdańskim. Największym źródłem inspiracji jest dla mnie praca z dziećmi i młodzieżą, a moje utwory w głównej mierze dotyczą kwestii związanych z okresem dojrzewania. Poza pisanem pasjonuję się angielską piłką nożną, grecką mitologią i francuską kinematografią.



Notatki zaginionego boga



Autor: Kamila Biernacka

Wydawnictwo: self-publishing

Oprawa: zintegrowana

Formaty: druk, e-book

Gatunek: literatura fantastyczna, steampunk

Data premiery: 2025

Gdzie kupić? [W sklepie internetowym SwanCraft Creations](#)

„Notatki zaginionego boga” to niezwykła podróż do świata pełnego magii, maszyn parowych i wymyślnych, steampunkowych mechanizmów. Świata, którego każdy element wydaje się idealnie harmonizować z resztą. Do czasu... kiedy to chciwość sprawi, że Pożeracze Gwiazd przekroczą granicę, do której żaden humanoid nie powinien sięgać. Otworzą przejście do świata poza ich wyobrażeniem. A następnie wyrwą z niego... istotę o umyśle i mocy wykraczającymi poza ich pojmowanie.

By upewnić się, że bóg pozostanie im posłuszny, umieszczą go w klatce, z którą nawet on nie będzie w stanie sobie poradzić. Uwieczony w prostym, ludzkim ciele, będzie musiał nauczyć się oddychać, myśleć i mówić, nim zrozumie otaczającą go rzeczywistość: mroczną, trudną, gdzie czerń i biel zwykle zlewają się w różne odcienie szarości.

Zaginiony bóg trafi w końcu w ręce tajemniczych stworzeń z Ruiny. Ekscentryczna grupa będzie miała przed sobą jeden cel – spróbować odesłać zaginionego boga...

Nim dla świata będzie za późno.

ŚLEDZTWO W PRZEDDZIEŃ ŻYCIA DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE

REDAKCJA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: PATRYK ŻELAZNY

Sprowadziłem się na dwór króla elfów w miesiącu, który miał zostać zapamiętany jako początek najdłuższej zimy stulecia.

Rzecz jasna miało to więcej wspólnego z zachcianką samego króla niż z kaprysem natury. Po paru dekadach zielonych wiosen i złocistych jesieni król Finan zatęsknił za prawdziwą zimą. I zaledwie zdał sobie sprawę z tej tęsknoty, pierwsze płatki śniegu zatańczyły w powietrzu nad pałacem, przysypały czerwone liście drzew i pobieleły parkowe ścieżki.

W przeciągu jednej nocy ciepła i leniwa jesień ustąpiła miejsca głębokiej zimie. Mieszkańcy pałacu przyjęli to z charakterystyczną dla elfów beztroską. Parę godzin chaotycznej krzątania – wyciągania zimowych płaszczy z zakamarków szaf, odkurzania łyżew i mocowania dzwonków do sań – wystarczyło im, by przygotować się na wszystkie wyzwania i przyjemności zimowego sezonu. Potem w pałacu znów zapanował błogi spokój: jak gdyby nagle zmiana pór roku nie zasługiwała na większą uwagę niż kolejny ślub, uczta czy polowanie.

Należałoby tu zapewne dodać, że zima króla Finana była nie mniej czarująca niż wszystkie jego wiosny i jesienie. Z rzędami sopli zwieszającymi się z pałacowych wież, ze wzorami szronu na szybach i skrzącymi się w słońcu zaspami przypominała dzieło artysty. Dla zwykłych mieszkańców królestwa mogła być zabójcza, ale dla elfów stanowiła tylko urokliwe tło dla nowych zabaw.

Ja sam byłem zbyt zajęty, by myśleć o jakiegokolwiek rozrywce. Przybyłem na dwór, by rozpocząć pracę w „Lotnym Kurierze”, największej gazecie królestwa, i planowałem jak najprędzej udowodnić swoją wartość w oczach głównego redaktora – którym był skądinąd królewski syn, książę Dinai.

– Na pewno rozumiesz, że nie mogę od razu zrobić z ciebie dziennikarza, Tres – powiedział pierwszego dnia, posyłając mi przeciągłe spojrzenie zza zasypanego papierami biurka. – Brakuje ci... doświadczenia.

Tym, czego naprawdę mi brakowało, był właściwy rodowód, i obaj zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Jeśli miałem w sobie choć kroplę prawdziwej elfickiej krwi, nie dało się tego po mnie poznać: byłem niski i kościsty, z szarą skórą ob-

sypaną jasnymi piegami i długimi, spiczastymi uszami.

Wśród innych koboldów z mojego rodzinnego miasteczka uchodziłem za całkiem przystojnego młodzieńca; na dworze elfów liczyło się tylko to, że byłem inny.

– Myślę, że na razie sprawdzisz się na pozycji asystenta – kontynuował książę Dinai, udając, że przegląda wczorajsze wydanie gazety. – Jeśli dobrze ci pójdzie, możemy pomyśleć o jakimś awansie.

– Bardzo panu dziękuję – odparłem.

Mówiłem szczerze. Nieważne, co o mnie myślał; liczyło się tylko to, że dał mi szansę.

Zamierzałem sprawić, by to wystarczyło.

Następnych parę tygodni spędziłem w biegu, rozrywany pomiędzy dziesiątki drobnych obowiązków. Ostrzyłem ołówki i uzupełniałem brakujące przecinki w artykułach, wertowałem stare słowniki i biegałem za sprawunkami, parzyłem herbatę dla dziennikarzy i dokładałem do ognia. Z rzadka tylko znajdowałem chwilę, by zwrócić uwagę na zimę stulecia, trwającą w najlepsze za wysokimi oknami redakcji.

Dowadywałem się o niej więcej, redagując nowe numery „Kuriera”, niż rzeczywiście wychodząc na zewnątrz.

Książę Elander organizuje bal zimowy: wśród zaproszonych Północna Pani.

Zwrot akcji na królewskim polowaniu – pocałunek prawdziwej miłości łamie klątwę.

Łyżwiarze odnajdują pradawne królestwo, skryte pod lodami jeziora Silath. Kim są nasi nowi sąsiedzi?

Każdy z tych tytułów wydawał się bardziej niesamowity niż poprzedni. Gdzieś za murami redakcji elficcy dworzanie wiedli życie jak z bajki, natykając się na zaginione królestwa i odnajdując swoje prawdziwe miłości – a ja siedziałem w kącie, za kiwającym się biurkiem, wykreślając ze zdań zbędne wykrzykniki i licząc każdy oszczędny uśmiech, którym książę Dinai nagradzał moją pracę.

Wielu gości na królewskim dworze dziwiło się, że książę prowadzi własną gazetę. Ale król Finan miał wiele dzieci, każde z nich unikalnie piękne i utalentowane. Książę Miriel był znakomitym

strategiem, książę Elander organizował barwne i zachwycające uczty, a książę Dinai – piąty królewski syn – miał talent do ujawniania w rubryce towarzyskiej najbardziej fascynujących skandali.

Największą dumą króla byli jednak, rzecz jasna, jego trzeci i siódmy syn – ci, którym wszystkie baśnie i wszyscy astronomowie wróżyli wielką przyszłość.

Powszechnie znanym faktem jest to, że każdy trzeci syn w królestwie elfów rodzi się pod szczęśliwą gwiazdą. Zawsze z powodzeniem wykonuje zadania, przy których porażkę ponieśli jego starsi bracia, ma dar wybierania najlepszej drogi na rozstajach i niezmiennie przypada mu najcenniejsza część spadku po ojcu młynarzu. Cokolwiek robi i gdziekolwiek pójdzie, zawsze uśmiecha się do niego los. Taki właśnie – z tego, co słyszałem – był książę Talin.

Jego młodszemu bratu, księciu Ilarisowi, poszcęściło się jednak jeszcze bardziej. Był siódmym synem siódmego syna, urodzonym, by rozwiązywać smocze łamigłówki, ratować księżniczki z wysokich wież i łapać feniksy do złotych klatek. O nim jednym z całego książęcego rodzeństwa wiedziałem najwięcej. „Lotny Kurier” niemal co tydzień publikował nowy artykuł o jego przygodach.

Mój ulubiony nosił tytuł *Siódmy książę, pięciu rozbójników i trzy skrzaty wchodzą do karczmy. Co wydarzyło się dalej?*

Minął już dobry miesiąc, odkąd rozpocząłem pracę w „Lotnym Kurierze”, kiedy na strych ponad redakcją wprowadził się młodszy brat księcia Dinaia.

– To tymczasowe – poinformował nas książę dzień wcześniej, gdy przekopywał się przez stos kolorowych rycin do najnowszego numeru. – Podobno potrzebuje przestrzeni... A może ciszy? W każdym razie na pewno nie będzie nam przeszkadzał.

Następnego poranka po zakręconych schodach prowadzących na strych ruszyła procesja pałacowych sług. Początkowo z zafascynowaniem przyglądałem się rzeźbionym kufrom i malowanym pudełkom, które wnosili na piętro, ale szybko rozproszyły mnie codzienne obowiązki. Miałem podłogę do zamiecenia, ołówki do zaostrzenia i artykuły do poprawienia.

Nim znowu podniosłem wzrok, minęło dobre pół godziny. Schody były już puste.

O dziwo, książę Dinai nie mylił się, zapewniając, że jego młodszy brat nie będzie nam przeszkadzał. Ze strychu nie dochodziły żadne odgłosy i nim wybiło południe, zdążyłem zupełnie zapomnieć o naszym nowym lokatorze.

Nie na długo.

– Czy mógłbyś zanieść filiżankę mojemu bratu? – zapytał po południu książę, z roztargnionym skinieniem przyjmując ode mnie herbatę. – Z miodem i z cynamonem, i z cukrem... Na dobrą sprawę, wrzuc tam wszystko, co znajdziesz. Przyda mu się.

– Oczywiście, proszę pana – odparłem uprzejmie. W myślach obliczałem już, ile czasu stracę przez wyprawę na piętro.

Szansa na spotkanie elfickiego księcia – innego niż ten, który wypłacał mi pensję i kazał się tytułować „szefem” – nie nadarzała się jednak często. W dodatku pamiętałem, że na moim biurku czeka na korektę artykuł Ansela, największego znanego mi fana wykrzykników i pytań retorycznych.

Być może ten jeden raz nie musiałem się spieszyć.

Zaparzyłem nową filiżankę herbaty, bez większych skrupułów utopiłem w niej pół cukiernicy, dwie łyżki miodu i laskę cynamonu, po czym ruszyłem po zakręconych schodach na piętro.

Większość dobytku tajemniczego księcia wciąż znajdowała się w spiętrzonych pod ścianą kufrach. Chłodne, zimowe światło zalewało drewniany parkiet i blaty roztawionych po sali stołów.

Na jednym z nich coś leżało, srebrząc się w bładych promieniach słońca.

Zbliżyłem się.

Minęła chwila, nim zrozumiałem, na co patrzę. Miałem przed sobą skomplikowaną układankę z cienkich, przypominających odłamki lodu kawałków. Większość elementów leżała jeszcze luzem na skraju stołu, ale te, które odnalazły już swoje miejsce, tworzyły zdumiewającą srebrnobłękitną mozaikę.

Bez namysłu sięgnąłem po jeden z kawałków.

– To niezbyt dobry pomysł – zauważył ktoś na drugim końcu pomieszczenia.

Podskoczyłem i prawie rozlałem przy tym herbatę.

Zza wieka jednego z kufrów wychylał głowę jasnowłosy elf w zielonym pledzie narzuconym na ramiona. Wyciągnął jakieś zawiniątko z wnętrza kufra, podniósł się i dołączył do mnie przy stole.

– Zaczarowała je sama Królowa Śniegu, więc lepiej nie dotykać ich bez rękawiczek. Możesz wziąć jedną z moich. – Wręczył mi ją bez zawahania, przy okazji odbierając ode mnie filiżankę. – Rozumiem, że to dla mnie?

Odkaszałem.

– Tak. Przysłał mnie tu wasz brat... wasza książęca mość.

– Och. Dziękuję. – Upił ostrożny łyk, a potem skinął głową w stronę rozłożonej na stole układanki. – Śmiało, możesz spróbować.

– Nie jest niebezpieczna?

– Wyłącznie denerwująca – wymamrotał w krawędź filiżanki.

Nie byłem pewien, jak się zachować. Z jednej strony, dłuższe rozmowy z dowolnym przedstawicielem królewskiego rodu zawsze niosły ze sobą pewną dozę ryzyka. Z drugiej – ten konkretny książę wydawał się dość nieszkodliwy.

Z księciem Dinaiem, złotowłosym i o przenikliwym spojrzeniu, łączyło go pewne rodzinne podobieństwo – szczególnie widoczne w linii wąskich ust i prostego nosa – ale jego włosy miały odcień wyblakłego złota, a szare oczy wydawały się łagodne i roztargnione.. Musiał być niewiele starszy ode mnie. Przy tym tulił do siebie filiżankę herbaty z czułością osoby balansującej na granicy przeziębienia.

Wróciłem myślami do artykułu czekającego na moim biurku.

Ku zdziwieniu gości, Czarna Dama z Melithen pojawiła się na balu w wyszywanej perłami sukni!!! Czyżby myślała, że wciąż trwa zeszły sezon!?

To wystarczyło, żebym podjął decyzję.

– Chętnie spróbuję, jeśli wasza książęca mość nie ma nic przeciw.

– Proszę bardzo – odparł książę, przysiadając na krawędzi stołu.

Włożyłem rękawiczkę i pochyliłem się nad układanką.

Zamiast tworzyć konkretny obraz, odłamki lodu układały się w zawiły, mieniący się przed oczyma wzór. Powierzchnia mozaiki była zupełnie gładka, jakby pozbawiona spojeń, i tak zimna, że ukłuła mnie chłodem nawet przez materiał rękawiczki.

Sięgnąłem po jeden z odrzuconych na bok kawałków i zabrałem się do pracy.

– Na razie trudno się tego domyślić, ale pod koniec całość powinna się ułożyć w napis – powiedział książę, z zainteresowaniem nachylając się nad moim ramieniem.

– Jaki dokładnie?

– Chciałbym wiedzieć. To byłoby miłe ułatwienie.

Przez parę minut zmagalem się z układanką, starając się dopasować swój kawałek do którejkolwiek z jej szczerbatych krawędzi. Byłem już o krok od poddania się, kiedy odłamek lodu zapadł mi się pod palcami i idealnie złął z resztą łamigłówki.

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

– Gratulacje! – Książę też się uśmiechał. Rozjaśniło mu to twarz na tyle, że przez moment nie wydawał się nawet aż tak zmarznięty. – Co o tym myślisz?

Moje spojrzenie powędrowało od układanki do stosu lśniących odłamków.

– To wygląda na czasochłonną pracę, wasza książęca mość.

– Och, to tylko część elementów. Większości nie wyjąłem jeszcze z kufrów. Ale to nic – odparł lekko książę. – Nie spieszy mi się.

Musiał zauważyć, że zbieram się już do odejścia, bo zeskoczył z krawędzi stołu i oddał mi pustą filiżankę.

– Jeśli interesują cię tego typu rzeczy, zawsze możesz tu wpaść i spróbować coś ułożyć na własną rękę.

W ostatnich tygodniach brakowało mi czasu nawet na sen, a co dopiero na zajmowanie się zakłętymi układankami. Mimo to uprzejmie skłoniłem głowę.

– Dziękuję, wasza książęca mość.

Byłem już przy schodach, gdy znów się odezwał.

– Mam na imię Linden. A ty?

– Tres.

– Bardzo mi miło.

Kilka minut później wróciłem na strych, żeby oddać mu rękawiczkę.

Od tego czasu przynoszenie naszemu lokatorowi popołudniowej herbaty stało się jednym z moich codziennych obowiązków. Za każdym razem zatrzymywałem się na parę minut, by dołożyć do układanki kolejny element i zamienić kilka zdań z dziwacznym księciem.

Stopniowo strych stawał się coraz bardziej przytulny: pod sufitem zapłonęły magiczne światła, podłogę pokryły dywany, a ponad rzędem wysokich okien zawisły czerwone zasłony. Puste dotychczas stoły zappełniły się nowymi fragmentami układanki i stosami książek, namiętnie znoszonych tu przez Lindena.

Powoli rosła we mnie pewność, że moje odwiedziny z jakiegoś powodu sprawiają księciu przyjemność. Zresztą ja sam zaczynałem traktować swoje wyprawy na strych jako najbardziej wyczerpującą część dnia. Pozwalały mi odpocząć: w końcu jedynym, czego wymagał ode mnie ekscentryczny elf, było pełne skupienie studiowanie układanki.

Nie byłbym jednak sobą, gdyby każda kolejna wizyta na poddaszu nie rodziła we mnie nowych pytań.

Najważniejsze z nich brzmiało: z którym księciem miałem właściwie do czynienia?

Dotychczas byłem przekonany, że znam imiona wszystkich królewskich dzieci, ale o tym konkretnym nigdy wcześniej nie słyszałem.

Rozmowy z pracownikami redakcji nie okazały się szczególnie pomocne.

– A, tak, książę Linden. Trochę go szkoda – przyznała Marigold z działu kulturalnego.

– To ten, którego unikają królewscy astrologowie – przypomniał sobie Helin, gdy podrzucał mi swój nowy felieton.

Oriel, autor naszych cotygodniowych horoskopów, odpowiedział na moje pytania wyłącznie rozłoszczonym prychnięciem.

O dziwo, najwięcej dowiedziałem się od Ansela.

– To nasz książę od baśni – wyjaśnił beztrasko, zakańczając akapit zamaszystym wykrzyknikiem. – Zabawny chłopak.

– Od której baśni? – zapytałem. W końcu niemal każdy książę był od jakiejś.

Ansel posłał mi z lekka zdziwione spojrzenie.

– Od wszystkich, oczywiście.

Ostatecznie doszedłem do wniosku, że jedyymi osobami, które byłyby w stanie udzielić mi sensownej odpowiedzi, są książę Dinai i sam książę Linden. Z żadnym z nich nie zamierzałem jednak podejmować tego tematu. Potrafiłem sobie wyobrazić, jakie konsekwencje może mieć zadawanie im niezręcznych pytań.

Odłożyłem więc swoje śledztwo na bok, by skupić się na coraz wyżej piętrzących się obowiązach, i przez parę następnych tygodni nie myślałem zbyt wiele o tym, kim naprawdę jest nasz lokator i co mają przeciwko niemu królewscy astrologowie.

Aż do pewnej ponurej środy, kiedy wszystkie odpowiedzi równocześnie zwały mi się na głowę.

Za oknami, na tle ciemnoszarego nieba, sypał śnieg, a w pracowni na strychu paliły się wszystkie światła. Na moment uniosłem głowę znad układanki i moje spojrzenie padło na książkę w rękach księcia.

Miała złożone brzegi i była otwarta na ilustracji z trójgłowym smokiem.

Czytał zbiór baśni. Każda z piętrzących się wokół nas książek, uświadomiłem sobie nagle, była zbiorem baśni.

Przypomniały mi się słowa Ansela.

– Waszą książeczką mość ciekawią baśnie – zauważyłem.

Uniosł głowę i widziałem, że z trudem powstrzymuje się od powtórzenia po raz setny „Naprawdę możesz mi mówić Linden”.

– Tak, jestem z tego dość znany – odparł zamiast tego. – Myślałeś, że dlaczego zajmuję się układanką Królowej Śniegu?

– Dla przyjemności?

– To też, oczywiście. Ale głównie z... powiedzmy, zawodowej ciekawości. – Zamknął książkę, starannie założywszy ją rękawiczką. – Królowa posłała mi ją na początku roku. Twierdzi, że może ją ułożyć tylko ktoś o czystym sercu, a nawet wtedy zajmie mu to sto lat i jeden dzień. Ale podobno

warto się postarać: nagrodą za jej ułożenie jest nieśmiertelność... – Dramatycznie zawiesił głos, a potem kontynuował z krzywym uśmiechem: – Mam teraz sporo wolnego czasu, więc uznałem, że przetestuję tę teorię.

Zastygłem z odłamkiem lodu w dłoni, starając się pojąć znaczenie jego słów. Brzmiały szalenie. Zakłęb takich jak to nie dało się złamać, obejść ani przechytryć. Były zbyt mocno zrośnięte z zasadami, jakimi rządził się nasz świat.

Powędrowałem spojrzeniem po tysiącach kałków srebrzących się wokół nas.

– Cóż... z pewnością robi książę duże postępy – oceniłem ostrożnie.

Linden uśmiechnął się, jakby był w stanie odczytać, jakie myśli pędzą mi przez głowę.

– Uwierz, mogę być jedyną osobą w królestwie, która nadaje się do tej pracy. Jestem kimś w rodzaju... przechodnia. Potrafię przyglądać się baśniom od zewnątrz.

– Od zewnątrz?

Przytaknął. Miałem wrażenie, że sili się na beztraskę i nie wychodzi mu to najlepiej.

– Nikt ci o tym jeszcze nie mówił, Tres? Jestem ósmym synem króla.

Przyglądałem mu się bez słowa.

Elficcy królowie nie miewali ośmiu synów.

Jednego, oczywiście. Każdy król potrzebował pierworodnego. Lub trzech, żeby trzeci mógł pokonywać smoki i ratować księżniczki z rąk czarno-księżników. Lub siedmiu, bo nie dało się urodzić pod szczęśliwszą gwiazdą niż jako siódmy syn siódmego syna. Nawet synowie, którzy urodzili się pomiędzy, byli ważni i potrzebni: w końcu nie można było nagle przeskoczyć od pierwszego do trzeciego i od trzeciego do siódmego dziecka.

Ale ośmiu? Żadna baśń nie opowiadała o ósmym synu.

Żadna go nie potrzebowała.

– Masz rację – zgodził się Linden, choć nie wypowiedziałem nawet słowa. – Widzisz, spodziewano się, że będę trzecią córką. Wszyscy na dworze byli przerażeni, kiedy się urodziłem. Natychmiast wezwano królewskich astrologów.

Tych samych astrologów, którzy, według Helina, starali się od niego trzymać z daleka.

– Na szczęście gwiazdy nie powiedziały o mnie niczego złego. Nie byłem zapowiedzią tego, że królestwo pograży się w wiecznym śnie albo że wszyscy dworzanie zamienią się w złoto.

Próbowałem to sobie wyobrazić. *W minionych dniach nasze królestwo znacznie się wzbogaciło. Nie wszystkich ucieszy jednak ta informacja, gdyżby zapewne tytuł w gazecie.*

– Nie byłem zapowiedzią niczego – spokojnie dokończył Linden. – Gwiazdy nigdy o mnie nie słyszały.

Przez chwilę wpatrywałem się w niego w ciszy. Wyglądał jak zupełnie zwykły elf – choć był może odrobinę bledszy i spokojniejszy, i mniej czarujący niż reszta.

Cóż, zawsze był też dla mnie miłszy.

– Przykro mi – wyrwało mi się, nim zdołałem ugryźć się w język.

Linden wzruszył ramionami.

– To naprawdę nic wielkiego. Kwestia przyzwyczajenia. – Podniósł do światła odłamek lodu, który jeszcze chwilę temu trzymałem w ręku. Odbite kolorowe światło zagrało mu na nosie i policzku. – Zresztą, na pewno rozumiesz teraz, czemu interesują mnie baśnie. Nie jestem częścią żadnej z nich, więc sprawdzam się w roli ich obserwatora. Czasami zdarza mi się nawet ingerować, gdy coś idzie nie tak, jak powinno.

Rozumiem – skłamałem.

Dopasował mój kawałek do luki zięjącej w sercu układanki i z zadowoleniem skinął głową. Potem sięgnął po swoją pustą filiżankę i włożył mi ją w ręce.

– Nie chcę, żeby Dinai się na ciebie złościł.

Zupełnie zapomniałem, ile obowiązków czeka na mnie piętro niżej. Skłoniłem się i bez słowa ruszyłem w stronę schodów.

Wciąż jeszcze szumiało mi lekko w uszach, ale mimo to nie umknęły mi ostatnie słowa Lindena:

– Oczywiście, jeśli nie chcesz, nie musisz mi jutro przynosić herbaty.

Następnego dnia, równo o trzynastej, wspiałem się po zakręconych schodach na strych i postawiłem przed Lindenem filiżankę herbaty.

To, że był nieoczekiwanym ósmym księciem, o którym nie wiedziały nawet gwiazdy, wciąż wydawało mi się nierealne. Ale być może oznaczało to, że był odpowiednim towarzyszem dla jedynego kobolda na elfickim dworze.

Tak czy inaczej, w ostatnich tygodniach odwiedziny na poddaszu były jedyną przyjemnością, na którą sobie pozwalałem. Nie zamierzałem jej teraz tracić.

Linden wyraźnie zdziwił się na mój widok, ale już po sekundzie jego twarz rozjaśnił nieśmiały uśmiech.

– Dzień dobry, Tres.

– Dzień dobry, wasza książęca mość.

– Spójrz, udało mi się wczoraj ułożyć część górnej krawędzi.

Jeśli dotychczas byliśmy wyłącznie przelotnymi znajomymi, tego dnia staliśmy się niemalże przyjaciółmi. Nasze spotkania nie trwały długo, ale rozmawialiśmy coraz częściej, a Linden pił swoją herbatę coraz wolniej.

Z każdym dniem dowiadywałem się też więcej o tym, co nazywał swoim zawodem.

– Królewskiemu synowi nie przystoi niczym się nie zajmować, a ja jestem dobry właśnie w tym – wyjaśnił mi któregoś razu, przeskakując ponad stosem odłamków lodu porzuconych na dywanie. Od czasu naszej pamiętnej rozmowy wydawał się dużo bardziej ożywiony. – W dzieciństwie zajmowałem się baśniami głównie dla własnej przyjemności, ale dość szybko uświadomiłem sobie, że moje umiejętności mogą być całkiem przydatne.

Wciąż nie wyjaśnił mi dokładnie, na czym polegały jego talenty. Same wzmianki o historiach, w których uczestniczył, wystarczyły jednak, żeby rozpalic moją wyobraźnię. Dworzanin zaklęty w gołębia, magiczna srebrna igła ukryta pomiędzy setką stalowych, księżniczka, której ktoś ukradł głos. Przysłuchiwałem się urywkom jego opowieści, mimowolnie wyobrażając sobie artykuły, które mógłbym o nich napisać.

Każde nasze spotkanie kończyło się odrobinę za szybko. Zbiegałem po schodach i wracałem do prawdziwego świata.

Dwa miesiące usilnej pracy najwyraźniej wystarczyły, by książę Dinai i jego podwładni nabrali do mnie pewnego zaufania. Teraz większość czasu spędzałem za biurkiem, skreślając czerwonym ołówkiem powtórzenia, zmieniając szyk zdań i niekiedy dopisując do artykułów nowe akapity. W dniu, kiedy udało mi się przekonać Marigold, że *Zła macocha zaproszona na ślub stulecia. Jak daleko pada jabłko od zatrutej jabłoni?* może być tytułem, który prędzej czy później sprowadzi nam na głowy jakąś poważną klątwę, poczułem, że moja kariera rozwija się we właściwym kierunku.

Jeśli książę Dinai zauważył, że moje wizyty na strychu stają się coraz dłuższe, nijak tego nie skomentował. Być może traktował to jako przysługę dla swojego młodszego, dziwnego brata.

Mijały dni i choć zarówno zima, i jak i moje obowiązki zdawały się nie mieć końca, Linden zbliżał się powoli do ukończenia układanki Królowej Śniegu. Przesunął stoły pod ścianę, rozłożył łamigłówkę na podłodze i połączył jej największe elementy. Przypominała teraz szklany parkiet, nad którym musieliśmy przeskakiwać za każdym razem, gdy chcieliśmy się dostać z jednego końca pokoju na drugi. I choć pomiędzy odłamków lodu wciąż jeszcze nie wyłoniło się żadne konkretne słowo, czułem, że od obiecaniej nieśmiertelności nie dzieli go wiele – parę dni spokojnej pracy lub kilka wyjątkowo produktywnych godzin.

To, że był już tak bliski dokonania tego, co według wszelkiej logiki powinno mu zająć sto lat i jeden dzień, budziło we mnie podziw, ale równocześnie napawało niepokojem. Domyślałem się, że w chwili, kiedy ukończy układankę, nie

będzie już potrzebował pracowni nad „Lotnym Kurierem”, a ja najpewniej stracę jedynego przyjaciela, którego udało mi się zdobyć przez miesiące niekończącej się zimy.

Oczywiście wszystkie te zmartwienia odeszły w zapomnienie w dniu, kiedy księżę Dinai poprosił mnie o napisanie artykułu, który miał mnie wepchnąć w sam środek mojej pierwszej złamanej baśni.

Nie przyszło mu nawet do głowy ukrywać, co stoi za tą propozycją.

– Wesele Silasa z Czarnej Doliny i panny Adeliny to największe wydarzenie roku. Mój ojciec objął je patronatem i zaprosił na uroczystości wszystkie szlachetnie urodzone elfy w królestwie – wyjaśnił z pewnym rozmarzeniem, a potem wyprostował się na krześle i odkaslnął. – Jesteś jedynym pracownikiem „Kuriera”, który nie otrzymał zaproszenia.

Nie było w tym nic zaskakującego, ale i tak lekko się wzdrygnąłem.

– ...co oznacza, że mogę tego dnia pracować.

– Właśnie. Chciałbym, żebyś przeszedł się wśród gości, wysłuchał wszystkich toastów i napisał potem artykuł o całym weselu. Nie zaszkodzi dodać jakiegoś akapitu o tym, w co była ubrana macocha panny młodej, i jak zachowywało się pięciu gnomów. Wiesz, o co mi chodzi.

– Oczywiście, proszę pana.

Przez chwilę przyglądał mi się w zamyśleniu.

– Wyobrażam sobie, że robienie notatek wśród paru setek świętujących dworzan nie będzie najlepszą zabawą – powiedział z powagą, której się po nim nie spodziewałem. – Ale jeśli mi zaimponujesz, postaram się znaleźć ci jakieś przyjemniejsze artykuły do napisania.

Skloniłem się z mocno bijącym sercem.

– Dziękuję, proszę pana.

– Spróbuj mnie czymś zaskoczyć, Tres.

Pod wieloma względami wesele, któremu patronował król Finan, przypominało jego pory roku: było tak piękne, że aż nierealne.

Stoły dla gości rozstawiono wzdłuż głównej alei pałacowego parku. W przeciągu nocy wszystkie drzewa zdążyły zakwitnąć i wypuścić owoce. Osłoneżone gałęzie uginały się teraz od jabłek i moreli. Powietrze było ciepłe, ale śnieg nie topił się pod nogami i nie zamieniał w ciemne błoto. Królewskie zaklęcia, spiętrzone jedno na drugim, sprawiały, że odrobina wiosny zmieszała się z zimą i zapuściła korzenie między pałacowymi murami.

Muzyka skrzypiec i fletów unosiła się pod bezchmurne niebo, a między alejkami sunęły setki kolorowo ubranych gości. Większość stanowiły elfy – jedyne chochliki, nimfy i skrzaty, które zauważyłem, były zajęte roznoszeniem tac i odbieraniem płaszczy.

Zjawiłem się w parku dopiero pół godziny temu, a już przynajmniej pięć różnych osób próbowało mi oddać swoje puste kieliszki.

W chwili, kiedy w polu mojego widzenia zmateriałizował się szósty kieliszek, byłem już niemal gotów rzucić w kogoś swoim notesem.

– Czy to zły moment? – zapytał Linden, cofając się instynktownie. – Zobaczyłem cię w tłumie i uznałem, że przyniosę ci coś ze stołu.

Nie pomyślałem wcześniej, że mogę go tu spotkać. Przyzwyczaiłem się już do tego, że widuję go z dala od innych elfów, zawiniętego w pled i sączonego herbatę, jakby zależało od tego jego przetrwanie.

Pierwszy raz widziałem go w książęcym diademie na głowie, z niebieskim płaszczem spływającym z lewego ramienia i rzędem bursztynowych guzików u kamizelki. Nawet nie wyglądał, jakby było mu zimno.

– Nie miałem pojęcia, że pojawiaasz się na takich uroczystościach.

Linden beztrząsco wzruszył ramionami.

– Zwykle się nie pojawiam. Ale lubię wesela.

– Kiedy znów wyciągnął do mnie rękę z kieliszkiem, przyjąłem go bez słowa. – Rozumiem, że jesteś w pracy?

– Co mnie wydało? – spytałem cierpko.

– Wyglądasz, jakbyś okropnie się bawił. Och, i masz przy sobie notes.

W towarzystwie Lindena opadła ze mnie część napięcia. Stojąc obok elfickiego księcia z prawdziwego – lub niemal prawdziwego – zdarzenia, łatwiej mi było udawać, że pasuję do tego miejsca.

Starałem się nie przywiązywać do tego uczucia.

– Bez urazy, ale nie mam czasu na rozmowę. Twój brat oczekuje, że napiszę coś interesującego o gościach honorowych. Mam go zaskoczyć.

– To będzie twój pierwszy artykuł?

Przytaknąłem, uciekając spojrzeniem gdzieś w gałęzie drzew.

Dotychczas w rozmowach z Lindenem niemal podświadomie unikałem tematu swojej pracy. Marzenie o zostaniu dziennikarzem towarzyszyło mi od tak dawna, że gdybym zaczął o nim mówić, nie byłbym w stanie przestać. Musiał się tego domyślać, bo nigdy nie protestował, kiedy zbywałem jego pytania milczeniem lub pospiesznie zmieniałem temat.

Teraz też nie czekał na żadną konkretniejszą odpowiedź, tylko w zamyśleniu potoczył wzrokiem po różnobarwnym tłumie.

– Czy wiesz już, o kim chcesz napisać?
 – Jeszcze się nad tym zastanawiam – odparłem z godnością, zamykając swój zdradziecko pusty notes.

Linden udał, że tego nie zauważa.

– Jeśli chcesz, mogę ci pokazać najważniejszych gości.

– Czy nie masz nic ciekawszego do zrobienia?

– Naprawdę nie.

Moje wahanie nie trwało długo. Jeśli chciałem napisać artykuł, który zaimponuje księciu Dinaiovi, musiałem być gotów na wszystko.

Jednym łykiem dopiłem zawartość kieliszka.

– Prowadź.

Linden wziął mnie za rękaw i poprowadził przez ruchomy labirynt gości aż do zastawionych ciastami stołów. Powietrze pachniało tu wanilią i karmelem, a nad naszymi głowami zwieszały się ośnieżone gałęzie drzew.

– Ile wiesz o pannie młodej? – zapytał.

– Tyle, ile napisano o niej w „Kurierze”. – Przed oczyma stanęły mi artykuły, które redagowałem do późnej nocy, i wszystkie przecinki, o które musiałem je uzupełnić. – Właściwie nie mam nic przeciwko temu, żebyś opowiedział mi o niej od nowa.

Linden posłał mi promienny uśmiech. Nic dziwnego – zawsze ożywał się, gdy temat naszej rozmowy schodził na baśnie.

A życie panny Adeliny nie było niczym innym niż baśnią.

– Na pewno słyszałeś już, że jest córką szlachcica z Brinen. Jej ojciec owdowiał, gdy miała zaledwie parę lat, i po krótkiej żałobie poślubił starszą siostrę swojej zmarłej żony, panią Margot. Przyjaciele uprzedzali go, czym zwykle kończą się takie pomysły, ale nie chciał ich słuchać. Jego nowa żona była, rzecz jasna, kobietą niespotykanej urody.

– Czy sprowadziła się do pałacu z magicznym zwierciadłem, przekazywanym w jej rodzinie od wielu pokoleń?

– Z pozytywką, co było niemal równie złowróżbne.

Westchnąłem ciężko. Nie miałem pojęcia, jakim sposobem elfy zawsze pakowały się w tego rodzaju kłopoty.

– Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, pani Margot nie zapałała większą sympatią do małej Adeliny. Tolerowała ją jakoś, póki ta była dzieckiem, ale kiedy dziewczyna wyrosła i wypiękniała, cierpliwość macochy się skończyła. Akurat w tym czasie zmarł jej mąż...

– Został zamordowany? – podchwyciłem.

– Zaziębił się na polowaniu. Ale panuje po-

wszechna zgoda co do tego, że tak czy inaczej Margot zadbałaby, żeby nie żyła długo.

Przytaknąłem. Kraina elfów rządziła się własnymi zasadami i znajdowanie macochy dla swojej pięknej jedynaczki było niemal równie niebezpieczne, co narażanie się trzeciemu synowi młynarza.

– Co do zaczarowanej pozytywki podobno zamiast wygrywać jakiekolwiek melodie, regularnie opowiadała Margot, o czym szepczą słudzy za jej plecami. W dniu, kiedy pozytywka oznajmiła, że wszyscy zapomnieli już o jej urodzie i zachwycają się pięknem Adeliny, los pasierbicy był przesądzony... – Linden dramatycznie zawiesił głos. W innym życiu mógłby zostać wędrownym bazarzem; w tym był księciem, który w oratorskim zapale właśnie wybrudził sobie rękaw bitą śmietaną.

Zbyt dobrze się bawił, żebym ośmielił się mu o tym powiedzieć.

– Kazała jednemu ze swoich myśliwych zaprowadzić Adelinę do lasu i wyciąć jej serce? – próbowałem zgadnąć.

– Nie, złe macochy nie robią już tego od lat. Nauczyły się, że w takich sprawach nie można polegać na myśliwych. Zamiast tego Margot prosiła o pomoc swojego osobistego kucharza.

– Żartujesz.

– Nigdy w takich kwestiach. Kucharz był jej całkowicie oddany i rzeczywiście parokrotnie próbował zabić Adelinę: najpierw podrzucił jej do posłku wilcze jagody, a potem, gdy to nie pođziało, zaatakował ją w czasie kolacji.

– Jakim sposobem udało jej się przeżyć?

– Z tego, co rozumiem, panna Adelina jest niezwykle inteligentną i czujną kobietą. Życie w cieńu macochy nauczyło ją podejrzliwości. Potraktowała próbę otrucia jako pierwsze ostrzeżenie i kiedy kucharz rzucił się na nią z nożem, była już gotowa. Zabiła go i jeszcze tej samej nocy uciekła w otaczające Brinen lasy.

– I ilu gnomów tam spotkała? – zainteresowałem się.

– Pięciu, z czego czterech początkowo nie było do niej przekonanych.

Gdybym był gnomem, za żadne skarby świata nie zamieszkałbym w królestwie elfów. Za bardzo obawiałbym się dnia, w którym do moich drzwi zapuka czyjaś zbiegła pasierbica.

Mogły nie być to zbyt częste sytuacje, ale i tak wolałbym nie ryzykować.

– Później historia biegła już znajomym torem. Adelina przez niemal rok mieszkała razem z gnomami, pomagając im w codziennych pracach. Ale Margot nigdy nie przestała jej szukać. Wreszcie pozytywka zdradziła jej, że wśród służących krążą plotki o tym, jakoby dziedziczka ich pana miesz-

kała w pobliskim lesie. Margot udała się tam, odnalazła chatę gnomów i zostawiła na progu misę zatrutych jabłek.

– W Adelinie nie wzbudziło to podejrzeń?

Linden wzruszył ramionami.

– Szczерze mówiąc, powinno było. Może była zmęczona po dniu pełnym pracy, a może uznała to za prezent od jednego z jej leśnych przyjaciół. W każdym razie odgryzła kęs i od razu zapadła w sen, z którego obudzić ją mógł wyłącznie pocałunek prawdziwej miłości. Gnomy zbiły jej trumnę z desek, napełniły ją kwiatami i położyły na pobliskiej polanie. Jedyne, co mogły teraz zrobić, to czekać na przybycie jej ukochanego.

Nie istniała żadna reguła mówiąca, ile miałyby trwać takie oczekiwanie. Niektóre zakłète panny budziły się już po paru dniach, inne zapadały w sen na długie lata. Kiedy byłem dzieckiem, opowiadano mi, że na mokradłach za Merivel śpi królowna przeklęta jeszcze w poprzedniej epoce. Droga przez bagna była tak niebezpieczna, że od dawna nikt nie ryzykował obudzenia jej pocałunkiem.

Panna Adelina miała więcej szczęścia.

– Parę miesięcy później nastała zima i mój brat, książę Miriel, postanowił się udać na polowanie – kontynuował Linden. – Sam twierdzi, że nie zdawał sobie wtedy sprawy, że w lasach Brinen śpi piękna panna, ale nie do końca mu wierzę. Kiedy ma się trzeciego i siódmego brata, a mimo to chce się zostać głównym bohaterem baśni, trzeba szukać okazji na każdym kroku.

Uniosłem głowę znad notku.

– Podejrzewam, że nie powinienem tego cytować?

– O ile nie chcesz, żeby nas wygnali – potwierdził beztrosko Linden. – Przy czym byliśmy... Miriel i jego przyjaciele zdecydowali, że zamienią polowanie w zawody. Rozdzielili się i na dźwięk rogu osobno wjechali do lasu. Każdy z nich mógł ze sobą wziąć tylko jednego, najbliższego sługę. Ustalili, że zwycięzcą zostanie ten, który do zachodu słońca upoluje najbardziej imponującą bestię. Ale, jak zapewne słyszałeś, nigdy nie rozstrzygnęli tego konkursu. Po paru godzinach krążenia po lesie szlachetny Silas z Czarnej Doliny, mój kuzyn, natknął się na niewielką, obsypaną kwiatami trumnę...

– Oczywiście, że tak.

– A kiedy odgarnął kwiaty, ujrzał twarz panny Adeliny i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

– Rzecz jasna.

– Nie ma w tobie za grosz romantyzmu, Tres, czy ktoś ci to już kiedyś mówił? W każdym razie Silas pocałował ją, a ona już po paru minutach ożyła i usiadła. W pierwszej chwili była oszoło-

miona, ale prędko doszła do siebie i opowiedziała mu, kim jest i skąd się tu wzięła. Postanowili, że wspólnie zwrócą się o pomoc do Miriela. O tym, co wydarzyło się dalej, wie cały elficki dwór: Miriel wtrącił Margot do lochu, Adelina odzyskała cały majątek swojego ojca, gnomom nadano tytuły szlacheckie, a król Finan zdecydował, że ślub zakochanych koniecznie musi się odbyć w naszym pałacu.

– I wszyscy żyli długo i szczęśliwie? – dodałem.

– Zgodnie z baśniową tradycją „długo i szczęśliwie” powinno się zacząć dopiero po ślubie. Daj im jeszcze parę godzin.

Nie byłem w stanie powstrzymać uśmiechu.

– A co powiesz o tym, że panią Margot zaproszono na wesele?

– Cóż, nie mieli innego wyjścia. Nim została macochą Adeliny, była jej matką chrzestną. Wszyscy wiemy, czym grozi niezaproszenie matki chrzestnej na dowolną większą uroczystość.

Fakt, królestwa upadały z mniej istotnych przyczyn.

– Teraz znasz już całą baśń. A jeśli interesują cię jej bohaterowie... – Linden skinął w stronę głównego stołu, zwieńczonego łukiem z białych i niebieskich kwiatów. – Tam stoją państwo młodzi.

Moje spojrzenie powędrowało wzdłuż kolejki szlachetnie urodzonych gości do pary narzeczonych, zajętych przyjmowaniem ślubnych prezentów i wymianianiem uprzejmości.

Nigdy dotąd nie widziałem tak pięknej pary. Pan Silas był smukłym, czarującym młodzieńcem o miodowych oczach i szybkich ruchach, a panna Adelina, z poważnym spojrzeniem i dumnie podniesionym podbródkiem, roztaczała wokół siebie aurę niespotykanej godności. W jej włosach, rudych jak lisie futro, połyskiwała srebrna tiara, a z ramion spływały śnieżnobiały płaszc.

Za ich plecami stali dwaj mężczyźni, wyznaczeni zapewne na świadków nadchodzącej ceremonii. W jednym z nich natychmiast rozpoznałem księcia Miriela; drugi, wnioskując ze wzrostu, musiał być gnomem z Brinen.

– To Angus – wyjaśnił Linden. – Z tego, co słyszałem, Adelina traktuje go jak rodzzonego ojca.

Miałem właśnie zapytać o pozostałych czterech gnomów, kiedy wśród gości podniosły się krzyki. Przez kolejkę przepychała się kobieta z wysoko upiętymi, kasztanowymi włosami. Tren czarnej sukni sunął za nią jak długi cień.

– Nie każecie mi chyba czekać! – zawołała, rzucając wyzywające spojrzenie strażnikom. – Mam prawo złożyć życzenia własnej córce.

Na jej widok panna Adelina cofnęła się gwałtownie, jak gdyby rozważała ukrycie się za ple-

cami Angusa. Jej wahanie nie trwało jednak długo. Już w następnej sekundzie wyprostowała się, mocno splatając smukłe dłonie.

– Pozwólcie jej przejść.

Otworzyłem notes na pustej stronie.

Zła macocha dumnym krokiem przeszła na początek kolejki i kpiąco skłoniła się narzeczonym.

– Adelino.

– Margot – odparła sucho panna młoda. – Na prawdę dalej zamierzasz nazywać mnie swoją córką?

– Dlaczego nie? To, że trzy razy udało ci się oszukać śmierć, zawdzięczasz bardziej mojemu wychowaniu niż krwi swoich rodziców.

– Z pewnością zawdzięczam ci to, że musiałam ją w ogóle oszukiwać.

Notowałem jak szalony, ignorując rozbawione spojrzenie Lindena.

– Co za niewdzięczność! – prychnęła Margot. – To ja od dziecka karmiłam cię słodyczami i uczyłam magii. Czy to nie dzięki mnie odnalazłaś swoją prawdziwą miłość? Możesz o mnie myśleć, co chcesz, ale gdyby nie ja, nigdy nie trafiłabyś na królewski dwór. Powinnaś mi podziękować za całe to szczęście.

Silas położył dłoń na rękojeści miecza.

– Musiałaś źle zrozumieć nasze zaproszenie, więdźmo, skoro myślisz, że możesz tu stać i nas obrażać – wycodził. – To twoja ostatnia noc wolności. Ciesz się nią, póki możesz.

Szeroki uśmiech na twarzy Margot przypominał krwawą ranę.

– Uwierzcie mi, zamierzam.

Odwróciła się tak gwałtownie, że tren jej sukni zmiotł śnieg ze ścieżki, i skryła się w tłumie.

Chwilę trwało, nim goście uspokoiili się na tyle, by kontynuować ceremonię wręczania prezentów.

– Co o tym myślisz? – zapytałam. Ledwo tłumem ekscytację.

– Myślę, że nie zabraknie ci tematów do artykułu – odparł Linden. – Czy mówiłem już, że uwielbiam wesela?

W końcu zmuszony byłem powiedzieć Lindeni, że wciąż ma na rękawie pół babeczki z bitą śmietaną. Wydawał się tym szczerze zdziwiony. Nim poszedł się przebrać, obiecał mi jeszcze, że odnajdzie mnie, jeśli tylko natknę się na coś godnego wzmianki w artykule.

Nie widziałem go przez następne trzy godziny.

Nie nudziłem się jednak pod jego nieobecność. Dla pani Margot mogła to być ostatnia noc wolności, ale dla mnie była to pierwsza noc w roli dziennikarza. W swojej ekscytacji obchodziłem cały pałacowy park, przyglądając się organizowanym między drzewami zabawom, klucząc między

tancerzami, zaczepiając służących. Kolejne strony mojego notesu wypełniały się notatkami.

Księżę Elander zwycięzczą gry w siedem wstążek.

Wśród zaproszonych muzyków legendarny flecista Temilis, znany też jako Władca Szczurów.

Suknia Czarnej Damy z Melithen – czy to znowu ta sama?

Nawet nie przyszło mi do głowy zacząć któregośkolwiek z elfickich gości. Zdawałem sobie sprawę z tego, że za żadne skarby świata nie zaszczycą mnie wywiadem. Udało mi się natomiast zamienić parę uprzejmych zdań z Blairem, jednym z gnomów z Brinen. Akurat kiedy się z nim żegnałem, wśród gości mignęła mi postać głównego redaktora.

Księżę Dinai uniósł brwi na widok mojego rozmówcy, ale ostatecznie tylko skinął mi głową i na powrót zlał się z tłumem.

Zaczynało się już ściemniać, kiedy wreszcie przysiadłem na ławce, żeby odpocząć i przejrzeć swoje notatki. Byłem z nich całkiem zadowolony: jedynym, czego w nich jeszcze brakowało, był opis samego ślubu. Pan Silas i panna Adelina już jakiś czas temu wrócili do pałacu, by odpocząć i przygotować się do nadchodzącej ceremonii. Za nie więcej niż dwie godziny panna młoda miała ruszyć między szpalerem gości, wziąć za rękę swojego ukochanego i w obecności króla Finana przysięgnąć mu wieczną miłość i wierność.

Do tego czasu mogłem odpoczywać.

Zastanawiałem się właśnie, czy ktoś spróbuje mnie powstrzymać, jeśli nałożę sobie kawałek biskoptu, gdy na chodniku zadudniły kroki i zdyszany sługa wyhamował przed moją ławką.

– Pan Tres? – zapytał. Musiał mieć w sobie odrobinę skrzaciej krwi, bo przerażone czarne oczy zajmowały większą część jego trójkątnej twarzy.

– To ja. Coś się stało?

– Przysłała mnie księżę Linden. Mam zapytać, czy... czy nie zechciałby pan może do niego dołączyć w pałacu.

No tak. Niczego to nie tłumaczyło.

– Z jakiegoś konkretnego powodu? – dopytałem ostrożnie.

Służący przytaknął nerwowo.

– Kazał panu przekazać, że trafił na coś, co powinno się znaleźć w pańskim artykule.

Z parku służący poprowadził mnie na zaśniewiony dziedziniec, a potem przez strzeżone drzwi, schodami i na piętro.

Weszliśmy do niewielkiego, bogato urządzonego saloniku. Magiczne światła płonęły pod sufitem, odbijając się w srebrnych lustrach i zalewając ciepłym blaskiem zgromadzone wokół stołu elfy.

Linden podniósł się na nasz widok.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

Byłem zbyt zdumiony, by odpowiedzieć mu czymkolwiek innym niż ukłonem.

– Kto to właściwie jest? – warknął Silas z Czarnej Doliny.

Z trudem rozpoznałem w nim pewnego siebie, beztróskiego pana młodego, który jeszcze parę godzin temu przyjmował prezenty z rąk gości weselnych. Jego płaszcz spływał teraz z oparcia krzesła, koszula była rozpięta i zmięta, a miodowe oczy wydawały się mokre, jakby dopiero co płakał.

Przeglądał mi się z tym szczególnym rodzajem wściekłości, który rodzi się z przerażenia.

– To Tres z „Lotnego Kuriera”, gazety księcia Dinaia – odparł Linden spokojnie.

– Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas czekaliśmy na dziennikarza?

– Tres wie, czym się zajmuję. Będzie pełnić funkcję mojego pomocnika.

Silas poderwał się zza stołu, ale księżę Miriel złapał go za ramię i zdecydowanym ruchem usadził na miejscu.

– Linden wie, co robi – powiedział z naciśkiem, a potem odwrócił się do swojego młodszego brata. – Możemy zaczynać?

Z wszystkich książąt to Miriel najbardziej przypominał króla Finana. Miał szerokie czoło, gęste brwi i spojrzenie osoby nawykłej do wydawania rozkazów. Siedział teraz wyprostowany za stołem i tylko jego głowa przechylała się lekko na bok, jak gdyby pod ciężarem złotego diadem.

Spodziewałem się, że w jego obecności Linden stanie się jeszcze bardziej niepozorny: jak szary kot skulony przy boku lwa lub kawałek szkła wrzucony między klejnoty. Nie miałem racji.

Bracia spojrzeli na siebie i nagle nie dało się już poznać, który z nich jest pierwszym, a który ósmym synem.

Lindenowi płonęły oczy.

– Myślę, że na początku Tresowi należą się wyjaśnienia. – Odwrócił się w moją stronę. – Na pewno jesteś skonfundowany. Obiecuję, że zaraz wszystko zrozumiesz.

Nie byłem tego taki pewien. Odległe zdawałem sobie sprawę, że Linden nie zaprosił mnie tu tylko po to, bym przeżywał męczarnie pod niechętnymi spojrzeniami pary szlachetnie urodzonych elfów. Takie okrucieństwo zwyczajnie do niego nie pasowało. Jeśli już, to rzeczywiście natrafił na interesujący temat artykułu i uznał, że jest on wart mojego czasu – i cierpienia.

Miałem też nadzieję, że tak naprawdę nie spodziewa się ode mnie żadnej pomocy. Wbrew temu, co powiedział, jak dotąd nie udało mi się w pełni zrozumieć, czym dokładnie się zajmuję.

– Półtorej godziny temu panna Adelina wróciła

do pałacu, żeby przygotować się do ceremonii.

– Linden skinął mi ręką. Niechętnie ruszyłem za nim przez pokój. – Z tego, co wiemy, przez pierwszy kwadrans towarzystwa dotrzymywała jej pokojówka. Później, na prośbę panny Adeliny, została tu zaproszona pani Margot. Ta po paru minutach wyszła i pozostawiła pannę młodą zupełnie samą. – Zatrzymał się przed drzwiami skrytymi w cieniu regału i położył dłoń na klamce. – Pół godziny temu zjawił się tu pan Silas. Służba zbiegła się parę minut później... usłyszawszy jego krzyki.

Linden otworzył przede mną drzwi.

– Mimo wszelkich starań panny Adeliny nie udało się obudzić.

Panna młoda leżała na szezlongu z sennym uśmiechem na różanych wargach. Jej rude włosy rozsypały się w wachlarz na białej poduszce, a rąbek sukni spłynął na podłogę. Nawet przekłeta, wydawała się uosobieniem uroku i dostojęstwa.

Stałem nad nią z rękami skrzyżowanymi na piersi i mocno bijącym sercem, starając się sformułować choć jedną myśl, która nie będzie brzmiała jak tytuł bardzo kiepskiego artykułu.

Do ilu razy sztuka? Panna Adelina ponownie zapada w magiczny sen.

– Czy źle zapamiętałem tę baśń? – zapytałem bez większej nadziei. – Dwie klątwy to coś normalnego?

– Zdecydowanie nie – odparł energicznie Linden. – Teoretycznie aż do ślubu młoda para nie ma jeszcze zagwarantowanego szczęśliwego zakończenia, ale coś takiego? I to jeszcze w dniu ceremonii? To niespotykane.

Pokój, w którym się znajdowaliśmy, musiał tymczasowo służyć pannie Adelinie jako garderoba. Toaletka była zasypana biżuterią, grzebykami i słoiczkami z kosmetykami, a z otwartych drzwi szafy zwieszał się biały płaszcz.

Jedyne okno wychodziło na znajomy dziedziniec. W śniegu pomiędzy równo przyciętymi krzewami wciąż jeszcze mogłem dostrzec ślady swoich stóp.

Wciągnąłem w płuca chłodne, zimowe powietrze i odwróciłem się do Lindena.

– To rzeczywiście dziwna sytuacja, ale chyba nie mamy się czym przejmować, prawda? Wszystko, czego potrzebuję, to pocałunek prawdziwej miłości i, powiedzmy, piętnaście minut odpoczynku. Przy odrobinie szczęścia nie trzeba będzie nawet przesuwac godziny ślubu.

Linden potrząsnął głową.

– Pan Silas już ją pocałował. Najpierw przed nadejściem służących, potem przy nas. Nic to nie dało.

– Jakim cudem?

– Najpewniej mamy do czynienia z zupełnie inną kłutwą. Wciąż nie wiemy, jak ją odczynić... ani, na dobrą sprawę, jak ją rzucono.

Moje spojrzenie padło na miskę z gruszkami i brzoskwiniami, ustawioną na stole. Linden uprzedził moje pytanie.

– Żadna z nich nie została nadgryziona. A nawet gdyby... Tego typu kłutwy działają szybko. Po spróbowaniu zaklętego owocu panna Adelina nie zdążyłaby go już odłożyć. Ale kiedy pan Silas wszedł do pokoju, miała puste ręce.

Nerwowo przeczesalem włosy. Nie byłem pewien, co stresuje mnie bardziej: zaklęta panna młoda na szezlongu, dwa elfy czekające na nas za ścianą czy może zaskakujący entuzjazm Lindena. Mój spokojny przyjaciel wyglądał dziś, jakby zamieszkała w nim burza; jakby przez całą zimę czekał na dzień taki jak ten.

Jakby był elfem z krwi i kości.

Musiał dostrzec mój niepokój, bo jego ekscytacja wyraźnie przygaśła.

– Przepraszam, że wciągam cię w to z zaskoczenia – powiedział pospiesznie. – Oczywiście jeśli wolisz wrócić na wesele, nie będę cię zatrzymywał.

– Na jakie niby wesele, Linden? To, które za chwilę trzeba będzie odwołać?

Obaj spojrzeliśmy na spokojnie śpiącą Adelinę.

– Rozumiem, jak to musi dla ciebie wyglądać – zaczął ostrożnie. – Ale mówiłem ci, że interesują mnie złamane baśnie, prawda? Umiem je naprawiać. To właściwie jedyna rzecz, którą potrafię robić. Dlatego Miriel posłał po mnie, kiedy tylko zrozumiał, co się stało.

– A ty z kolei posłałeś po mnie – uzupełniłem cierpko.

– Wolałeś się nie dowiedzieć, że panna młoda została przeklęta?

Miał trochę racji. Niestety.

– Poza tym miałem wrażenie, że to ci się spodoba – dodał Linden.

– Który dokładnie element tej katastrofy miałby mi się spodobać?

– To nie katastrofa. To baśń, którą trzeba naprawić. A przy okazji, sam musisz przyznać, świetny temat dla artykułu.

Znużonym gestem potarłem czoło. Linden zapewnił, że w każdej chwili mogę wrócić na wesele, ale ja wiedziałem lepiej. I jako dziennikarz, i jako jego przyjaciel, nie miałem wyboru.

– Od czego zamierzasz zacząć?

Kiedy wróciliśmy do saloniku, Silas przerwał niespokojny spacer wzdłuż ściany i wbił wzrok w Lindena.

– Więc?

– Przepraszam za to opóźnienie. Tres wie już wszystko, co trzeba – zapewnił go mój przyjaciel, wsuwając się za stół. – Czy nie mamy jeszcze żadnych wieści od pana Angusa?

– Jak dotąd nie, ale spodziewamy się ich w każdej chwili. – Spojrzenie księcia Miriela powędrowało do stojącego zegara w kącie pokoju. – Do ceremonii zostały nam niecałe dwie godziny.

Otwarłem notes na czystej stronie, przycisnąłem czubek ołówka do papieru i wziąłem głęboki oddech. Mniejsza o strach i zdziwienie. Miałem artykuł do napisania.

– Jakich wieści się spodziewamy? – zapytałem, starając się brzmieć rzeczowo.

– Wieści o ujęciu pani Margot – odparł Linden. – Posłaliśmy po nią zaraz po tym, jak przybyłem na miejsce. Biorąc pod uwagę jej dzisiejsze wystąpienie i odwiedziny w pokoju panny Adeliny, jest naszą główną podejrzaną.

Silas parsknął lekceważąco.

– Główną podejrzaną? Oczywiście, że jest winna. Kto inny chciałby skrzywdzić Adelinę? I to w dzień taki jak ten? Własnoręcznie utnę jej głowę...

– Najpierw musimy jej zadać kilka pytań – przerwał mu Linden.

– I co nam to da? Nie można wierzyć ani jednemu słowu z ust Margot. – Silas podjął przerwany spacer. – Oto, co powinniśmy zrobić. Sprowadzę tu jednego ze swoich służących i postawię go na straży Adeliny. W tym czasie pójdziemy poszukać nadwornych czarodziejów...

– ...którzy natychmiast rozniosą wśród gości wieść o kłutwie rzuconej na pannę młodą – dokończył oschle książę Miriel. – Czy naprawdę nie wiesz, jakimi plotkarzami są czarodzieje? Wciąż mamy szansę rozwiązać tę sprawę dyskretnie.

– Nie zależy mi na dyskrecji! Zależy mi na mojej narzeczonej!

Ostrożnie wsunąłem się za krzesło Lindena. Wolałem, żeby nie przypomnieli sobie nagle, że ich rozmowie o dyskrecji przysłuchuje się dziennikarz „Lotnego Kuriera”.

– Muszę się zgodzić z Mirielem – powiedział Linden. – Oczywiście, jeśli sytuacja będzie tego wymagała, zwrócimy się do czarodziejów. Ale dopiero w drugiej kolejności.

Silas z rezygnacją opadł na krzesło.

– Jeśli naprawdę uważacie, że tak będzie lepiej.

Nie zdążyłem jeszcze zanotować jego słów, kiedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi i do saloniku wkroczył Angus z Brinen.

– Zobaczcie, kogo udało mi się przyprowadzić – pochwalił się.

Pani Margot wpłynęła za nim jak zły omen,

omiatając nas wszystkich pełnym pogardy spojrzeniem. Jednym szarpnięciem przeciągnęła tren swojej sukni przez próg, a potem dumnie opadła na najbliższe krzesło.

– Rozumiem, że macie jakiś ważny powód, żeby odrywać mnie od zabawy? – zapytała, stawiając na stole kieliszek z czerwonym winem.

– Naprawdę zamierzasz udawać, że nie wiesz? – odparł oschle książę Miriel. – Wezwaliśmy cię tu, żebyś odczytała swoje czary.

– Doprawdy? A jakieś rzucałam?

Angus wałnął pięścią w stół i kieliszek odezwał się wysoką, żałośliwą nutą.

– Nie kłam, wiedźmo! Jeśli nie obudzisz Adeliny, przysięgam, że...

– Adelina śpi? – przerwała mu Margot. – Śpi zaklętym snem? Naprawdę? Znowu?

A potem zła macocha wybuchnęła śmiechem, od którego zamigotały magiczne światła nad naszymi głowami. Przycisnęła rękę do czerwonych ust, próbując się powstrzymać, ale zamiast tego wyrwał jej się kolejny chichot, i jeszcze jeden, aż po chwili musiała ocierać łzy z oczu i rozpaczliwie łapać oddech.

– Czy zrobiliście to specjalnie dla mnie? Prezent na mój ostatni dzień na wolności? Jestem naprawdę zachwycona, ale nie trzeba było!

Silas cały trząsł się z oburzenia.

– Jak śmiesz? Wiemy, że to ty rzuciłaś na nią klątwę.

– Ja? Skąd! Ale chętnie pogratuluję osobie, która to zrobiła. Musicie mi koniecznie dać znać, gdy już ją złapiecie.

Gdyby nie ręka Miriela na jego ramieniu, Silas już dawno rzuciłby się jej do gardła.

– Z pewnością nie dziwił pani jednak nasze podejrzenia – powiedział miękko Linden, nachylając się nad stołem. – Wszyscy widzieliśmy, jak jej pani groziła.

Posłała mu zdziwione spojrzenie, jak gdyby dotychczas nie do końca zdawała sobie sprawę z jego obecności. Zjadliwy uśmiech na moment spłynął z jej ust.

– To prawda, rozmawialiśmy. Ale nie przypominam sobie, żebym jej groziła.

– Kiedy pan Silas zasugerował, żeby cieszyła się pani swoją ostatnią nocą na wolności, odpowiedziała pani... – Przerzuciłem parę stron w notesie. – „Uwierzcie mi, zamierzam”.

Pani Margot uniosła brwi.

– A ten to kto?

– To Tres – odparł niewinnie Linden.

– Jestem dziennikarzem z „Lotnego Kuriera” – dodałem.

Macocha przyjrzała mi się z niedowierzaniem.

– Dziennikarzem. Oczywiście, dlaczego nie – wymamrotała, a potem zwróciła się do Lindena.

– Przyznam, że to, co powiedziałam do Adeliny, mogło brzmieć jak groźba. I co z tego? Tego właśnie wszyscy ode mnie oczekiwali. Więc owszem, przybyłam na wesele, odegrałam odpowiednio dramatyczną scenę... a potem zrobiłam to, co zapowiadałam.

– Zaczarowałaś Adelinę – warknął Silas.

– Co? Nie. Poszłam się cieszyć ostatnimi chwilami wolności. Zapytajcie go. – Skinęła głową na Angusa. – Kiedy mnie znalazł, grałam w siedem wstążek z księciem Elanderem. Poprosiłam go o rewanż.

Gnom zmieszał się lekko.

– Prawda, oderwałam ich od gry. Ale co z tego? Naprawdę mamy uwierzyć, że nie zamierzałaś się zemścić na pannie Adelinie?

– Oczywiście, że zamierzałam – prychnęła Margot. – Ale nie dziś, tylko kiedy urodzi się jej pierworodne dziecko.

– Słucham? – wykrztusił Silas.

– Jestem jej matką chrzestną, nie pamiętasz? Będziecie mnie musieli zaprosić na ucztę z okazji narodzin waszego dziecka. Uznałam, że rzucenie na nie klątwy będzie dużo skuteczniejsze i bardziej widowiskowe niż zepsucie wam ślubu. – Zakołysała winem w kieliszku. – Rzecz jasna nie opowiadałabym wam o tym, gdyby nie to, że chcecie mnie oskarżyć o atak na Adelinę. To po prostu bezcelne.

Na moment zapadła cisza, przerywana wyłącznikiem skrzypieniem mojego ołówka po papierze. Nawet Linden wydawał się wytrącony z równowagi.

– Więc nie rzuciła pani klątwy na pannę Adelinę, bo planowała ją pani rzucić na jej nienarodzone dziecko? – upewnił się.

– To eleganckie rozwiązanie – zapewniła z godnością.

– W takim razie co robiła pani w jej pokoju?

– Adelina mnie zaprosiła. Byłam ciekawa, o czym chce ze mną porozmawiać.

– I o czym rozmawialiście?

Pani Margot z wielką starannością wygładziła fałdy swojej sukni.

– Czy uwierzycie, jeśli powiem, że o tym, o czym rozmawiają wszystkie matki i córki?

– Oczywiście, że nie... – zaczął Silas, ale Linden przerwał mu gestem.

– Proszę mówić.

Posłała mu nieufne spojrzenie, a mi po raz pierwszy przyszło do głowy, że chyba się go obawia. Czarodzieje tacy jak ona słynęli ze swoich magicznych instynktów i nie zdziwiłbym się, gdyby wyczuwała, że Linden nie przynależy ani do tej, ani do żadnej innej baśni.

Czy nigdy dotąd nie słyszała o ósmym księciu?

– Nie zamierzam udawać, że ja i Adelina jesteśmy sobie bliskie. A jednak niekiedy zdarza

mi się dostrzegać w niej samą siebie. Mam wrażenie, że dobrze się rozumiemy. – W jej głos na chwilę wkradła się zaduma. – Dlatego byłam taka zdziwiona, gdy dowiedziałam się, że to właśnie ty jesteś jej prawdziwą miłością – rzeczowo poinformowała Silasa.

– Czy możesz przejść do rzeczy? – wycodził.

– Jak sobie życzysz. A więc nie rozmawialiśmy o niczym szczególnym. Prawdę powiedziawszy, Adelina wydawała mi się niespokojna. Przeskakiwała z tematu na temat: chciała wiedzieć, jak traktują mnie w więzieniu i czy kiedykolwiek żałowałam tego, co zrobiłam. W pewnej chwili zapytała mnie nawet, czy kochałam jej ojca. Wyglądało na to, że bardzo zależy jej na mojej odpowiedzi.

– Co dalej?

– Niewiele – odparła obojętnie. – Po paru minutach powiedziała, że chce zostać sama, i poprosiła, żebym wyszła. Wartownicy przy bramie mogą zaświadczyć, że spełniłam jej życzenie.

– Ale nie wiedzą, czy kiedy wychodziłaś, Adelina wciąż stała na nogach – zauważył Angus.

Skrzywiła się lekko.

– To wszystko przez to, że przyniosłam jej jabłko, prawda? Zapewniam was, że nie było zakłęte. Kiedy dowiedziałam się, że mnie wzywa, zabrałam go z jednego ze stołów w parku. Uznałam, że doceni przemyślany prezent.

Linden poderwał głowę tak gwałtownie, że z zaskoczenia niemal ułamałam rysik.

– Przyniosła jej pani jabłko?

– I co z tego? To było zwykłe jabłko. Jeśli teraz jest zakłęte, nie mam z tym nic wspólnego – zapewniła oschle. – Zresztą nie wiem, po co całe to zamieszanie. Czy ten tępak nie może jej po prostu pocałować?

Silas odwrócił wzrok.

– To nie kłątwa, którą dałoby się odczynić pocałunkiem.

W pierwszej chwili Margot wydawała się jeszcze zdziwiona; w drugiej była już wyłącznie zaintrygowana. Odchyliła się na krześle, szarpiąc w zamyśleniu paciorki naszyjnika.

– Inny rodzaj kławy? – powiedziała jakby do samej siebie. – Być może nie powinnam się dziwić. W końcu tak naprawdę nie ma bardziej podstawowej magii niż magia przekleństw. W dodatku kławy występują w tak wielu wariantach: zsyłają pecha, zmieniają kolor oczu, odbierają głos i przyciągają deszcz. Można je rzucić na tysiąc różnych sposobów... Nawet dziecko potrafiłoby to zrobić. Nie wierzycie? A czy wiedzieliście, że kiedy Adelina była jeszcze dziewczynką, któregoś dnia poczęstowała mnie zaklętym miodowym ciastkiem? Przez cały następny tydzień nie byłam w stanie opędzić się od pszczoł. – Roześmiała się miękko, a Angus zawtórował jej z drugiego końca stołu.

Równocześnie zamilkli i wymienili zdumione spojrzenia.

– Adelina opowiadała mi tę historię – wymamrotał gnom.

Margot z ociąganiem oderwała od niego wzrok.

– Jeśli mnie do niej zaprowadzicie, może będę wam w stanie powiedzieć coś więcej o jej kławie – zaproponowała. – Jak wiecie, mam doświadczenie w tych sprawach.

– Doświadczenie w przeklinaniu swoich poddanych? – upewnił się książę Miriel.

Z udawaną skromnością wzruszyła ramionami.

– To wąska specjalizacja.

Musiła uznać nasze milczenie za zgodę, bo podniosła się z krzesła. Uszła zaledwie parę kroków, nim Silas zagroził jej drogę.

– Nie.

– Nie? – Zmarszczyła brwi. – Co to ma znaczyć? Czyżbyś nie chciał, żeby się obudziła, chłopcze?

– Nikt na świecie nie chce tego bardziej niż ja – odparł, siłąc się na spokój. – Ale nie pozwolę, żebyś się do niej zbliżyła. Nie po tym, co jej robiłaś.

– Jesteś skończonym głupcem, jeśli...

– Wystarczy. – Oboje wzdrygnęli się na dźwięk głosu księcia Miriela. – Silas ma dobre powody, by nie dopuszczać cię do swojej narzeczonej. Linden? Czy chciałeś jeszcze o coś zapytać panią Margot?

Minęło parę sekund, nim mój przyjaciel zareagował na jego słowa. Podniósł głowę i zamrugał jakby wyrwany ze snu.

– Co takiego? Och, nie. Nie w tej chwili.

– Świetnie. – Książę Miriel odwrócił się do Angusa. – Czy byłbyś tak miły i sprowadził tu straż pałacową? Nie wiem, czy Elander mi to wybaczy, ale ich gra w siedem wstążek będzie musiała jeszcze trochę poczekać.

– Mówiłem, że marnujemy czas – powiedział Silas, ledwo za panią Margot zamknęły się drzwi. – Miriel, pamiętasz mojego sługę, Elrica, prawda? Gdy byliśmy chłopcami, Elric przysiągł na własne życie, że nigdy nie sprzeciwi się żadnemu mojemu rozkazowi. Wystarczy, że go tu sprowadzę i postawię na straży Adeliny, a będziemy wreszcie mogli się udać na poszukiwanie nadwornych czarodziejów.

Przez ostatnich parę minut Linden przyglądał się z uprzejmym zainteresowaniem, jak desperacko uzupełniam swoje notatki, ale teraz podniósł głowę znad mojego ramienia.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy marnowali czas – stwierdził. – Co sądzicie o opowieści pani Margot?

– To podła i okrutna wiedźma, która prędkiej padłaby trupem, niż spełniła choć jeden dobry

uczynek – natychmiast odparł Angus. – Ale wydaje mi się, że tym razem mówiła prawdę.

– Zdecydowanie nie zależało jej na tym, żeby cokolwiek przed nami ukryć – dodał książę Miriel. Silas roześmiał się bezradnie.

– Czy naprawdę postanowiliśmy jej zaufać tylko dlatego, że planuje przekląć moje pierworodne dziecko i nie boi się do tego przyznać? – spytał z niedowierzaniem. – Ale niech będzie. A więc pani Margot może być niewinna. Tym razem. Nijak nie zbliża nas to do obudzenia Adeliny.

– Przynajmniej zawęź nasz krąg podejrzanych.

Odkaslnąłem przepaszając. Zgromadzeni w pokoju odwrócili się w moją stronę – przy czym książę Miriel zrobił to ze zdziwieniem, jasno świadczącym o tym, że zdążył już zapomnieć o mojej obecności.

– Bez urazy, ale o jakim kręgu podejrzanych w ogóle mówimy? – zapytałem. – Jeśli się nie mylę, przed panem Silasem w pokoju panny Adeliny przebywały wyłącznie jej pokojówka i pani Margot. Czy podejrzewamy pokojówkę?

Linden potrząsnął głową.

– Wartownicy twierdzą, że widzieli pannę Adelinę już po jej odejściu... – zawahał się wyrazić. – To może być odpowiedni moment, żeby odbyć z nimi kolejną rozmowę.

Angus trzymał już rękę na klamce.

– Nie musisz... – zdążył powiedzieć Linden, zanim za gnomem zamknęły się drzwi.

Nasłuchiwalismy w ciszy, jak zbiega po stopniach.

– Wydaje mi się, że to go uspokaja – odezwał się wreszcie Silas.

Angus wrócił chwilę później, prowadząc przed sobą parę znajomych wartowników. Zatrzymali się na progu, wyraźnie przerażeni perspektywą naniesienia śniegu na pstrokaty dywan, i skłonili sztywno.

– Podobno szlachetni panowie mają do nas jeszcze jakieś pytania?

Zgodnie odwróciliśmy się w stronę Lindena.

– Nie zajmujemy wam wiele czasu – zapewnił, posyłając im swój najcieplejszy uśmiech. – Chciałbym, żebyście jeszcze raz opowiedzieli nam o dzisiejszych gościach panny Adeliny. Nie omijajcie żadnych szczegółów.

Wartownicy wymienili zakłopotane spojrzenia. W końcu jeden z nich zebrał się na odwagę.

– Skoro takie jest życzenie waszej książęcej mości... Dwie godziny temu panna Adelina wróciła do swoich pokoi, żeby odpocząć. Pozdrowiła nas, przechodząc przez bramę. Uprzejma z niej dama i nigdy nie zapomina się przywitać, każdy to poświadczy. W kilka, może kilkanaście minut później po schodach zbiegła jej pokojówka, panienka Nimel. A zaraz potem panna Adelina

wychyliła się z okna, żeby uprzedzić nas, że lada moment odwiedzi ją jej macocha, wiedźma z Brien... – Przez moment wyglądało, jakby wartownik chciał splunąć na dywan z pogardą. Opamiętał się w ostatniej chwili. – I rzeczywiście, pojawiła się zaraz potem.

– Jak plaga – dorzucił posępnie jego towarzysz.

– Jak całe stado krwiożerczych kruków – przytaknął wartownik. – Ale przepuściliśmy ją, bo takie było życzenie panienki Adeliny. Zresztą wiedźma nie zabawiła tutaj zbyt długo. Wyszła może po dziesięciu minutach. Potem było już spokojnie, aż na dziedzińcu zjawił się pan Silas... – Elf skłonił się panu młodemu. – Chwilę później usłyszeliśmy jego wołanie i odnaleźliśmy biedną pannę Adelinę w jego ramionach. To wszystko.

– Czy jesteście pewni, że nie mijał was nikt inny? – dopytał książę Miriel.

– Zauważylibyśmy, wasza książęca mość.

– A nie można się tutaj dostać w jakiś inny sposób? – zainteresował się Angus.

– Nie. By trafić do pokoi na piętrze, trzeba przeciąć dziedziniec, minąć zachodnią bramę i wspiąć się po schodach – wyrecytował wartownik. – To najbezpieczniejsze skrzydło pałacu. Dlatego właśnie tak często umieszcza się tu królewskich gości.

Książę i gnom nie wydawali się zachwyceni tą odpowiedzią.

– Czy w ostatnich godzinach wydarzyło się może coś szczególnego? – zapytał Linden, korzystając z ich milczenia. – Cokolwiek odbiegającego od normy.

Wartownicy się zawahali.

– Cóż, w pewnej chwili usłyszeliśmy trzask... – zaczął jeden z nich.

– Ale to było już po tym, jak minął nas pan Silas – zaprotestował drugi.

– I co z tego? Może ktoś był wtedy w garderobie panny Adeliny, przestraszył się kroków pana Silasa i... – wartownik urwał, niezdeterminowany.

– ...wyskoczył przez okno? – uzupełniłem sceptycznie.

Elf posłał mi ciężkie spojrzenie.

– Zauważylibyśmy, gdyby ktoś wyskakiwał przez okno.

– Z pewnością – uspokoił go Linden. – Opowiedzcie mi więcej o tym trzasku.

– Brzmiał jak... pękająca kość. Albo kij. Naprawdę trudno to opisać... Zaraz potem pan Silas zaczął krzyczeć i więcej o tym nie myśleliśmy.

„Trzask?” zapisałem bez przekonania w swoim notesie.

– Ostatnie pytanie – powiedział Linden. – Dwa razy rozmawialiście dziś z panną Adeliną. Waszym zdaniem, w jakim była nastroju?

Żaden z wartowników nie spodziewał się tego pytania – i żaden nie palił się do tego, by na nie odpowiedzieć.

– To dzień jej ślubu... – zaczął ten odważniejszy.

– I? – zachęcił go Linden.

– Wydawała się smutna – przyznał. – Ale dam głowę, że to вина tej wiedźmy. Podobno zaczęła ją przy gościach, prawda? Nic dziwnego, że panienska Adelina była wytrącona z równowagi.

Mój przyjaciel uśmiechnął się, zadowolony jak kot.

– Dziękuję. Myślę, że to już wszystko.

– Czy jesteście już gotowi przyznać, że wszystkie te rozmowy prowadzą nas donikąd? – zapytał pan Silas, kiedy zostaliśmy w pokoju sami. – Jeśli tak, za waszym pozwoleniem, pójdę poszukać Elrica.

Księżę Miriel wydawał się rozdarty.

– Za niecałą godzinę ma się rozpocząć ślub – przyznał z ociąganiem.

– Zostało mi tylko jedno pytanie – zapewnił Linden. – Potem możecie tu sprowadzać, kogo chcecie.

Silas niechętnie wrócił na swoje miejsce za stołem. Lindenowi nie sposób było dzisiaj odmówić: póki wokół nas rozpadała się baśń, był w swoim żywiole.

– Z kim tym razem chcesz porozmawiać? Z pokojówką? Z królem?

– Z tobą i z panem Angusem.

Gnom zmarszczy brwi.

– Co takiego możemy ci powiedzieć o kłątwe?

– Zapewne nic. Natomiast podejrzewam, że możecie mi dużo powiedzieć o pannie Adelinie. – Linden pochylił się w krześle. – Zarówno pani Margot, jak i wartownicy twierdzą, że była dzisiaj niespokojna. Nie wiecie może dlaczego?

Silas przeczesał palcami włosy, jeszcze bardziej je przy tym rozwichrzając. Z rozchełstaną koszulą, bladą twarzą i grzywką opadającą na oczy wyglądał jak najniešťliwszy pan młody w historii.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że rozstroiła ją rozmowa z Margot – zaczął niechętnie. – Starła się być dzielna, ale widziałem, że coś jest nie tak. Co chwila

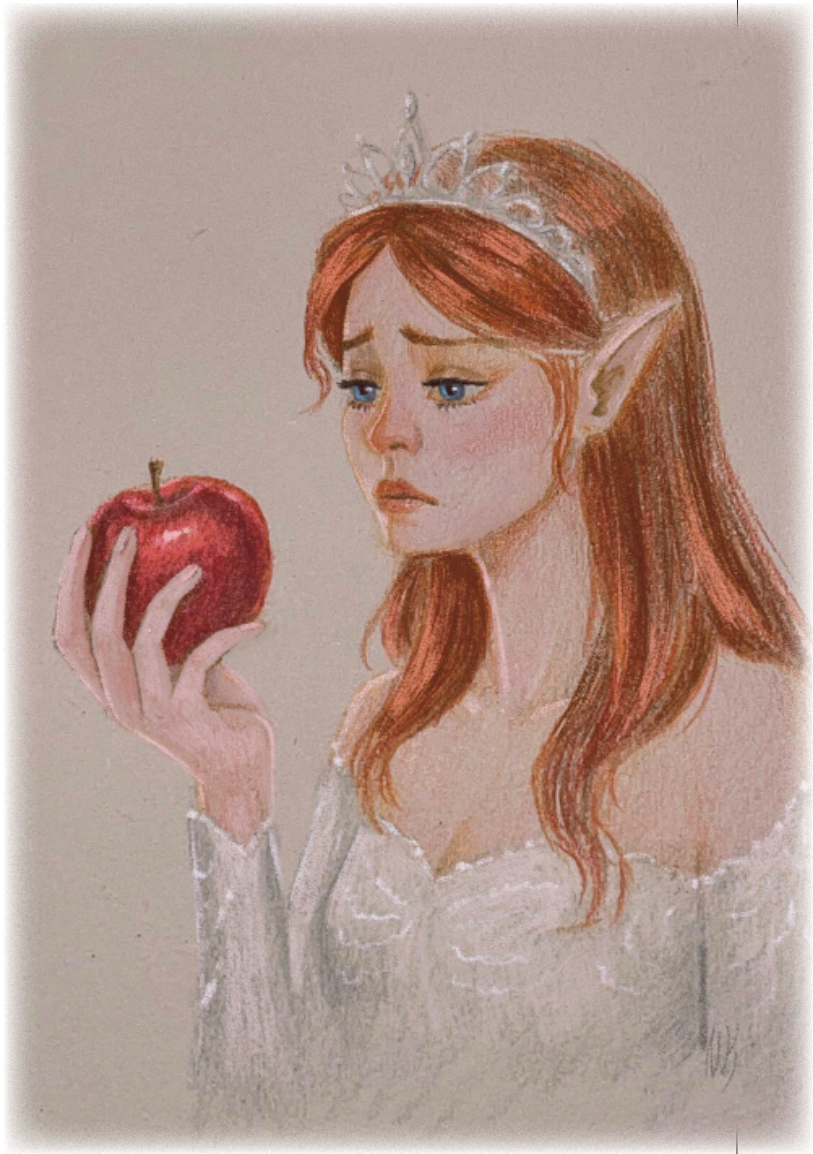
odpływała myślami i myliła kroki w tańcu.

– Zgadza się, że rozmowa z wiedźmą na pewno jej nie pomogła, ale... Wydaje mi się, że problemy zaczęły się już wcześniej – wtrącił Angus. – Niedługo po złamaniu kłatwy. Kocham Adelinę jak córkę i znam ją jak samego siebie. Na całym świecie nie ma odważniejszej ani szlachetniejszej osoby niż ona. A jednak w ostatnich miesiącach coś się w niej zmieniło. Wydawała się smutna.

Coś drgnęło na twarzy Silasa.

– Więc ty też to zauważyłeś? Miałem nadzieję, że sobie to wyobrażam... – wyszeptał. – Myślę, że Adelina bała się życia, które czeka ją na dworze. Wiedziała, że nasz ślub będzie dla niej oznaczał koniec wolności. Liczyłem, że moja miłość jej to wynagrodzi, ale zgaduję, że... że ostatecznie ogarnęły ją wątpliwości. – Otarł oczy szybkim, wstydlwym ruchem.

Angus przez chwilę ze sobą walczył, lecz w końcu wyciągnął rękę i poklepał go po ramieniu.



– Już, już – powiedział bez przekonania. – Może to marne pocieszenie, ale Adelina, którą znam, nie robi niczego bez zastanowienia. Nie zdecydowałaby się na ślub, gdyby nie była pewna swoich uczuć.

– To by się zgadzało – wymamrotał Linden.

– Lada moment ją obudzimy, przysięgniecie sobie wieczną miłość przed królem i będziecie żyli długo i szczęśliwie – kontynuował gnom. – Będziecie mieli zamek i stadko psów myśliwskich i dziecko...

– Które wcale nie zostanie przekłete – dodałem pomocnie.

– ...ponieważ zamorduję Margot, jeszcze zanim się urodzi. To brzmi miło, prawda?

Silas otarł oczy i posłał mu błady uśmiech.

– Chciałbym, żeby to było takie proste – przyznał cicho, a potem przeniósł spojrzenie na Lindena. – Mówiłeś, że masz do nas tylko jedno pytanie. To było właśnie ono?

Mój przyjaciel przez cały ten czas przypatrywał mu się jak zaczarowany. Być może dopiero teraz, gdy rozpacz wzięła nad Silasem górę, dotarło do niego, że ma przed sobą prawdziwego baśniowego bohatera.

– Tak, to było ono. Dziękuję. Możesz teraz pójść po swojego sługę... Chyba że wolałbyś, żeby przyprowadził go któryś z nas? Nie wyglądasz najlepiej.

Pan młody potrząsnął głową.

– Mnie najłatwiej będzie go znaleźć. Dajcie mi parę minut. Kiedy tylko wrócę, zwołamy nadwornych czarodziejów.

Drżącymi palcami poprawił koszulę, narzucił płaszcz na ramiona i wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

Odłożyłem ołówek.

– Czy to naprawdę już wszystko?

Pisałem od ponad godziny i teraz, patrząc na pomięte strony swojego notesu i ostrożnie rozprostowując pobrudzone grafitem, obolałe palce, czułem w sobie dziwną pustkę. Cały zapach Lindena, wszystkie moje notatki, dziesiątki zadanych pytań – i ostatecznie wróciliśmy do punktu wyjścia.

Linden musiał wyczytać rozczarowanie na mojej twarzy, bo kiedy podniosłem wzrok, przyglądał mi się z ciepłym uśmiechem, który zawstydziłyby każdego innego elfa.

– Niemal wszystko – przytaknął. – Tres, co powiedziałabyś na krótki spacer po dziedzińcu? Mam ochotę się przewietrzyć.

Silas wrócił do saloniku w niecały kwadrans później, cały zarumieniony od mrozu i zdyszany po długim biegu. Towarzyszył mu czarnowłósy mężczyzna z mieczem przy boku i przerażeniem w oczach.

– Znalazłeś Elrica! – ucieszył się książę Miriel. Nieznajomy skłonił się pospiesznie.

– Pan Silas wyjaśnił mi, co się stało. Wasza książęca mość może być pewien, że panna Adelina będzie przy mnie bezpieczna.

Pan młody z wdzięcznością uściśnął go za ramię. Wyglądało na to, że w towarzystwie sługi spadł mu z serca jakiś niewypowiedziany ciężar.

– Jesteście gotowi, panowie? – zapytał z nową energią. – Możemy już wyruszać na poszukiwanie czarodziejów.

– Oczywiście, możemy – przytaknął mu Linden. – Albo możemy obudzić pannę Adelinę już teraz.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę.

– Co powiedziałeś? – zapytał surowo książę Miriel.

Odkąd wróciliśmy z naszego szybkiego spaceru – on z jasnymi włosami oblepionymi śniegiem, a ja zdumiony i ciasno owinięty płaszczem – Linden promieniał. Oburzenie pierworodnego księcia nie zdołało mu zepsuć humoru.

– Powiedziałem, że możemy ją obudzić już teraz – powtórzył uprzejmie. – Podejrzewam, że nie zaszkodzi zwrócić się do nadwornych czarodziejów, ale czy naprawdę mamy na to czas? Za pół godziny powinien się rozpocząć ślub. Jeśli się pospieszymy, państwo młodzi będą mieli szansę na niego zdążyć... O ile będą chcieli, rzecz jasna.

Angus pociągnął mnie za rękaw.

– Czy on bredzi? – wyszeptał z niepokojem.

Tylko potrząsnąłem głową.

– Myślę, że dużo prostszym rozwiązaniem będzie obudzenie jej już teraz – beztrząsco kontynuował Linden.

– O czym ty mówisz? – parsknął Silas. – Skoro wiesz, jak ją obudzić, dlaczego nie powiedziałeś nam tego wcześniej?

– Czekałem, aż będziemy w komplecie.

Ósmy książę odepchnął się od krawędzi stołu i tanecznym krokiem przeszedł przez pokój. Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, byłem skłonny uwierzyć, że pochodzi z rodziny wybrańców bogów i zabójców smoków.

– Myślę, że naszym pierwszym błędem było założenie, że na pannę Adelinę rzucono jakąś nową, nieznaną klątwę. Przyjęliśmy to za pewnik, choć przecież nic na to nie wskazywało.

– Jak to nic? – oburzył się Angus. – Nie obudziła się, chociaż Silas pocałował ją na naszych oczach.

– Co dowodzi jednej z dwóch rzeczy – odparł Linden. – Że na pannę Adelinę rzucono klątwę, której nie jest w stanie złamać pocałunek prawdziwej miłości... lub że pan Silas nie jest jej prawdziwą miłością.

Silas postąpił o krok do przodu.

– Jak śmiesz...

– Akurat tak się składa, że opowiadałem dziś Tresowi waszą baśń. Choć tak naprawdę nie jest twoja, prawda? Ukradłeś ją dla siebie w dniu polowania... Kiedy się rozdzieliliście i każdy z was wjechał do lasu jedynie w towarzystwie najwinniejszego sługi. W twoim przypadku, jak zakładam, był to pan Elric. Ten sam służący, który nie może się sprzeciwić żadnemu twojemu rozkazowi. Ten sam, którego tak desperacko próbowałeś tu sprowadzić, odkąd odkryłeś, że Adelina znowu zapadła w zaklęty sen.

Silas z każdą chwilą bladł bardziej.

– Wyobrażam sobie, że kiedy odnaleźliście ją w lesie, ty byłeś tym, który pocałował ją pierwszy – kontynuował Linden bezwzględnie. – A gdy nic to nie dało, ustąpiłeś miejsca przy trumnie Elricowi. Dlaczego nie? Sądziłeś, że niczego to nie zmieni. Ale wtedy wydarzył się cud... Panna Adelina zaczęła się budzić. Taka szansa nie trafia się często. Parę minut wystarczyło, byś wymógł na Elricu obietnicę milczenia. A kiedy Adelina otwarła oczy, byłeś już gotów wcielić się w rolę jej prawdziwej miłości. I nikomu nie przyszło nawet do głowy zakwestionować takiego rozwoju wypadków. W końcu ona jest bogatą panną, a ty szlachetnie urodzonym elfem, jednym z królewskich siostrzeńców.

– Chyba nie wierzycie w te bzdury. Przecież... – zaczął Silas drżącym głosem, ale napotkał spojrzenie księcia Miriela i nie dokończył.

– Wszystko szło zgodnie z planem... aż do dziś. Do twojego ślubu zostały niecałe dwie godziny, kiedy wszedłeś do garderoby swojej narzeczonej i odkryłeś, że ktoś znowu rzucił na nią klątwę! Wiedzałeś, że w każdej chwili przez drzwi może wpaść jej pokojówka. Musiałeś improwizować. Gdyby tylko udało ci się przekonać nas wszystkich, że mamy do czynienia z klątwą, której nie jest w stanie złamać pocałunek prawdziwej miłości, a potem pod jakimś pozorem sprowadzić tu Elrica... Oczywiście, trudno by ci było wyjaśnić nagłe przebudzenie panny Adeliny, ale wciąż stanowiło to twoją jedyną szansę. Wyjąłeś nadgryzione jabłko z jej ręki...

– Jakie jabłko? – warknął Silas.

– To, które przyniosła jej w prezencie pani Margot i które potem rozpułyne się bez śladu! – odparł Linden ostro. – Cóż, nie do końca bez śladu. Widzisz, chwilę temu wybraliśmy się z Tresem na krótki spacer i miałem okazję przeszukać krzaki pod oknem garderoby...

Na jego znak odłożyłem notes i wyciągnąłem spod płaszcza krwistoczerwone jabłko, wciąż jeszcze mokre od śniegu. Zadbalem, żeby uczynić to wystarczająco dramatycznym gestem.

– Tym, co usłyszeli wartownicy, był trzask ga-

łęzi, kiedy wyrzucałeś jabłko w krzaki – kontynuował Linden. – Ale nie zwrócili na to większej uwagi, bo zaraz potem zaczęłeś krzyczeć o pomoc. I tak rozpoczął się teatrzyk, w który wciągnąłeś nas wszystkich. Muszę przyznać, że bardzo przekonująco grałeś rolę przerażonego pana młodego. Zakładam, że rzeczywiście byłeś przerażony. Cała wymarzona przyszłość zaczynała wymykać ci się z rąk.

Angusowi rozszerzyły się oczy.

– To dlatego w kółko sugerowałeś, że musimy postawić kogoś na straży Adeliny. I dlatego nie dopuściłeś do niej Margot! Wiedzałeś, że może cię przejrzeć! – Wyglądał, jakby rozważał morderstwo i jedynym, co go powstrzymywało, było nie sumienie, a wyjściowy strój. – Nie wierzę, że próbowałem cię pocieszyć.

– Nawet jeśli masz rację... – zaczął Silas.

– Mam – przerwał mu Linden. – Ale proszę, kontynuuj.

Niedoszły pan młody posłał mu wściekle spojrzenie.

– Wciąż nie wyjaśniłeś, kto rzucił klątwę na Adelinę.

– Właśnie do tego dochodziłem. Tres, nadążasz z notowaniem, prawda? Świetnie. – Linden wziął głęboki oddech. – Jestem niemal pewien, że klątwę rzuciła sama panna Adelina.

Podniósł rękę, żeby uciąć okrzyki protestu.

– Zastanówcie się. Kto inny mógł to zrobić? Od pani Margot wiemy, że Adelina jest doświadczoną czarodziejką. Czy tak ciężko sobie wyobrazić, że po wyjściu swojej macochy zaklęła jabłko, które od niej dostała?

– Dlaczego miałyby to zrobić? – zapytał Miriel.

– Żeby przetestować swoją teorię. Z ust paru osób słyszeliśmy dzisiaj, że panna Adelina była niespokojna. Angus przyznał, że trwało to już od miesięcy. Oczywiście Silas szybko interweniował i próbował nas przekonać, że martwiła się utratą wolności... ale czy nie bardziej prawdopodobne jest to, że podejrzewała, że wychodzi za oszusta? Nie kochała Silasa i z każdym dniem niepokoiło ją to bardziej. Gdybym miał zgadywać, tym, co przelało czarę goryczy, była konfrontacja z panią Margot. Jak to szło...

– „Powinnaś mi podziękować za całe to szczęście” – podpowiedziałem.

– Właśnie. Dziękuję, Tres. Ale przecież Adelina nie była szczęśliwa, prawda? Myślę, że z tego samego powodu dopytywała później macochę, czy ta kochała jej ojca. Jakkolwiek brzmiała odpowiedź, popchnęła Adelinę do podjęcia decyzji. Jedna prosta klątwa mogła położyć kres wszystkim jej wątpliwościom. I, jak sądzę, położyła.

Linden skończył i powiódł po nas zadowolonym spojrzeniem.

– Jeśli macie jakieś pytania, podejrzewam, że najprościej będzie je zadać samej pannie Adelinie – dodał tylko, a potem z uśmiechem odwrócił się do Elrica. – Czy byłby pan tak miły i pocałował pannę młodą?

– *Fałszywy książę z bajki. Kulisy afery na ślubie stulecia.*

– Masz jakieś inne opcje?

– *Ślub stulecia odwołany. Kim jest tajemniczy ósmy książę?*

– Nawet się nie waż.

– Pałac sparaliżowany. Macocha bije brawo, elfy tańczą walca.

– Cóż, jeśli jesteś przekonany...

Nie byłem. Zakreśliłem ostatni tytuł i odłożyłem notes.

– Mam wrażenie, że to najdłuższy dzień w moim życiu.

Choć pocałunek Elrica obudził pannę Adelinę z zaklętego snu, ślub i tak został odwołany. Nie oznaczało to jednak, że goście rozeszli się do domów: póki między ośnieżonymi drzewami grała muzyka, a stoły ugięły się od jedzenia, dworskie elfy miały powody do świętowania. Zapowiadało się na to, że zabawa będzie trwała do rana.

Wystarczyło, że książę Miriel zamienił parę słów ze strażą, by pan Silas został odeskortowany w głąb pałacu, a do parku wróciła pani Margot. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, była zajęta ogrywaniem księcia Elandera w siedem wstążek i piciem wina z trzech różnych kieliszków. Była wyraźnie zdeterminowana, by do granic możliwości wykorzystać swoją ostatnią noc na swobodzie.

Po rozwiązaniu zagadki Linden i ja nie zabawiliśmy wśród gości zbyt długo. Spod drzew szybko przenieśliśmy się do pałacu, a stamtąd do gmachu „Lotnego Kuriera” i na piętro.

Nigdy dotąd nie było tu tak cicho i tak spokojnie. Fragmenty układanki lśniły zimnym błękitem w półmroku pracowni, a przez wysokie okna przesączało się srebrne światło księżyca. Zgodnie rozsiedliśmy się na wolnym kawałku parkietu: ja ze swoim notesem, Linden z butelką białego wina.

– Wiem, że tłumaczyłeś mi już parę razy, czym dokładnie się zajmujesz, ale myślę, że dopiero dzisiaj naprawdę to zrozumiałem.

Uśmiechnął się. Z przymkniętymi oczyma, beztrwosko wyciągnięty na podłogę, przypominał mi wyjątkowo zadowolonego kota.

– Podobało ci się?

– Przez cały czas byłem niesamowicie zestresowany. Ale tak, podobało mi się. – Zastanowiłem się. – Następnym razem możesz mnie uprzedzić. Będę wiedział, żeby wziąć dodatkowy notes.

– Postaram się.

Odwróciłem głowę, żeby przyjrzeć mu się w półmroku. Wszystkie elementy baśni wróciły na swoje miejsce i Linden znowu wyglądał jak najbardziej niepozorny elficki książę na świecie.

– O czym myślisz? – zapytałem.

Gwałtownie otworzył oczy. Wciąż jeszcze płonął w nich ogień.

– Myślę, że skoro tak dobrze nam dzisiaj idzie...

Świtało już powoli i wschodzące słońce barwiło parkiet ciepłym pomarańczem, kiedy stanęliśmy nad kompletną układanką Królowej Śniegu.

Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się jej w ciszy.

„Nieśmiertelność” – głosił beczelnie napis biegnący przez ocean skrzących się odłamków lodu. Linden zaklął.

– Ostatni raz się na to nabieram.

KONIEC

MAGDALENA SIWEK

Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, która pierwszy raz w życiu ma czas na pisanie opowiadań. Po obronie pracy magisterskiej poświęconej przekładowi kryminałów uznała, że najwyższy czas zabrać się za wymyślanie własnych zagadek detektywistycznych. W wolnych chwilach zaczytuje się powieściami fantasy, stara się chodzić na regularne spacer i powoli uczy się zasad DnD. Uważa, że każde opowiadanie zasługuje na to, żeby być choć trochę zabawne i dobrze się kończyć.

KONTAKT DO AUTORKI:

magdalena.siwiek28@gmail.com

AUTOR: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ



DIALOGI

NAJWAŻNIEJSZE ZASADY ZAPISU



REDAKCJA: M. S. MATUSIEWICZ

KOREKTA: MAGDALENA DZIEKAN-

KOREKTA TECHNICZNA: PATRYK ŻELAZNY

Dialog to puls tekstu. W nim bije życie powieści, brzmia emocje i napięcia. Aby ten puls był wyczuwalny, słowa muszą być dobrze ułożone – nie tylko znaczeniowo, lecz także graficznie. Interpunkcja w dialogach to nie drobiazg. To niewidoczny przewodnik, który prowadzi czytelnika przez rozmowy bohaterów, nie pozwalając mu się zgubić ani na moment.

Dywiz (-) vs. pauza (–) – różnice

Znak	Nazwa/ długość	Zastosowanie	Skrót klawiszowy
-	Dywiz/krótki	łączenie wyrazów (np. biało-czarny, e-mail)	standardowy klawisz „-”
–	Półpauza/ średnia	zakresy, przerwy w zdaniu (np. 2010–2020, Warszawa–Kraków)	Alt + 0150 (Windows)/ Option + „-” (Mac)
—	Pauza (myślnik dialogowy)/ długa	rozpoczęcie wypowiedzi dialogowej, oddzielenie partii narracji	Alt + 0151 (Windows)/ Shift + Option + „-” (Mac)

Zasady zapisu dialogów w języku polskim

1. Półpauza dialogowa

Każdą wypowiedź rozpoczynamy półpauzą (–), nie mylić z dywizem (-).

Poprawnie:

– Idziemy? – zapytał.
– Jeszcze chwilę.

Niepoprawnie:

- Idziemy? - zapytał.

Pauza (–) jest dłuższa niż dywiz i oddziela wypowiedzi dialogowe oraz didaskalia (czyli wtrącenia narratora).

2. Didaskalia – co to jest?

Didaskalia to wtrącenia narracyjne w dialogu, które informują, kto mówi, jak mówi lub co robi postać.

Przykłady:

– Nie wierzę w to – szepnęła, odwracając wzrok.
– Chodź tu – powiedział cicho – zaraz wszystko ci wyjaśnię.

W drugim przykładzie didaskalia są w środku wypowiedzi, dlatego:

- nie kończymy pierwszej części kropką,
- po „powiedział” stawiamy myślnik i kontynuujemy małą literą, jeśli to ta sama wypowiedź.

3. Kiedy stosować wielką literę po didaskaliach

Gdy po wtrąceniu narrator zaczyna nową wypowiedź postaci, piszemy wielką literą.

– Nie wiem – powiedział. – Może jutro.

Jeśli to ciąg tej samej wypowiedzi, piszemy małą literą.

– Nie wiem – powiedział cicho – może jutro.

4. Interpunkcja przy półpauzie

Kiedy po wypowiedzi występują didaskalia, znak kończący (kropka, wykrzyknik, pytnik) to zapisujemy je przed półpauzą:

- Gdzie idziesz? – zapytał.
- Zostaw mnie! – krzyknęła.

5. Tło dialogowe

„Tło dialogowe” to narracja, która przeplata się z dialogiem, nadając mu rytm, emocje i tempo.

Pomaga uniknąć monotonii – zamiast wielu wypowiedzi pod rząd, autor może dodać gest, myśl, opis przestrzeni.

Jeśli po wypowiedzi następuje tło dialogowe, wówczas stawiamy kropkę kończącą daną wypowiedź, a druga kończy zapis tła dialogowego:

- Chodź. – Pociągnął ją za rękę. – Nie mamy czasu.

- Wiesz, że to ryzykowne? – spytała, zerkając na ciemne niebo.
- Wiem. – Uśmiechnął się blade. – Ale nie mamy wyboru.

Tutaj tłem dialogowym jest: „zerkając na ciemne niebo” i „uśmiechnął się blade” buduje atmosferę i dynamikę rozmowy.

Skróty klawiszowe – szybki przegląd

Windows:

- Półpauza (–) → Alt + 0150
- Pauza (–) → Alt + 0151
- Dywiz (–) → klawisz -

macOS:

- Półpauza (–) → Option + -
- Pauza (–) → Shift + Option + -
- Dywiz (–) → klawisz -

Dlaczego te zasady są tak ważne

- **Czytelność** – prawidłowy zapis pozwala odbiorcy łatwo śledzić, kto mówi i co się dzieje.
- **Profesjonalizm** – wydawnictwa i redaktorzy przywiązują ogromną wagę do interpunkcji w dialogach.
- **Rytm i dynamika** – poprawny zapis pozwala utrzymać odpowiednie tempo i emocjonalność sceny.

- **Unikanie nieporozumień** – błędna interpunkcja może całkowicie zmienić sens wypowiedzi.

Przykład:

- Nie, czekaj! – zawołał.
- Nie czekaj! – zawołał.

Jedna spacja lub myślnik potrafi zmienić całe znaczenie. Pisanie dialogów to sztuka, w której forma i treść muszą iść w parze. Każdy znak, przecinek i myślnik ma tu swoje znaczenie – wpływa na rytm, emocję i sens wypowiedzi. W rezultacie czytelnik bez trudu rozpoznaje, kto mówi, co czuje i w jakim napięciu przebiega rozmowa. Poprawny zapis dialogu nie jest więc tylko kwestią zasad językowych; to narzędzie, które pozwala Twoim bohaterom naprawdę przemówić.

Na początku te reguły mogą wydawać się drobiazgowo – różnica między półpauzą a pauzą, zasady przy didaskaliach, wielkie i małe litery. Ale z czasem przestaniesz o nich myśleć. Ręce automatycznie ułożą znaki we właściwych miejscach, a Ty skupisz się na tym, co najważniejsze – na głosach, emocjach i rytmie historii.

Interpunkcja w dialogach to coś więcej niż tylko poprawność. To niewidzialna architektura tekstu, delikatna konstrukcja, dzięki której opowieść oddycha. Każdy myślnik jest oddechem, każda pauza – chwilą ciszy między słowami. I właśnie w tej ciszy, w tej drobnej precyzji, zaczyna się prawdziwa magia pisania.

Zrozumienie tych zasad to nie ograniczenie, lecz wolność. Wolność pisania tak, by czytelnik słyszał Twój tekst – jego rytm, tempo, muzykę. A gdy ją poczujesz, nie pomylisz się już nigdy więcej. Wówczas nie będziesz pisać tylko dialogów. Po prostu je usłyszysz.



STARA PLEBANIA NA ZAGAJU

REDAKCJA: PAULINA MIKA

KOREKTA: MAGDALENA TOMCZAK

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

*Zimową nocą, gdy ciemność jest tak głęboka,
że świat niemal zapomina, czym był dzień,
rozum kładzie się spać.
A gdy rozum śpi, budzą się demony.*

Ksiądz Filip Mocny był człowiekiem pogodnym, z nadzieją spoglądającym w przyszłość. Można też było nazwać go młodzieńcem o duszy poety, jak zrobiła to pani Jadwiga, gdy wczesnym, zimnym rankiem nowy wikariusz stanął w progu plebanii na Zagaju. Ciężko było z całą pewnością określić, co dokładnie w fizjonomii lub zachowaniu księdza Mocnego wywołało w starszej gospodyni takie wrażenie. Może to, że gdy pojawił się na oblodzonych schodkach wśród śnieżnych zasp, wyglądał jak anioł z aureolą ciemnych, rozczochranych włosów, którego na Zagaj zesłał sam Pan Bóg. A może było to coś w spojrzeniu Filipa, jakieś rozmarzenie i podziw, wypełniające czarne jak węgielki oczy. W każdym razie pani Jadwiga wydała swój osąd na temat nowego księdza, a następnie wprowadziła go w cieniste, ciepłe wnętrze starego probostwa.

Plebania na Zagaju była niedużym, dwupiętrowym domem o kamiennej podmurówce, szczerńniętych ścianach i drewnianych ramach okiennych. Już z daleka robiła wrażenie miejsca starego i sennego, otoczonego wianuszkami ośnieżonych cisów, wciśniętego jednym bokiem w las. Bezpośrednio za budynkiem, jeśli nie liczyć kurnika i rzędu niskich iglaków, znajdował się cmentarz. Nieduży, rozłożony na planie trójkąta, otoczony tym samym gajem z dwóch stron, był dobrze widoczny z pokoiku na parterze. Ten właśnie kąt został przydzielony księdzu Mocnemu.

Pani Jadwiga otworzyła przed wikariuszem drzwi i wpuściła go do pomieszczenia.

– Trochę tu ciemno i ciasno, ale będzie się księdzu dobrze mieszało. Komputer jest jeden, w gabinecie na piętrze. Gdyby w nocy mróz przewiewał przez okna, proszę podłożyć szmatkę od spodu. Miałam dziś po śniadaniu zetrzeć kurz i przynieść nową pościel, myśleliśmy, że będzie ksiądz dopiero na obiad... – mówiła gospodyni, ale urwała, gdy tylko weszła za młodym duchownym do środka. – Ojej – jęknęła.

Pokój rzeczywiście był mały, ciemny i trochę zapyłony, ale nie to tak zmartwiło panią Jadwigę. Na biurku, krzesle oraz tapczanie leżały poukładane w stosy książki i tekturowe pudła. Na parapecie zaś stało kilka słoików o trudnej do określenia zawartości.

– Bardzo księdza przepraszam – pisnęła kobieta i zaczęła pakować przykurzone egzemplarze do przypadkowych kartonów. – To rzeczy księdza Artura. Prosiłam go kilka dni temu, żeby przeniósł je do piwnicy, bo pokój będzie potrzebny dla nowego wikariusza. Powinna była wcześniej sprawdzić, najmocniej przepraszam.

– Nic nie szkodzi – powiedział wesoło wikary i podniósł z zaciekawieniem jedną z książek. – *Diabły i demony polskie* – przeczytał. – Nietypowe ma zainteresowania tutejszy proboszcz.

– O, nie, nie. Ksiądz Artur już nie jest proboszczem. Przeszedł na emeryturę – wyjaśniła gospodyni. – Proboszczem jest teraz ksiądz Stefan, ale on nie przepada za tymi, prawda, zainteresowaniami. Dlatego ksiądz Artur trzymał tu wszystko pod kluczem. Zaraz zrobimy z tym porządek.

– Ja pomogę – zaoferowała, ale nagle przystanął, spoglądając ze łzami w oczach na pokryte śniegiem nagrobki za szybą.

– Coś się stało? – zapytała zaniepokojona gospodyni.

Wzruszony duchowny jedynie potrząsnął głową i wskazał na zimowy krajobraz. Pani Jadwiga podążyła wzrokiem za jego palcem i westchnęła.

– No lepszego widoku tu nie ma. Nie pasuje księdzu cmentarz?

– Nie pasuje? – zdumiał się wikariusz, ocierając łzę wierzchem dłoni. – To jest piękne. Wspinała – szepnęła. – Ten śnieg tak lśni, a cmentarz, och, to taka metaforyczna przestroga. Z prochu powstałeś...

Pani Jadwiga przyjrzała się księdzu Mocnemu i pociągnęła nosem z konsternacją, ale nie skomentowała jego upodobań.

– Jeśli mogę coś powiedzieć, to strasznie ksiądz chudy – powiedziała zamiast tego. – Ale szybko to naprawimy. No to proszę się rozpakować, a ja dokończę śniadanie. Wszyscy będą zaskoczeni, jak mówiłam, spodziewaliśmy się księdza dopiero po południu.

– Przyjechałem wcześniej pociągiem. Nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć okolicę – zapewnił gorąco Filip. – Bardzo się cieszę, że biskup przydzielił mnie akurat tutaj. Zaczynam posługę wśród pól, łąk i lasów.

– I stawów rybnych – zauważyła pani Jadwiga. – Ale one akurat chyba nie pasują do księdza wizji. Latem strasznie śmierdzą. Na szczęście teraz jest zima – westchnęła, pokiwała głową i wyszła.

Rozmarzony uśmiech Filipa trochę przygasł, ale ksiądz szybko się otrząsnął i zabrał za rozpakowywanie. Nie miał zbyt wielu rzeczy, dlatego bez trudu umieścił zawartość plecaka w niewielkiej szafie, na której przy każdym ruchu drzwi kołysała się rachityczna paprotka.

Za oknem lekko prószył śnieg, a całą okolicę spowijała miękka, pochłaniająca wszelkie dźwięki

cisza. Ksiądz Mocny zebrał kilka książek z krzesła przy biurku i zdmuchnął kurz ze starych okładek. Zobaczył, że trzyma w rękach *Bestiariusz słowiański*, *Ziemie polskie i ich zwyczaje*, jakiś zielnik i opasłe tomiszcze o intrygującym tytule *Wstęp do egzorcyzmów kulturowych*. Odłożył stosik i już chciał sięgnąć po kolejne dzieła, gdy potrącił łokciem stojące obok tekturowe pudło. Złapał je w locie, ale ze środka wyślizgnęła się zakręcana butelka i runęła na twarde deski podłogi w akompaniamencie trzasku pękającego szkła.

Do pokoju natychmiast wbiegła pani Jadwiga, zwabiona hałasem.

– Co się stało?

– Nic, nic – stęknął ksiądz Mocny i się schylił, żeby zebrać to, co zostało z rozbitego przedmiotu. – Przepraszam.



– Proszę zostawić, ja pozbieram.

Filip więc wstał i patrzył, jak kobieta zgarnia szklane skorupy i wrzuca je do pojemnika. Przez chwilę mu się wydawało, że spomiędzy potłuczonych kawałków ulatuje jakiś owad, może komar, i siada gospodyni na ramieniu.

– Och, ugryzie panią – zawołał i wyciągnął rękę, żeby strącić insekta.

– Co? Co? – Pani Jadwiga aż podskoczyła.

– Komar. Ale... już go nie widzę, chyba poleciał.

Gospodyni wrzuciła smętną czerwoną zakrętkę do kartonu i spojrzała na wikarego. Jej wzrok przez chwilę był nieobecny, zamglony, jakby jej myśli uleciały gdzieś daleko.

– Taki chudy... – szepnęła ledwo słyszalnie, zaraz jednak wróciła do siebie. – No co też ksiądz opowiada – zachnęła się zaraz. – W zimie nie ma komarów. Zabiorę to, ale resztą niech zajmie się ksiądz Artur. On jest bardzo wrażliwy, jeśli chodzi o te szpargały. Proszę ze mną na śniadanie.

Pani Jadwiga zaprowadziła księdza Mocnego do kuchni, w której dwóch starszych kapłanów spożywało już śniadanie, czytając wspólnie jedną gazetę. Wydawało się to wyjątkowo niewygodne, szczególnie że jeden z księży był dość niski, a drugi nad wyraz dobrze zbudowany, chociaż przygięty już wiekiem. Pismo trzymali między sobą, ale wyglądało to tak, jak gdyby każdy z nich tylko czekał, aż uścisk tego drugiego choć odrobinę zelżeje. Gdy tylko zobaczyli Filipa, wstali od stołu i podeszli go przywitać.

– Szczęść Boże! Ksiądz Filip Mocny, prawda? Ale się ksiądz pospieszył, witamy, witamy – zawołał niziutki proboszcz, wyciągając ku wikaremu dłoń. – Stefan Zaradny, bardzo miło poznać. Strasznie ksiądz młody, strasznie ksiądz młody... – wymamrotał pod nosem, a potem wskazał na wysoką postać przygarbionego kapłana. – To jest Artur Skała, ksiądz emeryt, który rezyduje na plebanii. Jak widać, tą parafią opiekują się ludzie o wyjątkowych nazwiskach, więc nieźle nam tu ksiądz pasuje.

Filip się uśmiechnął, trochę onieśmielony wywodem proboszcza, uściśnął wyciągnięte dłonie i pozwolił podprowadzić się do stołu. Gospodyni postawiła przed nim szklankę w metalowym koszyczku i naala kawę.

– Proszę się częstować – powiedziała, kładąc przed mężczyzną talerz i nóż do smarowania. – Frykasów nie ma, za to obiad przygotowany odświętny, specjalnie na księdza przyjazd.

Śniadanie faktycznie było skromne. Na stole oprócz chleba i masła stały tylko półmisek z twarogiem, słoik miodu, cukier i cynamon. Pieczywo było rumiane i świeże, a kostka tłuszczu miała piękny złocisty kolor. Wikariusz poczuł, jak głód ściska mu żołądek. Odmówił cichą modlitwę i się-

gnął po kromkę.

– A więc to jest księdza pierwsza parafia, prawda? Wiejska... Trochę tu jak na wygnaniu – zagadnął proboszcz.

– Nie lubię zgiełku dużych miast – odparł wikary. – Tu mi się bardziej podoba, zawsze chciałem mieszkać na prawdziwej wsi.

– Ach tak – ucieszył się. – Spodoba się księdzu jeszcze bardziej, gdy zobaczy nasze sanktuarium mniejsze. W kwietniu zamontowaliśmy dodatkowe światła i teraz cały kościół podświetlany jest w nocy na żółto i niebiesko – dodał z dumą.

– A co się księdzu tu konkretnie podoba? – zapytał Artur Skała, odkładając gazetę. Oparł się wygodnie w krzesło i nawet lekko uśmiechnął.

Filip pomyślał przez chwilę.

– Na pewno jest tu bardzo malowniczo, dawno nie widziałem takiej zimy, ale... – zawahał się. – Jest w tym miejscu coś jeszcze. Jakby wszystko było możliwe, a legendy miały działać się na naszych oczach. Mam takie wrażenie, że jest tu trochę jak w baśni. Takiej starej baśni, jeśli rozumie ksiądz, co mam na myśli.

Ksiądz emeryt westchnął, zerknął na proboszcza zajętego rozpuszczaniem miodu w szklance kawy i się uśmiechnął, ale wydawał się nieco ponury.

– Trochę jak w baśni – powtórzył stary kapłan. – Pożyczę księdzu książkę, jeśli ciekawia go baśnie. No, ale może to i trafne określenie – zawyrokował, napił się z kubka i wrócił do czytania.

– Gusła – mruknął ostrzegawczo proboszcz i spojrzał Filipowi prosto w oczy. – Jeśli będzie ksiądz wierzył legendom, to skończy z głową w chmurach jak nasz ksiądz emeryt...

– Księżu Arturze, chciałabym przypomnieć o rzeczach w pokoju na parterze – wtrąciła nagle pani Jadwiga. – Myślałam, że wszystko już uprzątnięte i wprowadziłam dziś księdza Filipa, a tam taka niespodzianka – poskarżyła się. – Ja zetrę kurze, ale gdyby mógł ksiądz wynieść pudła do piwnicy, jak prosiłam, zanim znów coś się potłucze...

Stary kapłan na te słowa się ożywił i całkowicie stracił zainteresowanie gazetą.

– Co się stłukło?

– Jakaś butelka w kartonie na biurku. Z czerwoną zakrętką. Bardzo księdza przepraszam, to moja wina – przyznał wikary.

Ksiądz emeryt zbladł nieco i potoczył wzrokiem od Filipa do pani Jadwigi. Zamyślił się na chwilę i najwyraźniej przemyślenia te zrodziły niekorzystny wniosek, bo odsunął od siebie chleb z twarogiem, odchrząknął i wyszedł.

Mieszkańcom starej plebanii dzień upłynął w miarę spokojnie. Nowy wikariusz miał okazję zobaczyć słynne sanktuarium mniejsze, przysypałą śniegiem grotę z posągami Maryi, cmentarz i jeszcze dalszą okolicę. Proboszcz dwoił się i troił, żeby przedstawić Zagaj jako wieś nowoczesną i postępową, a napotkani po drodze parafianie wykazywali szczere zainteresowanie względem młodziutkiego księdza o czarnych oczach i niegasnącym rumieńcu.

Problem stanowił jedynie najstarszy z kapłanów, który od czasu śniadania zaczął niespokojnie zaglądać we wszystkie kąty plebanii z pudełkiem szpilek w dłoni. Zostawiał po dwie albo trzy w różnych miejscach, a biedna pani Jadwiga robiła, co mogła, żeby je ukradkiem uprzątnąć. Szczególnie skrzętnie wymiatała wszystkie z pokoju nowego wikariusza. Wchodzili tak sobie niemal cały dzień w paradę, dlatego proboszcz tym chętniej wyciągnął Filipa na oprowadzanie po wsi.

A gdy wreszcie niebo z wiśniowej przybrało barwę atramentu, ksiądz emeryt odniósł swoje małe zwycięstwo i odprawił gospodynię z probostwa do domu. Kapłani wypili po kubeczku grzanego, korzennego wina, zmówili modlitwę i poszli spać. Wiatr za oknem dął złowieszczo, śnieg oblepiał domy i drzewa nową warstwą puszystej bieli, a w ciepłym wnętrzu plebanii wreszcie zapanowała błoga cisza.

I wtedy właśnie się obudziła.

Z początku nie była pewna, czy rzeczywiście jest wolna. Przez lata zdążyła przyzwyczaić się do wnętrza szklanej butelki tak bardzo, że gdy wreszcie stanęła prosto, nie do końca pamiętała, jak używać swoich długich, niemal pajęczych nóg.

Szybko jednak odzyskała wprawę i zatarłszy ręce, przecisnęła się przez dziurkę od klucza i wyskoczyła na zewnątrz, w chłodną, zimową noc. Stare kości powoli odzyskiwały dawną sprawność. Dobrze wiedziała, gdzie iść, aby znaleźć świeżą, młodą krew. Drogę na plebanie znała na pamięć, jakby chadzała nią codziennie, aż do znudzenia. Drzwi oczywiście były zamknięte, ale to nie stanowiło żadnego problemu. Zamek wiejski, miejski, starego domu czy nawet nowoczesnego pałacu to była dla niej pestka. Mogła go otworzyć albo po prostu przejść przez mechanizm, przepychając się wąskimi szczelinami, aż na drugą stronę.

Ale gdy już dostała się do środka, coś się jej nie spodobało. Żelazo. Czuła porozkładane po starym domu małe, ostre kawałki żelaza. W butach, na stołach, półkach i schodach, wbite w zasłony

i wsunięte między książki. Tak, wiedziała, czyja to sprawka, nie musiała nawet zgadywać. Ale dawny proboszcz Zagaja już się zestarzał, na pewno nie był w stanie czuwać całą noc. Nadstawiła uszu, a gdy wychwyciła dochodzący z pokoju na piętrze pogłos chrapania starego kapłana znużonego nocną wartą, pogratulowała sobie przebiegłości. Bo to w końcu tylko dzięki sprytowi tak późno dotarła na miejsce. Na pewno nie miała z tym nic wspólnego wielka słabość, która dopadła ją po tylu latach siedzenia w butelce. Westchnęła i przekradła się przez korytarz, podążając za rozkoszną wonią młodego mężczyzny. Plebania tonęła w dziesiątkach innych zapachów, wyczuwała, jak aromat anyżu i cynamonu z grzanego wina miesza się z wonią starego drewna, kadzidła i gulaszu. Ale przez te połączenia wyraźnie przebijał się intensywny bukiet mydła, wody kolońskiej i młodzińskiej skóry. Pyszności.

Czuła przez ściany żywe, żwawe ciało pełne gorącej krwi. Podeszła pod próg pokoju, wsunęła palec w dziurkę od klucza i przyłożyła oko do zamka. Ślina już zbierała się pod jej językiem, przepływała między zgniętymi zębami, aż wreszcie zaczęła skapywać z ust cienką, sączącą się stróżką. Zmrużyła oczy. Gdzieś w środku wciąż paliło się światło i z bólem serca zrozumiała, że młodziutki ksiądz jeszcze nie śpi. Westchnęła ciężko, ale wiedziała, że musi w końcu przeleźć na drugą stronę. Kapłan mógł się przecież jednak obudzić, a ona była taka głodna, taka zabiedzona, że z pewnością nie dałaby mu rady, nawet jeśli był już kompletnie stary.

Dlatego przeszła przez drzwi ostrożnie, maleńka jak komar i cicha jak zima. Widziała już plecy pochylonego nad biurkiem wikariusza, jego chude, szerokie ramiona i czarne włosy. Przewracał ostrożnie karty jakiejś starej książki, i przesuwając palcami po drobnym druku.

– Piękny, piękny – szepnęła do siebie. – Ale taki chudziutki, cieniutki jak brzoza witka...

Wikary drgnął. Uniósł głowę znad lektury i zsunawszy okulary do połowy nosa, rozejrzał się po pokoju. Widziała, jak czarne oczy księdza odnajdują miejsce, w którym stała, mrużąc się. Następnie zdjął oprawkę i odłożył je na blat. Zamarła. Ale ją zaskoczył.

– Rokito łaskawy... – jęknęła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Kto tu jest? – zapytał Filip Mocny i w jego głosie usłyszała niepewność.

A więc chyba jej nie widział! Przemknęła cichaczem w drugi kąt pokoju, a kapłan instynktownie powiódł za nią głową. Ale już więcej nie odszukał jej wzrokiem. Siedziała w cieniu cicho jak mysz pod miotłą, aż wreszcie ksiądz Mocny odwrócił się w krzesło, nałożył ponownie okulary

i wrócił do książki. Odetchnęła z ulgą. Tego się nie spodziewała.

Zaciekawiona, jaka to lektura zatrzymuje młodego wikarego tak późno w nocy, podeszła do biurka i spojrzała mu przez ramię. Zauważyła rycinę przedstawiającą strzygę i zmarszczyła brwi.

– No pewnie – fuknęła półgłosem. – One zawsze ciekawsze, co?

Ksiądz Filip znów wyprostował się w siedzisku i tym razem wstał. Podeszedł do drzwi, a w drodze wykonał znak krzyża tak gorliwie, że aż przeszły ją dreszcze. Gdy wikariusz wyglądał na korytarz, szybko przerzuciła kartki bestiariusza, aż znalazła mu lepszą stronę do czytania. Wskoczyła na parapet naprzeciwko biurka i cierpliwie czekała, aż kapłan uspokoi swoją paranoję i wróci na miejsce. Była głodna, ale czekając, aż ksiądz Mocny zaśnie, mogła się przecież trochę pobawić. Stary kapłan w końcu wciąż drzemał na piętze. Wystrychnęła go na dudka, pewnie myślał, że szpilki pomogą, pewnie był spokojny... Ha! A akurat w tym pokoju nie było ani jednej, więc mogła harcować do woli.

Wikary usiadł na swoim miejscu, chwycił książkę w dłonie i zamarł. Przez kilkanaście sekund wpatrywał się tępo w ilustrację wychudłej, długonogiej kobiety, według podpisu przedstawiającą zmore.

– I co, ciekawsze, prawda? – ucieszyła się i znów spłoszyła tym młodego księdza.

Drgnął, ale nie obejrzał się już za siebie, tylko zaczął przerzucać kartki, by wrócić do poprzedniej strony. Uraziło ją to. Nawet nie przeczytał, tylko chwilę gapił się w obrazek. Nachyliła się z parapetu w stronę biurka i gdy tylko wikary wypuścił egzemplarz z rąk, odwróciła treść z powrotem.

Widząc samoistnie przewracające się kartki, ksiądz Filip najpierw wciągnął głośno powietrze, a potem zerwał się z krzesła i dopadł niskiej szafki nocnej. Wyciągnął z szuflady różaniec, złożył ręce i nie odrywając wzroku od książki, zaczął się żarliwie modlić. Robił to z taką wiarą, że trochę ją od tego zemdlilo.

– Mogłeś po prostu przeczytać – westchnęła.

Znudzona, zeskoczyła z parapetu, ale nagle ksiądz Mocny schował koronkę i pochylił się nad lekturą. Miał zaciętą minę.

– Może to znak – szepnęła do siebie i omal nie parsknęła śmiechem. Dawno się tak dobrze nie bawiła. Co nie zmieniało faktu, że była głodna, a młody ksiądz pachniał wyjątkowo pysznie. Czuliła, że w jego żyłach wciąż krąży jeszcze odrobina wina z cynamonem, i nie chciała stracić tej gratki.

– Zmora. Wampiryczny demon nocny – przeczytał na głos wikary, a ona poczuła, że ze wzruszenia łyzy stają w jej podpuchniętych oczach. Zaczął czytać! Zaczął o niej czytać! Gdyby jeszcze w nią uwierzył... Chociaż mogłoby to być

potencjalnie problematyczne, skoro był jedynym młodym w tym domu, który nadawał się na regularnego żywiciela. Przyjrzała mu się uważnie. Zagłębiając się z duszą na ramieniu w starą książkę księdza Skały, wyglądał jak spłoszony psiak, tylko klapniętego ucha mu brakowało. Ach, gdyby tylko była trochę młodsza...

– Złośliwe widziadło, które jedynie nocą może się ukazać na świętej ziemi... dusi śpiącego człowieka, ale jeśli ten potrafi się przebudzić, zmora ucieka. W innym wypadku pije krew, którą się nasyci... Zmora powstaje z duszy żywego, najczęściej kobiety, siódmej córki w rodzinie. Potrafi pokonać wszystkie zamki pod postacią słomki albo komara – czytał po cichu. – Zmorę można odstraszyć standardowo solą, lustrem, kałem lub stalowym przedmiotem. Zabić da się ją jedynie, łapiąc w szklaną butelkę, gdy jest zajęta, a następnie topiąc lub paląc. Ale wtedy na niechybną śmierć skazuje się tego, do czyjej duszy zmora należy...

Chciała zaklaskać, ale zrezygnowała z tego pomysłu, przypominając sobie, że wikary jest podejrzanie wrażliwy, a przecież chciała, żeby wreszcie położył się spać. Do tej pory jedynie ten stary kapłan był w stanie ją zdyszał i złapać, ale wiedziała, że go do tego specjalnie szkolono.

Ledwie przypominała sobie o księdzu Arturze, gdy dotarło do niej, że choć jeszcze chwilę temu na piętze pochrapywało dwóch kapłanów, w starym domu śpi już tylko jeden człowiek. I był nim proboszcz, jej zdaniem największa zakala duchowieństwa, ślepy i głuchy na wszystko, co niezwykłe.

– Księżę Filipie, widzę, że ksiądz jeszcze nie śpi. – Stary kapłan, jak postać z jej najczarniejszych koszmarów, zajrzał do pokoju przez uchylone drzwi. Pachniał śniegiem i grzonym winem. Cofnęła się cichutko i przycupnęła skulona pod biurkiem.

Wikary najpierw podskoczył zdumiony, ale ostatecznie uśmiechnął się i stanął w progu.

– Chyba właśnie będę się kładł – westchnął. – Ze zmęczenia mam już zwidy.

– Zwidy? – powtórzył ksiądz Skała, ale duchowny tylko machnął lekceważąco ręką. – No dobrze, tylko niech ksiądz teraz nie chodzi w nocy po domu. To niebezpieczne.

– Niebezpieczne? – powtórzył wikary, który wyglądał, jakby niezbyt mu się spodobało to określenie.

Stary kapłan mruknął, zmarszczył brwi i odwrócił głowę w inną stronę. Wzrokiem przeczesywał wnętrze pokoju, ale zmora nie była pewna, czy jest w stanie ją zobaczyć. Wyglądał na nieprzygotowanego do polowania, więc zgadywała, że porządnie mu się przysnęło.

– Nabije sobie ksiądz guza – rzucił tylko i wycofał się na korytarz.

Przez cały ten czas siedziała skulona pod biurkiem, błagając wszystkie demony, o jakich mogła pomyśleć, żeby ksiądz Skala jej nie zauważył. Może jej nie widział, ale na pewno wyczuł i wróci, gdy tylko się uzbroi, żeby znów podstępnie zamknąć ją w butelce. Dlatego postanowiła go ubiec i się najieść, zanim zdąży znaleźć puste naczynie z zakrętką.

Wypełzła ze swojej kryjówki, bacznie śledząc poczynania wikarego, który otworzył szafę tak energicznie, że stojąca na niej paprotka zachybotała się niebezpiecznie. Zatarła ręce. Nareszcie szykował się do spania. Przemknęła wzdłuż ściany, żeby poczekać na niego przy łóżku, ale gdy była na wysokości drzwi, odskoczyła z piskiem od futryny. Wzdłuż progu rozsypane były szpilki. Cała masa szpilek z kolorowymi główkami. Przekłęty staruch!

Wzdrygnęła się i cofnęła, aż natrafiła plecami na opór. Dopiero wtedy uniosła głowę i zobaczyła, że to długa noga wikariusza, który zamarł z koszulą od pizamy w ręce i teraz spogląda w dół, mrużąc oczy.

– Cz-czym jesteś? – zapytał drżącym głosem. – Czego chcesz?

Nie odpowiedziała. Przyglądała mu się przez chwilę, oceniając swoje szanse. Wyglądał na śpiącego, więc były całkiem spore.

– Czym jesteś? – powtórzył ksiądz Mocny, ale gdy znów nie otrzymał odpowiedzi, wciągnął pizamę przez głowę i usiadł na zasłanym tapczanie. – Cień, to tylko cień – mruknął do siebie.

Gdy już siedział w pościeli, wyczuła okazję. Nie czekała, aż się położy, tylko przysunęła usta do ucha wikariusza i zaczęła szeptać cichutko o śnie, o spaniu, o zimie za oknem, śniegu na dachu i trzaskającym ogniu w kominku. O grzonym winie, pierniku i ciastach pachnących cynamonem. A powieki księdza Filipa robiły się coraz cięższe, coraz bardziej senne.

Wyszczерzyła zęby w uśmiechu i popchnęła wikarego między poduszki. Wdrapała się na niego, usiadła mu na piersi i przycisnęła kolanami. Zbliżyła się do bladej twarzy, która wreszcie zaczynała nabierać kolorów. Czuła pulsującą w skroniach młodzińca krew, ale wciąż nie mogła jej posmakować. Docisnęła ciało mocniej, aż kapłanowi zabrakło tchu.

– Tylko troszeczkę – szepnęła. – Tylko odrobinę.

Przesuwała nosem po policzku nowego księdza, czekając, aż ciśnienie uderzy mu do głowy, a delikatne naczynka w nosie popękają i uwolnią słodką, gorącą ciecz. Ale duchowny Mocny był młody, zdrowy i trzymał się dzielnie, bez względu na to, jak mocno go przyciskała.

Usłyszała na piętrze ciężkie kroki i zrozumiała, że ma niewiele czasu, więc nacięła końcem

paznokcia maleńką żyłkę na skroni. Popłynęła! Nareszcie popłynęła czerwona, pachnąca krew. Przywarła do niej ustami i poczuła dawno zapomniany smak życia. Wolną ręką gładziła młodziutkiego kapłana po policzku, żeby wytrzymał jeszcze trochę i nie wykitował z braku powietrza. Docisnęła kolanem tors wikarego najmocniej jak tylko potrafiła. Wysunęła język, żeby z rozkoszą zlizać spływającą krew i napić się jeszcze trochę, zanim do pokoju wpadnie ksiądz Skala.

Stary kapłan był szybki, ale to nie on przerwał jej uczutowanie. To wikary nagle otworzył oczy i rozchylił usta w niemym krzyku. Wierzgnął, wyciągnął przed siebie ręce i zrobił coś, co było trudne nawet dla dobrze wyszkolonych egzorcystów, takich jak ksiądz emeryt, a co dopiero dla takiego chłystka, który dopiero poznawał potęgę Wielkiego Boga. Złapał ją za gardło i oderwał od siebie.

Starzec, który właśnie stanął w progu, z wrażenia omal nie wypuścił z rąk butelki, którą ze sobą przyniósł. Z szyi zwisał mu rzemień pełen srebrnych medalików, pod pachą trzymał krzyż, a jedną dłoń owiniętą miał dziwnym, w całości wykonanym z metalu różańcem. Przez krótką chwilę myślała, że wykorzysta jego szok i umknie, ale wikary trzymał ją z całych sił, mimo że w jego czarnych oczach dostrzegała panikę i dezorientację. Chyba nie do końca widział to, co złapał.

– Trzymaj ją! – zawołał ksiądz Artur, który wreszcie otrząsnął się z szoku.

Odkręcił pojemnik, przyskoczył do tapczanu i już wiedziała, że nie ma szans. Nie miała tylko pojęcia, jakim cudem ten chłopak był w stanie się przed nią obronić. Patrzyła na jego chudą, wymizerowaną twarz, jakby przez wszystkie lata seminarium omijał połowę posiłków, zmiętą, pocerowaną pizamę i naprawdę, naprawdę nie rozumiała.

A ksiądz emeryt machnął lewą ręką i zgarnął ją całą do butelki. Przyłożył żółtą zakrętkę i zamknął w środku. Znowu.

– No, pani Jadwigo – westchnął, unosząc szkło do oczu. – Piękną pani przygotowała pierwszą noc nowemu wikaremu. Jutro panią lepiej schowamy, teraz proszę sobie posiedzieć cicho pod zlewem do rana. A ksiądz to ma talent – zwrócił się do młodszego mężczyzny. – Pani Jadwiga jest wyjątkowym przypadkiem, ma dwie dusze, biedaczka, bo jeszcze w brzuchu mamy wchłonęła swoją siostrę, siódmą córkę w rodzinie. I teraz nosi jej duszę-zmorę. Raczej nie jest niebezpieczna, no ale... Ech, niezbadane są wyroki boskie.

Stary kapłan pokiwał głową z uznaniem. Tylko że wikary, który zdążył już wstać z łóżka, zgiął się w pół i zwymiotował na lakierowane deski. Spojrzał na księdza emeryta wytrzeszczonymi ze strachu oczyma, wyciągnął rękę,

wskazując na butelkę, poruszył bezgłośnie ustami i zemdlał.

O poranku słońce wpadło do pokoju księdza Mocnego, odbite od pokrywającego cmentarz śniegu. Senne obrazy, resztki koszmaru prześlizgnęły się pod powiekami Filipa, zostawiając po sobie uparte wrażenie realności. Bolała go głowa, więc chyba przesadził wieczorem z grzany winem. Gdy uniósł rękę do skroni, wyczuł na skórze maleńki strupek, ale nie przypominał sobie, żeby się skaleczył. Wreszcie wstał, ubrał się i uporządkował rzeczy rozrzucone na biurku. Zajrzał jeszcze do bestiariusza, przesunął palcami po pożółkłych stronach, a następnie zamknął książkę. Wzdrygnął się.

Za oknem wiatr zawodził cichutko i zdmuchiwał z dachu okruchy śniegu błyszczące jak diamenty w jasnych promieniach słońca, ale z jakiegoś powodu ten widok już tak go nie zachwycił. Nie stał mu się obojętny, dalej wyglądał pięknie, jakby skrojony z ulotnej tkaniny marzeń, ale miał już w sobie jakiś cień. Czając się w głębi groźbę.

Gdy wikariusz wszedł do kuchni, zwabiony zapachem kawy, zobaczył dwóch starszych księży siedzących przy stole i czytających razem gazetę. Pani Jadwiga krzątała się z uśmiechem na ustach, a gdy zobaczyła wikariusza, pokręciła głową i nałła mu kawy do szklanki.

– Ale ksiądz błdy – westchnęła.

– Wie pani, miałem bardzo dziwny sen – powiedział Filip, ziewając.

Ksiądz Skała uniósł głowę znad prasy i spojrzał na niego dziwnie.

– Czy na plebanii są myszy? – zapytał wikary. – Albo szczury? Pamiętam, że coś chyba chodziło po moim pokoju.

Proboszcz odłożył gwałtownie gazetę na stół i zakrył ją dłonią. Na nikim to jednak nie zrobiło wrażenia, najstarszy z kapłanów nawet przesunął dłoń księdza Zaradnego trochę na bok, żeby przeczytać artykuł.

– Nie ma! I nie będzie tak długo, jak ja tu mieszkam – fuknął starzec.

– To prawda, nigdy nie mieliśmy myszy ani innych szkodników – zgodziła się pani Jadwiga. – Jeśli ksiądz coś słyszał, to może... Ja mam czasem wrażenie, że w takich starych domach to zawsze kryją się jakieś strachy i...

– Gusła! – wszedł jej w słowo ksiądz Zaradny i gospodyni się zmieszała.

Filip obserwował całą tę scenę z bezpiecznej pozycji na drugim końcu stołu. Pani Jadwiga umknęła przed zagniewanym wzrokiem proboszcza i zaczęła obierać ugotowane jajka ze skrupek. Dopiero wtedy ksiądz Mocny zauważył,

że wygląda mizerniej niż dzień wcześniej, miała podkrążone oczy i sprawiała wrażenie potwornie zmęczonej. Wikariusz potarł skroni i wtedy poczuł, że ktoś bacznie mu się przygląda. Ksiądz emeryt popijał kawę i uśmiechał się do niego znad szklanki w metalowym koszyczku. Coś w tym uśmiechu bardzo się Filipowi nie spodobało.

– A co to takiego? – zapytała nagle pani Jadwiga, wyciągając szklaną butelkę z szafki pod zlewem. – Znowu ksiądz rozkłada po domu puste butelki? Księżę Arturze, tyle razy prosiłam. Zaraz, czy to komar?

Gospodyni podniosła szkło pod słońce i przyjrzała się uważnie. Filip miał wrażenie, że już kiedyś widział tę butelkę. Pani Jadwiga pokręciła z dezaprobatą głową, otworzyła okno i wystawiając ręce na zewnątrz, odkręciła zakrętkę.

– Nie! – zawołali jednocześnie ksiądz emeryt i wikary.

Ale było już za późno.

ZUZANNA BARCZYK:

Niepoprawna entuzjastka polskich krajobrazów, ziół i poezji VI Dalajlamy. Piszę w nurcie fantastyki inspirowanej klimatami polskiej wsi i demonologii słowiańskiej, ale parę się też fantastyką buddyjską.

Wychowałam się na maleńkiej wsi, skąpanej w blasku majestatu księdza proboszcza, dorastając w towarzystwie atlasów botanicznych mojej mamy, przesądów powtarzanych przez babcię i lasów Jury Krakowsko-Częstochowskiej.

Od 2021 r. jestem związana z Sekcją Literacką Krakowskiej Sieci Fantastyki. W wolnym czasie, kiedy akurat nie uczę języka japońskiego siebie albo innych, rozpisuję tere nowe gry fabularne jako zastępczyni komendanta Hufca ZHP Olkusz ds. programu, wędruję, żegluję i bardzo dużo czytam.

Moimi ulubionymi autorami są J.R.R. Tolkien, Lucy Maud Montgomery, Natsume Soseki i Jonathan Stroud. Wśród polskich autorów ostatnimi czasy specjalnie miejsce w moim serduszkę zajął Jacek Piekara, może nawet trochę wyparł Jakuba Ćwika.

Po przeżyciu krwawej gorączki przywiezionej z Kamboży postanowiłam, że życie jest zbyt krótkie, by poświęcać je wyłącznie na publikacje naukowe (które nadal piszę i wydaję).

MIĘSCA W SIECI:

Instagram: <https://www.instagram.com/pol.wieku.poezji/>

Facebook: <https://www.facebook.com/zuzana.barczyk>

FEMINATYWY – POWRÓT ZAPOMNIANYCH SŁÓW, CZYLI JAK JĘZYK UCZY SIĘ RÓWNOWAGI

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

Feminatywy. Jedni słyszą to słowo i czują znużenie – bo znów ktoś będzie „poprawiał język”. Inni – entuzjazm, że wreszcie ktoś go „naprawia”. Ale zanim zaczniemy dyskutować, czy „chirurgka” to już językowy potworek, czy po prostu nowoczesność, warto zrobić krok wstecz. I drugi. I trzeci. Bo historia feminatywów to nie modny wynalazek XXI wieku. To raczej opowieść o tym, jak język – przez stulecia – odzwierciedlał miejsce kobiet w społeczeństwie.

Dawno, dawno temu... czyli początki feminatywów

Feminatywy nie są niczym nowym. Wręcz przeciwnie – w polszczyźnie funkcjonują od samego początku jej istnienia. Już w XV i XVI wieku w tekstach można znaleźć formy takie jak „pisarka”, „śpiewaczka”, „nauczycielka”, „mniszka” czy „kucharka”. Kobiety w tamtym czasie wykonywały określone zawody i zajęcia, więc język naturalnie tworzył żeńskie odpowiedniki męskich nazw. Co ciekawe, wiele z tych feminatywów pojawiało się wcześniej niż ich męskie formy – na przykład „gospodyni” istniała, zanim upowszechnił się „gospodarz”.

W XVII–XVIII wieku żeńskie formy były powszechnie używane w listach, dokumentach i literaturze. Mówiono o doktorowej, profesoro-wej, pisarzowej, aptekarkach, pani sekretarzowej – wówczas bowiem określenie kobiety często łączyło się z funkcją jej męża. Nie było jeszcze mowy o niezależności zawodowej kobiet, więc i język ten brak odzwierciedlał.

Dlaczego feminatywy zniknęły?

Przełom XIX i XX wieku przyniósł zmianę – kobiety zaczęły aktywniej wchodzić w sferę publiczną. Pojawiły się pierwsze „lekarki”, „adwokatk”, „pisarki”. Wtedy też ukształtowało się wiele feminatywów, które dziś uznajemy za „naturalne”: aktorka, poetka, nauczycielka, malarka. Ale nie wszystkie się przyjęły. Słowa takie jak „inżynierka”, „profesorka” czy „psycholożka” wciąż budziły opór, bo brzmiały obco, a co ważniejsze – odnosiły się do ról, które dopiero zaczynały być dostępne dla kobiet.

W okresie PRL-u sytuacja się skomplikowała. Z jednej strony kobiety pracowały zawodowo i pełniły funkcje publiczne, z drugiej – język oficjalny i urzędowy ulegał silnemu formalizmowi. W efekcie zapanowała moda na neutralne, męskie formy w rodzaju: „pani minister”, „pani premier”, „pani profesor”. Mówienie „profesorka” zaczęło być postrzegane jako niepoważne lub wręcz lekceważące. Kobiety – paradoksalnie – same często unikały feminatywów, bo nie chciały, by ich brzmienie umniejszało powagę stanowiska.

W latach 70. i 80. ubiegłego wieku feminatywy w zasadzie zniknęły z oficjalnych tekstów. Pozostały w sferze potocznej – „kucharka”, „sprzątaczk”, „nauczycielka” – ale tam, gdzie zaczynał się prestiż, zaczynała się też męskość języka.

Renesans feminatywów – dlaczego wracają?

Powrót feminatywów to zjawisko XXI wieku, ale jego źródła leżą głębiej. Po 1989 roku, wraz z demokratyzacją życia publicznego i rozwojem ruchów feministycznych, zaczęto na nowo przyglądać się językowi – temu, kogo on widzi, a kogo pomija. Pojawiły się głosy, że kobiety „znikają” z przestrzeni językowej, gdy używa się wyłącznie form męskich. Zaczęto więc przywracać żeńskie końcówki, czasem odkurzając stare formy, a czasem tworząc nowe.

W tym samym czasie polski językoznawca, prof. Jan Miodek przypominał, że feminatywy wcale nie są nowym tworem – to raczej ich zanik był nienaturalny. I rzeczywiście, słowa takie jak „psycholożka”, „socjolożka”, „reżyserka” czy „ministra” zaczęły znów funkcjonować w przestrzeni publicznej. Część z nich przyjęła się na dobre – „aktorka”, „rzeczniczka”, „dietetyczka” już nikogo nie dziwi. Inne – jak „chirurgka” czy „gościni” – wciąż budzą wątpliwości.

Dlaczego niektóre feminatywy brzmią obco?

Tu dochodzimy do najciekawszego punktu. Język to nie matematyka. Nie wystarczy dodać końcówki „-ka” lub „-czka”, żeby wszystko brzmiało dobrze.

Polszczyzna ma swoją melodię i wewnętrzną logikę. Formy typu „chirurgka” czy „pediatrka” nie brzmią płynnie, bo łączą trudne zbitki głosek. Dlatego część osób odbiera je jako nienaturalne czy wręcz śmieszne.

Są też feminatywy, które brzmią poprawnie, ale semantycznie się nie przyjęły. Przykładowo „pilotka” kojarzy się bardziej z czapką lub z urządzeniem niż z kobietą za sterami samolotu. I to nie kwestia ideologii, tylko samego brzmienia i skojarzeń, które wytworzył język przez dziesięciolecia.

W efekcie mamy dziś sytuację, w której część feminatywów funkcjonuje płynnie, inne dopiero szukają swojego miejsca, a jeszcze inne pozostają w sferze żartów językowych.

Feminatywy w literaturze i w nauce – dwa różne światy

Literatura to przestrzeń swobody. W beletrystyce można używać feminatywów jako świadomego zabiegu stylistycznego. Dodać autentyczności dialogom, podkreślić charakter bohaterki, zbudować świat, w którym kobiety są obecne językowo tak samo jak mężczyźni. Tam chirurgka może być celowym wyborem – słowem, które coś w czytelniku „zgrzytnie”, ale też zmusi go do refleksji.

Inaczej wygląda to w tekstach naukowych, akademickich czy urzędowych. Tam liczy się precyzja, a nie emocja. Nadmiar feminatywów, zwłaszcza tych brzmiących jeszcze obco, może sprawiać wrażenie braku profesjonalizmu. Dlatego w takich kontekstach często lepiej pozostać przy neutralnych formach – „pani profesor”, „pani minister”, „pani redaktor”. Język nauki ma być nośnikiem treści, nie manifestem.

Język zbiorowości – mieszkańcy, Europejczycy, uczestnicy

Często słyszymy, że trzeba mówić „mieszkanki i mieszkańcy”, „Europejki i Europejczycy”, żeby „wszyscy czuli się uwzględnieni”. To oczywiście zrozumiałe z punktu widzenia wrażliwości społecznej, ale z punktu widzenia gramatyki – niekonieczne. Polskie formy zbiorowe, takie jak „mieszkańcy” czy „uczestnicy”, obejmują już wszystkich niezależnie od płci. To tak zwany rodzaj męskoosobowy – w którym zawarte są również kobiety.

Nie ma więc potrzeby każdorazowego rozdzielania tych grup, chyba że mówca celowo chce zwrócić uwagę na kobiety lub na aspekt równościowy. W przeciwnym razie język traci złożość, a tekst – płynność.

Czy warto na siłę?

I tu docieramy do pytania zasadniczego: czy warto feminatywy wprowadzać wszędzie, niemal na siłę?

Język rozwija się naturalnie. Ewoluuje, gdy pojawia się potrzeba. Nie przetrwa to, co nie brzmi dobrze i nie jest użyteczne. Być może część współczesnych feminatywów przyjmie się i wejdzie do codziennej polszczyzny, a inne – znikną, jak wiele językowych mód przed nimi.

Na koniec – o wyborze i konsekwencji

To, rzecz jasna, tylko luźne dygresje. Każdy autor i każda autorka mają prawo do własnych decyzji. Niektórzy wolą „redaktorki” i „autorki”, inni zostaną przy „redaktorach” i „autorach”. Najważniejsze to zachować spójność – jeśli w jednym tekście używamy feminatywów, niech pojawiają się konsekwentnie.

A redaktorzy? Ci również powinni uszanować wybory twórców. Rolą redakcji nie jest narzucać, jak ktoś ma mówić, lecz dbać o klarowność i logikę przekazu.

Bo w gruncie rzeczy chodzi o to, by język – jak i ludzie, którzy się nim posługują – znalazł równowagę między formą a znaczeniem.

A feminatywy? One już tę równowagę kiedyś miały. Może więc wcale nie chodzi o rewolucję, tylko o przypomnienie sobie, że kobiety w języku były od zawsze – tylko przez jakiś czas ich nie słyszeliśmy.

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

DZIĘKUJEMY ZA WSZYSTKIE DOBRE SŁOWA,
KTÓRE OTRZYMALIŚMY PO OGŁOSZENIU „NARODZIN” NASZEGO
MAGAZynu. WASZE WSPARCIE, CIEPŁE MAILE I OBECNOŚĆ
ZNACZĄ DLA NAS WIĘCEJ, NIŻ SĄDZICIE.
JESTEŚMY WDZIĘCZNI, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI, BO TO WŁAŚNIE DLA
WAS – AUTORÓW, WYDAWCÓW I REDAKTORÓW – STWORZYLIŚMY
TO CZASOPISMO.

WIERZYM, ŻE TA FORMA PRZYPADNIE WAM DO GUSTU
I BĘDZIECIE CHCIELI WSPÓŁTWORZYĆ „FRAGMENTARIUM”,
PRZESYŁAJĄC NAM SWOJĄ TWÓRCZOŚĆ.
JUŻ TERAZ ŻYCZYMY WAM PIĘKNEGO, ZIMOWEGO CZASU.
NIECH KARTY NASZEGO MAGAZynu TOWARZYSZĄ WAM AŻ DO
STYCZNIA – DO KOLEJNEGO NUMERU,
KTÓRY UKAŻE SIĘ 20.01.2026 ROKU.

DZIĘKUJEMY,
REDAKCJA „FRAGMENTARIUM”



FRAGMENTARIUM